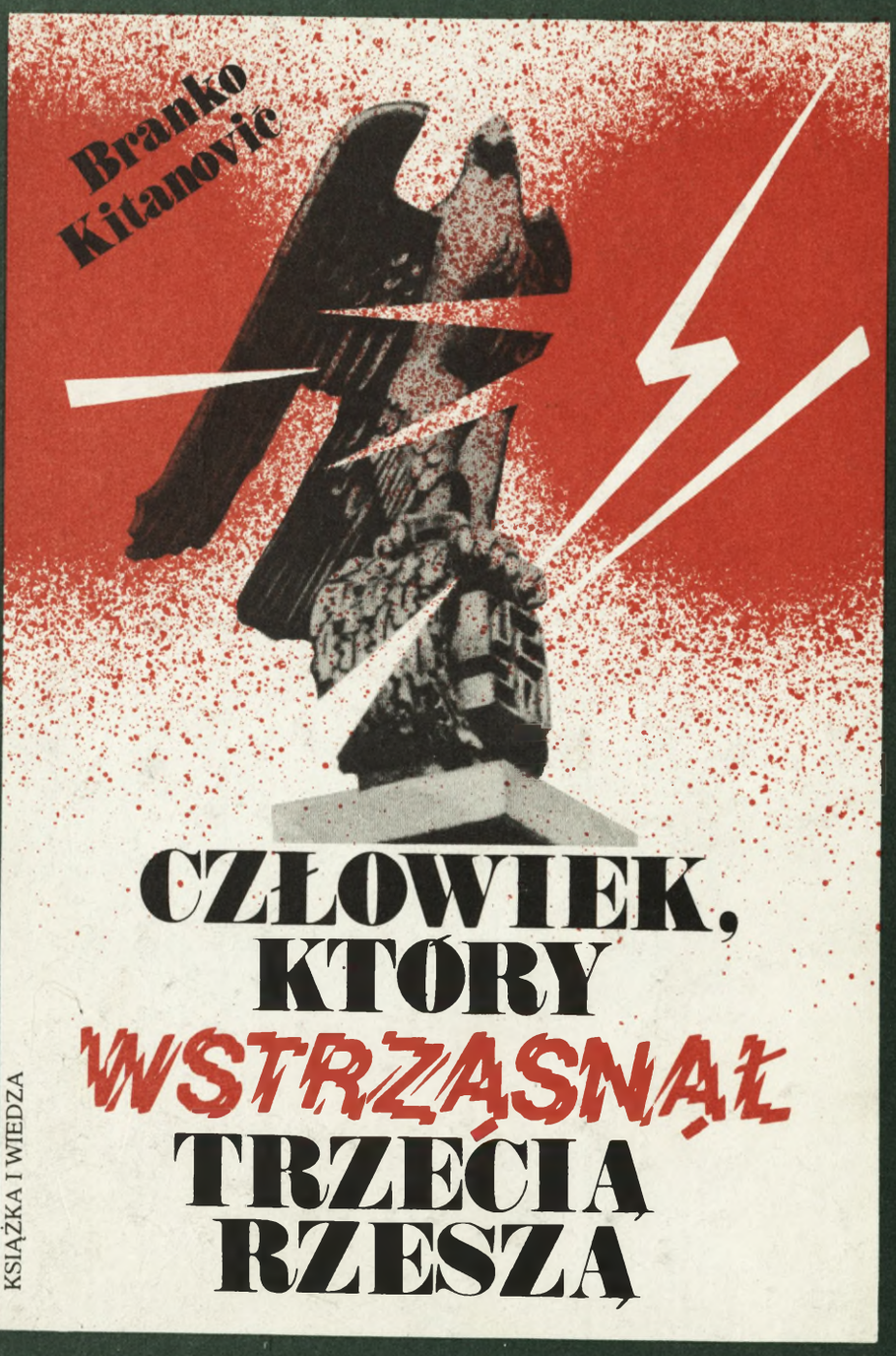

Branko Kitanović
CZŁOWIEK, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ TRZECIĄ RZESZĄ
KSIĄŻKA I WIEDZA

Branko Kitanović



CZŁOWIEK, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ TRZECIĄ RZESZĄ

KSIĄŻKA I WIEDZA

Branko Kitanović

CZŁOWIEK, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ TRZECIĄ RZESZĄ

Branko Kitanović

CZŁOWIEK, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ TRZECIĄ RZESZĄ

Z serbsko-chorwackiego przełożyła
Anna Kucińska

Książka i Wiedza
1989

Tytuł oryginału
Čovek koji je uzdrmao Treći Rajh

Okładkę projektował
Jerzy Rozwadowski

Redaktor
Elżbieta Nowicka

Redaktor techniczny
Anna Bonisławska

35293

BIBLIOTEKA NAUKOWA MSG W ...

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Książka i Wiedza"
Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza
„Prasa—Książka—Ruch", Warszawa 1989

ISBN 83-05-12308-1

Ujarzmienie „Tajfunu" i pogrom generałów

Już na początku 1942 roku spadło na Hitlera wiele kłopotów. Po raz pierwszy w czasie jego rządów dotarły do niego wieści o całkowitym załamaniu się operacji „Tajfun", w wyniku której oddziały niemieckie miały znaleźć się pod murami Kremla. W nocy z 2 na 3 stycznia szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych Wehrmachtu, generał Franz Halder, raportował swemu groźnemu suwerenowi o panicznej ucieczce niemieckich oddziałów, którym powierzona była „święta misja". Mieli oni maszerować ulicami Moskwy i powitać Nowy Rok na placu Czerwonym pod olbrzymimi choinkami ozdobionymi swastykami i podobiznami führera.

— Idioci, nie jesteście godni historycznej misji narodu niemieckiego i mojego zaufania! — wrzasnął zagniewany Hitler na Haldera, który, stojąc na baczność, drżał, by jakimś niezręcznym ruchem nie podsycić wściekłości wodza. — Naród niemiecki ma tylko jednego prawdziwego geniusza, zdolnego i gotowego do końca urzeczywistnić jego historyczne dążenia i prawa. Naród niemiecki ma tylko mnie i ja przejmuję całkowite dowództwo nad wojskami lądowymi Wehrmachtu!

Hitler natychmiast podjął decyzję, którą historycy nazwali później „wielkim pogromem feldmarszałków i generałów". Feldmarszałek Walther von Brauchitsch, naczelny dowódca wojsk lądowych Wehrmachtu, za niepowodzenie natarcia na Moskwę został pozbawiony swej funkcji. Z powodu „samowolnego wycofania wojsk" Hitler usunął dowódcę wojsk pancernych, generała Heinza Guderiana. Podobny los, na skutek niepowodzeń pod Rostowem, spotkał feldmarszałka Gerda von Rundstedta, dowódcę Grupy Armii „Południe", oraz feldmarszałka Wilhelma von Leeba, dowódcę Grupy Armii „Północ". Łącznie zmieniono i zdegradowano 35 feldmarszałków i generałów Wehrmachtu, którzy od początku II wojny

światowej aż do grudnia 1941 roku byli przez propagandę Goebbelsa ukazywani jako niezwyciężeni zdobywcy Europy.

Trzeba było szybko zatrzymać prącą na zachód Armię Czerwoną, a jedynym na to sposobem było utworzenie nowego frontu w Azji poprzez wciągnięcie Japonii w wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, aby uniemożliwić Rosjanom przerzucanie na pole walki nowych oddziałów z Syberii.

* * *

Niemców ogarnął paraliżujący strach przed Rosjanami. 3 stycznia 1942 roku Hitler wezwał do Kancelarii Rzeszy japońskiego ambasadora, Hiroshi Oshimę. W spotkaniu wziął też udział Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy.

— Zbliża się decydujący dzień, panie ambasadorze — niezbyt głośno rozpoczął Hitler. Potem jego głos stawał się coraz mocniejszy i bardziej rozdrażniony. — Wojna, którą prowadzimy ze Związkiem Radzieckim pokazała, że ten ogromny kraj jest właściwie tylko pojęciem geograficznym. Jest tym, czym przed paru laty był sztuczny twór, tak zwana Republika Czechosłowacji, tym samym, czym do kwietnia ubiegłego roku było równie sztuczne państwo, Jugosławia. Pomyślnie i skutecznie uporaliśmy się z problemem tych państw. Ale przy rozwiązywaniu problemu radzieckiego nie chcielibyśmy naruszyć interesów naszego najpotężniejszego sojusznika — Kraju Wschodzącego Słońca. Teraz sytuacja dojrzała na tyle, by definitywnie tę kwestię rozwiązać. Właśnie dlatego pana zaprosiłem...

— Nie bardzo rozumiem, jaki problem? — zapytał zimno, z pewnym wahaniem Oshima.

— Problem podziału radzieckiego terytorium, panie ambasadorze — odpowiedział führer.

— Chodzi o aktywną politykę Japonii w tej sprawie — wtrącił Ribbentrop.

— W jakiej sprawie, panie ministrze, w dalszym ciągu nie rozumiem — Oshima udawał, że nie wie, o co chodzi.

— Postanowiliśmy zadać Sowietom ostateczny cios. Już w ciągu nadchodzącego lata będą całkowicie rozbici. Nie ma dla nich ratunku. Przestanę być miłosierny. Odrzucimy bolszewików tak daleko, że już nigdy nie będą mogli nawet dotknąć Europy... Ich porażkę

znacznie przyspieszyłby błyskawiczny desant japońskiej marynarki na Władywostok i frontalny atak wzdłuż całej dawnej granicy radziecko-chińskiej. W pełni rozumiemy żywotne dążenia sojuszniczego narodu japońskiego i sprzyjamy jego przyszłej ekspansji we wschodniej Syberii, aż do jeziora Bajkał. Jest to, w pewnym sensie, naturalna granica interesów niemieckich i japońskich. Aby jednak uczestniczyć w podziale bogatej zdobyczy, do której historia dała nam prawo, trzeba zrobić wszystko, by radzieckiego kolosa na glinianych nogach jak najszybciej powalić wysiłkiem obu naszych państw. Już w ciągu najbliższych siedmiu dni muszę mieć ostateczną decyzję władz japońskich, by definitywnie dopracować nasz plan. Nie zamierzam dalej prowadzić operacji ofensywnych w centralnej części frontu. Moim celem jest ofensywa na południu. Postanowiłem znów uderzyć w kierunku Kaukazu, gdy tylko poprawią się warunki atmosferyczne. Trzeba dorwać się do kaukaskiej nafty, do Iranu i Iraku. A kiedy przetnę drogi dostawy nafty, Moskwa padnie jak zgniła gruszka. Zatroszczę się również o to, by i Leningrad zupełnie zrównać z ziemią.

— Japonia nie zrzeka się swego historycznego prawa do Syberii, co najmniej do Bajkału, jak również swoich interesów w Chinach, Indiach, Mongolii. Ale, według naszej oceny, nie nadszedł jeszcze czas na globalną ofensywę w Azji, ponieważ jesteśmy teraz zajęci wypieraniem Ameryki i Anglii z Pacyfiku i Azji Południowo-Wschodniej. A poza tym, pan i przy tej okazji potwierdził, że dążenia obu naszych narodów realizowane są jak najlepiej, gdyż Wehrmacht i bez naszej pomocy pomyślnie rozbija teraz Armię Czerwoną. Natychmiast poinformuję o wszystkim Jego Wysokość Cesarza i rząd, ale należy liczyć się z tym, co przed chwilą powiedziałem — z uśmiechem i lekką zadumą odparł doświadczony dyplomata.

Japonia, zaskoczona porażką Niemiec pod Moskwą, nie zdecydowała się zaatakować Związku Radzieckiego, chociaż nie odrzucano tej możliwości w przyszłości. Rząd japoński postanowił czekać, ponieważ ciągle jeszcze żywe były wspomnienia katastrofy z 1939 roku, kiedy to w Mongolii wojska japońskie zostały rozbite przez połączone siły radziecko-mongolskie pod dowództwem generała armii, później marszałka, Georgija Żukowa.

Spotkanie Hitlera z ambasadorem Oshimą odbyło się w szczytowym okresie radzieckiej kontrofensywy na przełomie 1941 i 1942

roku. Właśnie wtedy Wehrmacht po raz pierwszy w II wojnie światowej poniósł porażkę. Oddziały niemieckie zostały odrzucone przez Armię Czerwoną w różnych sektorach frontu na 150—400 kilometrów i straciły ponad milion żołnierzy.

Naziści szybko jednak uzupełnili straty przerzucając na front wschodni oddziały z zachodu. Teraz führer z 217 uzupełnionymi dywizjami próbował zmusić Armię Czerwoną do kapitulacji.

* * *

Moskwa, 3 stycznia 1942 roku. Rtęć w termometrach spadła do minus dwudziestu jeden stopni. Miasto pokryły wysokie zwały brudnego, stwardniałego śniegu, który nie znikał już od dwóch miesięcy, ale główne arterie były przejezdne.

Na Kremlu, w gabinecie Stalina, zebrał się Sztab Generalny Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych ZSRR. Przybyli marszałkowie: Józef Stalin, Kliment Woroszyłow, Siemion Budionny, Boris Szaposznikow, Georgij Żukow, Aleksander Wasilewski, Siemion Timoszenko oraz generał Aleksiej Antonow, admirał Nikołaj Kuzniecow, minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow i jeden z sekretarzy KC Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), Georgij Malenkow.

Dwa dni później zapadła decyzja o kontynuowaniu błyskawicznej ofensywy na wszystkich frontach. Na początku przyniosła ona spore sukcesy, ale, przedwcześnie podjęta i zakrojona na zbyt szeroką skalę, w lutym zaczęła słabnąć. Front ustabilizował się, wojna trwała nadal, walczące strony rozpoczęły gorączkowe przygotowania do nowych bitew.

Miały im w tym dopomóc zakulisowe zmagania wywiadów i kontrwywiadów.

Pozwólcie, że się przedstawię

„Ja, Paul Wilhelm Siebert, porucznik 230 pułku piechoty, 76 dywizji piechoty, urodziłem się 28 lipca 1913 roku w Królewcu, w rodzinie leśnika. Ojca, Ernesta Sieberta, znałem tylko z opowiadań matki. Zginął w 1915 roku w bitwie na Mazurach. Do I wojny światowej służył w majątku grafa Richarda Johanna Schlobietena, właściciela dwóch zamków w Prusach Wschodnich.

Moja matka, Hilda, z domu Künert, zmarła kilka lat przed wybuchem II wojny światowej. Zanim poszedłem do szkoły wojskowej, pracowałem w tym majątku jako pomocnik administratora. Szczególną troską otaczałem bogatych i znamienitych gości przyjeżdżających w te okolice na polowania.

Szkołę podoficerską ukończyłem w Berlinie, a potem brałem udział w wyprawie na Polskę. W wojnie z Francuzami wywalczyłem sobie stopień leutnanta i dwa Krzyże Żelazne — I i II klasy. Miałem też szczęście walczyć w Związku Radzieckim; późną jesienią 1941 roku w pobliżu Kurska zostałem ciężko ranny. Otrzymałem wtedy medal «Zimowa Wyprawa na Wschód».

Zaproponowano mi, do czasu całkowitego wyzdrowienia, stanowisko pełnomocnego przedstawiciela Wirtschaftskommando (w skrócie: Wikdo), instytucji zajmującej się wykorzystywaniem, zgodnie z interesami Wehrmachtu, materialnych zasobów okupowanych terenów ZSRR. Podjąłem tę pracę".

Miesiącami, w specjalnej bazie szkoleniowej wywiadu w pobliżu Moskwy, uczył się roli niemieckiego oficera Paula Wilhelma Sieberta radziecki wywiadowca, Nikołaj Iwanowicz Kuzniecow. Urodził się 27 lipca 1911 roku we wsi Zyrianki, oddalonej o ponad 200 km od Świerdłowska. Jego ojciec, Iwan Pawłowicz Kuzniecow, walczył w Armii Czerwonej w wojnie domowej. Potem zachorował na tyfus i w marcu 1920 roku został zdemobilizowany. Zmarł w 1929 roku.

Od 1932 roku rodzina Kuzniecowych mieszkała w Świerdłowsku. Technik leśny Nikołaj Iwanowicz podjął studia na tamtejszej politechnice, a po ich ukończeniu zatrudnił się w świerdłowskim „Uralmaszzawodzie", jednym z największych zakładów przemysłowych w Związku Radzieckim. Pracował jako kontroler w biurze konstrukcyjnym i uczył się języków obcych, głównie niemieckiego.

Właściwie wtedy już stosunkowo dobrze władał niemieckim, który wykładano w szkole i na politechnice. W tym czasie w „Uralmaszzawodzie", tak jak w innych wielkich zakładach przemysłowych Związku Radzieckiego, pracowało wielu zagranicznych specjalistów — inżynierów, techników i majstrów. Byli to głównie Niemcy. Większość z nich przyciągnęły wysokie zarobki. Inni zaś, o postępowych poglądach, chcieli pomóc pierwszemu socjalistycznemu państwu.

Kuzniecow szybko zaprzyjaźnił się z niektórymi z nich. Utrzymywał z nimi nie tylko stosunki służbowe, ale też kontakty towarzyskie. Rozmawiali wyłącznie po niemiecku. Specjaliści ci pochodzili z różnych stron Niemiec i mówili rozmaitymi dialektami i gwarami, co bardzo pomogło Kuzniecowowi w opanowaniu licznych regionalizmów i przyswojeniu charakterystycznych cech językowych. Dużą pomocą służył mu w tym inżynier o antyfaszystowskich poglądach, Satler.

Nikołaj Kuzniecow miał wyjątkowy talent lingwistyczny. Oprócz niemieckiego nauczył się później angielskiego, polskiego, ukraińskiego i języka małego narodu syberyjskiego Komi. W 1936 roku uzyskał dyplom inżyniera, broniąc pracy po niemiecku. Goethego, Heinego, Schillera i innych klasyków niemieckich czytał w oryginale.

W 1938 roku został przeniesiony do Moskwy i skierowany do pracy w radzieckiej służbie wywiadowczej. Jednak w dalszym ciągu formalnie pracował jako inżynier w jednej z fabryk na peryferiach stolicy.

Nie do końca wiadomo, jakie było w tym czasie podstawowe zajęcie Kuzniecowa i co konkretnie robił. W swej książce Kim Zakaliuk pisze *, że zimą 1939 roku Nikołaj Kuzniecow znalazł się w Leningradzie i z powodzeniem wykonywał specjalne zadania, które postawiła przed nim ojczyzna. Ponadto dodaje, że był to czas wojny

* K. P. Zakaliuk, *Graczow — „Centrum"*, Moskwa 1977.

radziecko-fińskiej. W tej wojnie oddziały fińskie, po pewnych początkowych sukcesach, poniosły porażkę, co bardzo zaniepokoiło państwa Osi, gdyż był to sprawdzian gotowości ZSRR do rozwiązania większego konfliktu zbrojnego.

Prawdopodobnie już wtedy Kuzniecow miał jakąś tajną misję w Finlandii, brak jednak konkretnych danych na ten temat.

W Moskwie, podobnie jak i w Świerdłowsku, Kuzniecow dużo pracował, po 16—18 godzin dziennie. Czytał literaturę piękną, historyczną i wojskową. Skończył kurs dla spadochroniarzy, aktywnie zajmował się strzelectwem i narciarstwem, ćwiczył boks i gimnastykę. Wprawnie prowadził samochód i motocykl. Tańczył jak prawdziwy arystokrata. Uczył się wytwornych manier i zdobywał rozległe wykształcenie.

Dobrze poznał już hitlerowskie Niemcy. Zdawał sobie sprawę, że wojna jest nieunikniona i że będzie to wojna przerażająca, krwawa, taka, jakiej jeszcze w historii nie było. I wiedział, że przeciwko faszyzmowi musi zająć postawę, którą określała zasłyszana kiedyś myśl: „czyste ręce, chłodny umysł, gorące serce".

Swojej siostrze Lidii i młodszemu bratu Wiktorowi powiedział:

— Nasze stosunki z Niemcami są złe. Być może, będziemy się musieli bić z faszystami. Znajomość języka niemieckiego bardzo mi się przyda. Będę walczyć przeciwko nazistom właśnie dlatego, że kocham naród niemiecki i jego kulturę.

Metropolia walki podziemnej

24 czerwca 1941 roku. Już trzeci dzień szaleje radziecko-niemiecka wojna. Zdradziecki napad i szybkie zwycięstwa oddziałów niemieckich wywołały w Moskwie zamieszanie i niepokój. Wszystkie fabryki broni rozpoczęły gorączkową produkcję. W radzieckiej stolicy kipiało i wrzało niczym w olbrzymim kotle. Wszystko zostało puszczone w ruch, jakby od Karpat po Ocean Spokojny budził się uśpiony olbrzym.

I chociaż front był jeszcze daleko, wszędzie kopano rowy, zrywano asfalt i kamienie, budowano barykady. Po bezchmurnym, rozżarzonym niebie szybowały balony, które miały być przeszkodą dla niemieckich samolotów. Nad miastem krążyły i ciągle zmieniały się eskadry z pięcioramiennymi gwiazdami na skrzydłach.

Na placach, wzdłuż ulic i przed budynkami ważnych instytucji państwowych ustawiono działa przeciwlotnicze i karabiny maszynowe z lufami wycelowanymi w górę.

Powszechną mobilizację przeprowadzono w gorączkowym pośpiechu. Ulice były zatarasowane ludźmi, pojazdami i oddziałami wojskowymi. Z licznych głośników rozbrzmiewała pieśń „Święta wojna". Co jakiś czas przerywały ją krótkie komunikaty Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa, Państwowego Komitetu Obrony i sprawozdania z frontów.

Nikołaj Kuzniecow zatrzymał się przed głośnikiem na Arbacie, kiedy chór śpiewał właśnie ostatnią zwrotkę „Świętej wojny". Był już spóźniony o ponad dziesięć minut. Powinien o godzinie 13 zgłosić się do rejonowego dowództwa wojskowego, które przydzieliło go do jednostki spadochronowo-desantowej.

Przypadkowy i błędny rozkaz jednego dowódcy szybko naprawił inny, wyższy stopniem. Nikołaj Kuzniecow latami przygotowywał się nie do walki na froncie, lecz na tyłach frontu.

„Już przy okazji pierwszego spotkania z Kuzniecowem — wspomina Dmitrij Miedwiediew *, jeden ze słynnych asów radzieckiego wywiadu — zdumiało mnie chłodne zdecydowanie, które wyczuwało się w każdym słowie, każdym ruchu tego małomównego, zamkniętego w sobie, a w istocie pełnego energii człowieka. Pamiętam, wszedł do gabinetu i od razu zaczął od tego, że chce lecieć na tyły nieprzyjacielskie.

— Doskonale znam niemiecki — powiedział. — Myślę, że potrafię to dobrze wykorzystać.

— Gdzie uczyliście się języka? — zapytałem.

Pytanie nie było bezpodstawne. Znałem wielu ludzi, którzy świetnie władali obcymi językami, ale ich umiejętności wystarczały jedynie do pracy naukowej.

Kuzniecow, rozumiejąc moje wątpliwości, dodał:

— Widzicie, ja nie tylko mówię, ale czytam i piszę po niemiecku. Dobrze znam język potoczny, dużo czasu spędziłem wśród Niemców.

— Mieszkaliście w Niemczech? — zainteresowałem się.

— Nie, nie mieszkałem — uśmiechnął się Kuzniecow. — Wprawdzie z zawodu jestem inżynierem, ale zaocznie ukończyłem wydział języków obcych. Gdy pracowałem w «Uralmaszzawodzie», niemieccy specjaliści nie wierzyli, że jestem Rosjaninem, sądzili, że jestem Niemcem. Pytali nawet, dlaczego ukrywam swą narodowość.

Obserwując go, pomyślałem: on rzeczywiście przypomina Niemca — ma jasne włosy, szare oczy.

— Czyż mało ludzi zna niemiecki? Czy, waszym zdaniem, wszyscy oni powinni służyć za linią frontu?

— Ja znam nie tylko język — odparł Kuzniecow. — Zawsze interesowałem się tym krajem, czytałem klasyków niemieckich, studiowałem faszyzm... — I, po chwili milczenia, dodał: — Znam Niemców. Gotów jestem umrzeć, jeśli zajdzie konieczność — powiedział."

Kierownictwo radzieckiego wywiadu (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych — NKWD) długo zastanawiało się, gdzie zaangażować tak gruntownie przygotowanego, wykształconego współpracownika. Postanowiono umieścić go jako oficera w jakiejś wyższej niemieckiej instytucji wojskowej lub sztabie, skąd słałby cenne informacje.

* D. M. Miedwiediew, *Silnyje duchom*, Moskwa 1977.

Niemieccy autorzy twierdzą, że początkowo Rosjanie zamierzali w jakiś sposób ulokować Kuzniecowa w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu, lecz później odstąpiono od tego. Zbieg okoliczności sprawił bowiem, że małe zachodnioukraińskie miasto Równe stało się jednym z większych (w II wojnie światowej) ośrodków, gdzie na wysokim szczeblu toczyła się wojna między radzieckim, angielskim i niemieckim wywiadem.

Dzieje Równego w czasie II wojny światowej były niezwykłe. Niemcy ogłosili je stolicą Ukrainy. Znajdowała się tam rezydencja jednego z najbliższych współpracowników Hitlera, reichskomisarza (komisarza Rzeszy) dla Ukrainy, Ericha Kocha.

Oprócz tego w mieście mieścił się Reichskomisariat Ukrainy, Najwyższy Sąd Niemiecki dla ziem okupowanych, sztab komendy Oddziałów Wschodnich generała Maxa von Ilgena, sztab dowódcy zaplecza armii niemieckiej, generała lotnictwa Kitzingera, sztab Głównej Intendentury Grupy Armii „Południe" oraz wiele innych sztabów i instytucji niemieckich.

Miasto było polem zaciekłej walki radzieckiego i niemieckiego wywiadu, której znaczenie i zasięg dorównywały walce agentów w Berlinie, Paryżu, Tokio, Bernie.

Niemieckim wywiadem i kontrwywiadem w Równem kierowali bezpośrednio Himmler, Canaris, Schellenberg i von Ortel. Tu opracowywano plany prowadzenia podziemnej walki na Wschodzie, tu docierały poufne sprawozdania i dane o antyhitlerowskiej koalicji, rozszyfrowywano radiogramy, zawiązywano spiski i robiono plany likwidacji lub porwań szefów rządów, ministrów i generałów.

Równe stało się także terenem działania inżyniera Nikołaja Kuzniecowa.

W tajnej bazie szkoleniowej wywiadu Kuzniecow otrzymał konspiracyjne nazwisko Nikołaj Wasiliewicz Graczow, a jego prawdziwe imię i nazwisko pozostało tajemnicą przez całą wojnę.

W ostatnim okresie swojej działalności miał jeszcze jeden pseudonim — „Puch". Tak podpisywał niektóre raporty dla „Centrum".

Kuzniecow był jedynym wysokiej rangi wywiadowcą w czasie II wojny światowej działającym na niemieckich tyłach, na terytorium okupowanym przez Trzecią Rzeszę, przechodzącym, w zależności od potrzeb, do swego oddziału wywiadowczego.

W Równem Kuzniecow miał zbierać tylko najważniejsze informacje i nie angażować się w sprawy drobne czy też w wątpliwe i śliskie operacje. Z tego powodu „Centrum" nalegało, by unikał jakiegokolwiek ryzyka, zwłaszcza jeśli nie wiązało się ono z operacją o dużym znaczeniu.

Postanowiono, że Kuzniecow nie będzie służył w żadnej niemieckiej instytucji czy jednostce wojskowej w mieście, lecz co pewien czas będzie odwiedzać Równe. Było zbyt mało czasu (a rozwój wydarzeń wymagał pośpiechu), żeby Nikołaja wprowadzić do jakiejś jednostki. Musiał więc mieć mocne, przekonywające i nie do podważenia powody, żeby co jakiś czas zjawiać się w mieście.

W pierwszym wariancie Kuzniecow miał działać jako oficer Luftwaffe. W tym czasie było już w niewoli dość dużo pilotów nazistowskich, z którymi mógł nawiązać kontakt i ewentualnie przywłaszczyć sobie biografię któregoś z nich. W mundurze niemieckiego leutnanta lotnictwa Kuzniecow długo przebywał wśród jeńców, rozmawiał z nimi i żaden z nich nie wątpił, że ma przed sobą najprawdziwszego Niemca. Pewnego razu Nikołaj Kuzniecow, w cywilnym ubraniu, brał udział — jako tłumacz — w przesłuchaniu jakiegoś pilota Luftwaffe. Po krótkiej chwili hitlerowiec odmówił udzielania odpowiedzi i powiedział:

— Lepiej niech tłumaczy Rosjanin, a nie ten zdrajca. Przy nim nie będę mówić.

Kuzniecowowi zdarzył się też inny niezwykły przypadek. Aby jak najlepiej przygotować się do roli niemieckiego oficera, został umieszczony w obozie jenieckim w pobliżu Moskwy. Jego „rodacy" przygotowywali na przedstawienie dla jeńców utwory niemieckich klasyków. Wśród oficerów był także berliński reżyser teatralny specjalizujący się w kształceniu dykcji aktorów.

Tutaj, w obozie, uczył kolegów deklamowania Schillera i Goethego. Ale tylko Nikołaj Kuzniecow zadowolił surowego nauczyciela.

— Tylko ten pan — powiedział reżyser wskazując na inżyniera z Uralu — właściwie recytuje naszych klasyków i ma doskonałą dykcję.

Przygotowywanie Kuzniecowa do roli hitlerowskiego oficera odbywało się w największej tajemnicy. Nawet jego wytrawni instruktorzy nie ryzykowali spotkania z nim dwa razy w tym samym

miejscu. Nie znali go też przyszli dowódcy specjalnego oddziału wywiadowczego, z którymi miał współpracować i których szkolili ci sami instruktorzy. Nie wiedziano, kim jest Kuzniecow i jakie ma wykonywać zadania w Równem.

Znano wprawdzie nie rzucającego się w oczy Nikołaja Graczowa (jak ochrzcił Kuzniecowa wywiad), ale nikomu nie przyszło na myśl, że przygotowuje się on do odpowiedzialnej roli niemieckiego oficera, Paula Wilhelma Sieberta.

Człowiek, za którego się później podawał, przebywał w obozie jenieckim pod Moskwą. Prawdziwymi postaciami byli też wszyscy pozostali, których wymienia w swojej „pruskiej" biografii.

Musiał więc bezbłędnie zapamiętać i nauczyć się najróżniejszych szczegółów związanych z imionami, nazwiskami, tytułami i funkcjami wielu osób — od najważniejszych hitlerowskich dostojników aż do „swoich" byłych dowódców batalionu, kompanii i kolegów.

Uważnie studiował zdobyte oryginalne dokumenty niemieckie, od książeczek wojskowych do biletów kolejowych. Czytał pamiętniki i listy zabrane jeńcom lub znalezione przy zabitych hitlerowcach. Co najmniej dwa razy w tygodniu skakał na spadochronie. Uczył się orientacji w terenie, strzelania ze wszystkich rodzajów radzieckiej i niemieckiej broni krótkiej, a także posługiwania się białą bronią. Szkolił się w szyfrowaniu i rozszyfrowywaniu depesz. Ćwiczył najróżniejsze techniki dywersyjne i poznał tajniki sambo, walki obronnej zbliżonej do dżudo i karate.

Był opanowanym, precyzyjnym, doskonałym strzelcem, zawsze w wyśmienitej formie. Na nartach jeździł po mistrzowsku. Był szybki, wytrzymały, zręczny. W terenie miał dobry zmysł orientacji, a mapy geograficzne i topograficzne odczytywał jak pierwszorzędny fachowiec. Był niezwykle, wielostronnie utalentowany.

„Paul Siebert musiał dużo wiedzieć — piszą w książce *Nikołaj Kuzniecow* T. Gładkow i A. Łukin *. — Miejsce i kraj, w którym się urodził, musiał znać tak, jakby rzeczywiście wiele lat przeżył w Prusach Wschodnich, podobnie jak sposób bycia, obyczaje, tradycje, przyzwyczajenia i mentalność rodaków".

Musiał pamiętać i kojarzyć mnóstwo szczegółów, faktów i zdarzeń, adresy sklepów, nazwy restauracji i kin, kawiarni i sal koncertowych, wyniki meczów piłkarskich i bokserskich, które mógł oglą-

* T. Gładkow, A. Łukin, *Nikołaj Kuzniecow*, Moskwa 1972.

dać, melodie popularnych piosenek, których mógł słuchać. Leutnant Siebert musiał umieć zaintonować piosenkę lub opowiedzieć pikantny dowcip, subtelnie, lecz z wprawą zalecać się do dziewczyn, a w grze w karty pokazać godną zazdrości zręczność. Do najdrobniejszych szczegółów przestudiował organizację, strukturę i prawa niemieckich sił zbrojnych, zwłaszcza oficjalne i nieoficjalne stosunki między wojskowymi.

Dwie dziewczyny z Berlina, które ze względu na swoje antyfaszystowskie poglądy jeszcze przed wojną znalazły się w Moskwie, odkrywały przed nim tajniki zachowania się w towarzystwie wytwornych kobiet. Później dołączyła do nich pewna młoda arystokratka, narzeczona majora SS, którą razem z nim porwano w Norwegii. Majorowi odebrano złoty rodzinny sygnet z monogramem. Stanowił on drogocenny rekwizyt oficera arystokratycznego pochodzenia. Moskiewski jubiler przerobił monogram tak, by odpowiadał inicjałom nowego właściciela sygnetu — Paula Wilhelma Sieberta, czyli Nikołaja Graczowa, a w rzeczywistości Nikołaja Kuzniecowa.

Paul Siebert przygotowywał się do roli starego frontowca, który na tyłach żyje na wysokiej stopie dzięki pracy w Wirtschaftskommando, zajmującego się najbezwzględniejszym rabunkiem na okupowanych terenach. Jak piszą T. Gładkow i A. Łukin, „Kuzniecow godzinami spacerował przed lustrem starając się opanować ruchy, pozy i gesty. Wszystko było niezwykle ważne: w armii radzieckiej, na przykład, w postawie «na baczność» ręce zawsze przylegają do ciała, a w niemieckiej armii przy ciele są tylko dłonie, podczas gdy łokcie odstają, a pierś jest wysunięta do przodu.

Nieoczekiwanie pożyteczne okazało się, że Kuzniecow był cywilem. Oficerowi radzieckiemu ze służby czynnej trudno byłoby się nauczyć i mechanicznie przyswoić sobie niemiecki sposób salutowania przy powitaniu lub składaniu raportu.

Wymyślił sposób na skuteczne przeobrażenie się w innego człowieka; zasugerował sobie, że wszystko to studiował, że to nie jest nic nowego, że to się rzeczywiście zdarzyło, gdy był Siebertem, dlatego więc nie musi się uczyć, lecz tylko pamiętać, przypominać sobie.

Uczył się na pamięć przepisów wojskowych, czytał sterty czasopism ilustrowanych, oglądał filmy i korygował swoje zachowanie dzięki obserwacjom poczynionym podczas spotkań z hitlerowskimi oficerami.

Starał się nie czytać literatury rosyjskiej, żeby nie wypaść z toru, którym szedł coraz pewniej. Ograniczał się tylko do przelotnego przeglądania moskiewskich pism".

Wiedział, że najdrobniejszy szczegół może zdradzić wywiadowcę i starał się, by każdy jego ruch był automatyczny, typowo niemiecki.

Musiał mieć wszystko niemieckie; skarpety i chusteczki, pióro wieczne, ołówek i notes. Bluzy, spodnie, szynele i płaszcze zabrano niemieckim oficerom, buty zaś miał zrobione z oryginalnej skóry zakupionej w Niemczech. Tylko złoty zegarek był produkcji szwajcarskiej, co odpowiadało jego pozycji i „arystokratycznemu pochodzeniu".

Razem z Nikołajem Graczowem byli szkoleni Nikołaj Prichodko, Nikołaj Hnediuk, Iwan Sokołow i inni wywiadowcy z Zachodniej Ukrainy. Oczywiście każdy z nich mieszkał osobno i miał swoje tajne zadania specjalne.

Na jednym z ostatnich spotkań z najwyższymi dowódcami NKWD Kuzniecow wywarł duże wrażenie na obecnych generałach. Z wyglądu i z zachowania sprawiał wrażenie prawdziwego pruskiego oficera przesiąkniętego faszyzmem. Był oficjalny w sposobie bycia, surowy, pociągający, wypowiadał się lakonicznie.

Albert Cesarski, który po skończeniu medycyny został włączony do pracy wywiadowczej jako współpracownik Kuzniecowa, tak wspomina pierwsze spotkanie z nim:

„Wprost nie mogłem uwierzyć swoim oczom. Dumnie podniósł głowę i wysunął dolną szczękę. Na jego twarzy pojawił się wyraz wyniosłej pogardy. Miał na sobie pedantycznie wyprasowany niemiecki mundur. W pierwszej chwili było mi nawet nieprzyjemnie oglądać go takim. Aby zatrzeć to wrażenie, zwróciłem się do niego żartobliwie:

— Jak się czujecie tacy wystrojeni, w nowej skórze?

On zaś zmierzył mnie druzgocącym wzrokiem, z odrazą rozciągnął usta i rzekł karcącym, pełnym wstrętu głosem:

— *Also, nicht so laut, Herr Arzt!* (Tylko nie tak głośno, panie doktorze!).

Oblał mnie zimny pot. Niemal fizycznie poczułem odległość, na jaką odrzucił mnie od siebie.

Miał wspaniały dar przeobrażania się".

Oddział „Zwycięzcy"

W styczniu 1942 roku pułkownik radzieckiego wywiadu, Dmitrij Nikołajewicz Miedwiediew, został pilnie wezwany do Moskwy z tyłów nieprzyjacielskich, gdzie w lasach briańskich dowodził oddziałem partyzanckim. W „Centrum" przyjął go kompetentny generał pełniący najwyższą funkcję w NKWD. Miedwiediew w swoich pamiętnikach nie wymienia jego nazwiska.

Miesiąc wcześniej Miedwiediew został ciężko ranny. Gdy tylko nabrał trochę sił, otrzymał zadanie rozpoczęcia przygotowań do utworzenia specjalnego oddziału wywiadowców mającego działać w okolicy Równego i Zdołbunowa. Jego zadania miały mieć typowo partyzancki charakter — organizowanie sabotażu na kolei, niszczenie niemieckich magazynów wojskowych, napady na nieprzyjacielskie garnizony, likwidowanie zdrajców, rozprowadzanie ulotek wśród mieszkańców okupowanych terenów i rozpowszechnianie informacji o sytuacji na frontach.

Na komisarza oddziału został później mianowany Siergiej Trofimowicz Stiechow, a na naczelnika sztabu major Fiodor Paszun. Pierwsza grupa oddziału „Zwycięzcy" wylądowała na spadochronach 20 czerwca 1942 roku w rejonie stacji kolejowej Tołstyj Les. Oprócz Miedwiediewa, uczestnika rewolucji październikowej i późniejszego Bohatera Związku Radzieckiego, z grupą przybyli: Aleksander Łukin, zastępca komendanta NKWD do spraw wywiadu, dowódca plutonu radiotelegrafistów, Lidia Szestierniewa, agentki: Simona Grinczenko i Maria Fortus (uczestniczki wojny domowej w Hiszpanii) oraz kilku hiszpańskich komunistów mieszkających w Związku Radzieckim.

Rano 12 sierpnia w „Centrum" poinformowano Kuzniecowa, że za parę dni musi się znaleźć za linią frontu w oddziale „Zwycięzcy" pułkownika Miedwiediewa.

— Nikołaju Iwanowiczu, ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Niemcy dotarli do Stalingradu. Powierzono wam wyjątkowo ważne zadanie — powiedział generał.

Kuzniecow milcząco patrzył prosto w oczy jednemu z najważniejszych dowódców NKWD. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Oprócz swego zdecydowania, by wykonać to, czego się od niego oczekuje, nie miał żadnej innej gwarancji, że mu się powiedzie.

— Niewiele wart jest człowiek, dla którego nie istnieje coś, za co gotów jest umrzeć — cicho odpowiedział Kuzniecow patrząc na generała.

— Waszym głównym zadaniem jest dotarcie do poufnych niemieckich planów o przyszłych operacjach wojskowych, porywanie wysokich oficerów i generałów Wehrmachtu, którym powierzono realizację tych operacji — służbowym tonem powiedział generał. — Zresztą przygotowywaliście się do tego. Życzę wam szczęścia i sukcesu! I entuzjazmu w walce!

— Nigdy nie osiągnięto czegoś wielkiego bez entuzjazmu — odparł Kuzniecow.

Kiedy wrócił do bazy, napisał list do młodszego brata, Wiktora, w którym swoją delikatną misję ocenił zdecydowanie, trzeźwo i wyraził przekonanie, że zadanie wykona lub nie wróci żywy:

„Ofiary są nieuniknione. I chciałbym Ci otwarcie powiedzieć, że są bardzo małe szanse, abym wyszedł z tego. Właściwie w stu procentach jest pewne, że będę musiał poświęcić życie. Decyduję się na to z całkowitym spokojem i świadomie, ponieważ jestem głęboko przekonany, że walczę za świętą i słuszną sprawę".

* * *

Tego samego dnia, kiedy Nikołaja Kuzniecowa przyjęli najwyżsi dowódcy NKWD i Sztabu Generalnego, do Moskwy przyleciał premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill wraz z generałem Alanem Brooke'iem, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Alexandrem Cadoganem, marszałkiem lotnictwa Arthurem Tedderem, generałem Archibaldem Wavellem i innymi wysokimi funkcjonariuszami cywilnymi i wojskowymi. Towarzyszył im specjalny wysłannik prezydenta USA, William Averell Harriman. Wieczorem doszło do spotkania Stalina i Churchilla.

W rozmowach prowadzonych na Kremlu pojawiły się znaczne różnice zdań między Stalinem a Churchillem i Harrimanem. Rosjanie nalegali, aby Anglicy i Amerykanie jak najszybciej, do końca 1942 roku, otworzyli drugi front w zachodniej Europie i przerzucili chociaż 6—8 dywizji na wybrzeże francuskie. Churchill przekonywał, że takie posunięcie przyniosłoby więcej strat niż korzyści. Wspomniał też, że na 1943 rok przygotowywane są wielkie operacje aliantów w Europie.

Porozumienie w tej kwestii nie zostało osiągnięte, chociaż obie strony były przeciwne dalszemu zaostrzaniu się wzajemnych stosunków w czasie, gdy Wehrmacht miał inicjatywę na wszystkich frontach.

Po powrocie do Londynu Churchill stwierdził, że rząd radziecki uznał powody, dla których alianci nie są w stanie utworzyć drugiego frontu w 1942 roku. Na to ambasador radziecki w Londynie, Iwan Majski, wystąpił z démarche do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony'ego Edena, informując, że wizyta Churchilla rozczarowała rząd radziecki, ponieważ główny problem nie został rozwiązany.

Radziecka i brytyjska prasa opublikowały oficjalny komunikat o rozmowach Churchilla w Moskwie 25 sierpnia, w dniu, w którym w odległości około 150 kilometrów od Równego wylądowała na spadochronach grupa wywiadowców, wśród których znajdował się także Nikołaj Graczow. Do oddziału „Zwycięzcy" dołączyli jeszcze: Iwan Sokołow, Nikołaj Prichodko, Michaił Szewczenko, Nikołaj Hnediuk, jak również internacjonaliści z Jugosławii, Hiszpanii, Bułgarii i Polski, łącznie 13 osób.



Pan Bolek

Kuzniecow był człowiekiem opanowanym. Prawie nikt spośród jego współpracowników nie przypomina sobie, by się denerwował, podnosił głos czy też okazywał dezaprobatę.

„Należał do tego rodzaju ludzi, którzy mało mówią o sobie i o których więcej mówią ich czyny niż słowa — pisze Dmitrij Miedwiediew we wspomnianej już książce. — Im bliżej go poznawałem, tym bardziej przekonywałem się, że powodem jego skrytości nie była niekomunikatywność ani zarozumiałość, lecz skromność — naturalna skromność człowieka, który w swym życiu nie znajdował niczego, czym mógłby zaskoczyć lub zadziwić innych ludzi. Życiorys swój uważał za zupełnie zwyczajny i często zazdrościł tym, których życie było burzliwe, wypełnione, jak mu się zdawało, bardzo ciekawymi zdarzeniami (...)

Dzień przylotu wywiadowców był zimny, deszczowy. Kuzniecow, wprowadzony do oddziału jako Nikołaj Graczow, został skierowany do sztabu oddziału.

Wkrótce doszło między nami do rozmowy:

— Czy wasza rodzina została w Moskwie? — zapytał mnie nieoczekiwanie.

— Tylko moja żona — odpowiedziałem. — Syn poszedł do wojska na ochotnika.

— Wiecie coś o nim?

— Prawie nic.

— Ja o moich też nic nie wiem. Brat jest w wojsku, od pierwszego dnia. W październiku 1941 roku pod Wiaźmą znalazł się w okrążeniu. Miesiąc błądził po lesie, głodował, ale jakoś wybrnął z tego. Dotarł do Wołokołamska, a stamtąd do Moskwy. Wyobraźcie sobie, zadzwonił do mnie z dworca kolejowego. Spędziliśmy razem dwie godziny, dopóki pociąg stał. Gdzie on jest teraz? Nie wiem. Przed odlotem wysłałem mu list pocztą polową (...)

Nasza rozmowa została nagle przerwana. Zauważyliśmy kogoś w pobliskich zaroślach. Wyraźnie słychać było czyjś urywany oddech. Bez słów, z odbezpieczoną bronią, podeszliśmy bliżej.

Zobaczyliśmy chłopczyka, sześcio- lub siedmioletniego. Leżał z głową odrzuconą do tyłu. Malec ledwie słyszalnie zareagował na nasze zawołanie.

Wyglądał strasznie. Chude ciało, żebra obciągnięte posiniaczoną skórą, nienaturalnie cienkie nogi. Ubrany był w jakieś łachmany. Na nogach ropiejące rany. Patrzył na nas mętnymi oczami, w których nie było życia, i trząsł się. Dowiedzieliśmy się, że nazywa się Pinej, uciekł z getta w poszukiwaniu matki, którą razem z grupą Żydów faszyści wywieźli gdzieś za miasto. Z jakiegoś powodu szukał jej w lesie. Zabłądził. W zaroślach leżał dwa lub trzy dni.

Nikołaj stał blady, z zaciśniętymi ustami. Nie mówiąc ani słowa, zdjął ocieplaną kurtkę i troskliwie podniósł malca, jakby bał się zrobić mu krzywdę, owinął go i szybkim krokiem zaniósł do obozu.

Wieczorem przyszedł do mnie i poprosił, abym jak najszybciej wysłał go do Równego".

Ale tu pojawiła się nowa, bardzo poważna i niebezpieczna przeszkoda. Chodziło niby o drobiazg, ale mógł on mieć fatalne skutki. Nikołaj Iwanowicz czasami mówił przez sen, oczywiście po rosyjsku.

— To może was zdradzić — powiedział mu Miedwiediew. — Musicie zapomnieć rosyjski. Właśnie tak, zapomnijcie, że mówicie po rosyjsku. Rozmawiajcie wyłącznie po niemiecku. Wykorzystajcie w tym celu doktora Cesarskiego.

Oddział „Zwycięzcy" na początku liczył około 100 ludzi, a później liczba ta zwiększyła się. Pułkownik Miedwiediew nie chciał, by sztab był zlokalizowany ciągle w tym samym miejscu — ani sytuacja, ani zadania nie pozwalały na to. Dlatego oddział często przemieszczał się z jednego miejsca na drugie. Działalność partyzancko-wywiadowcza wymagała bowiem dużej ostrożności.

W zimie partyzanci zwykle mieszkali w ziemiankach, a w innych porach roku w dobrze zamaskowanych namiotach i szałasach przykrytych jodłowymi gałęziami. Baza miała kształt półokręgu. W środku, na małej płycie, rozpalano ognisko, a obok niego symetrycznie, w rzędach, stały namioty dowództwa. Kilka metrów dalej była służba sanitarna, radiostacja i kuchnia. Obok miała swoje miejsce

grupa wywiadowcza, a za nią jednostka bojowa. Zwykle taki obóz wznoszono w ciągu jednego dnia.

O misji Kuzniecowa w oddziale wiedział tylko Miedwiediew, częściowo wtajemniczony był też komisarz Siergiej Stiechow i dowódca służby wywiadowczej Aleksander Łukin. Właśnie jemu po przybyciu do obozu Nikołaj Graczow oddał na przechowanie swój *Soldbuch* — książeczkę wojskową, jedyny dokument tożsamości w Wehrmachcie.

Oprócz kilku niemieckich mundurów Kuzniecow przywiózł z sobą także różne odznaczenia, między innymi dwa Krzyże Żelazne, specjalne znaczki i książeczki gestapo i Abwehry.

Oczywiście miał do nich oficjalne dokumenty: „W imieniu Führera i głównodowodzącego Wehrmachtu odznaczam Paula Sieberta z 230 pułku piechoty Krzyżem Żelaznym I klasy. Rejon działalności bojowej, 4 sierpnia 1940 roku. Komendant 26 dywizji piechoty generał-leutnant..."

Komisarz oddziału, Siergiej Stiechow, tak w swym dzienniku odnotował pierwsze kroki Kuzniecowa w lasach sarneńskich:

„21.09.1942. Nocą wrócił Graczow (z trzema partyzantami). Trafił na zasadzkę lub na przednią straż niemieckiej jednostki. Strzelali do naszych, lecz oni nie odpowiedzieli (i słusznie zrobili), gdyż ich zadaniem było ciche rozpoznanie. Cofnęli się trochę, obeszli Niemców od tyłu i spokojnie wrócili do bazy. Niemcy jeszcze przez 40 minut strzelali w pustkę. Graczow jest bojowym i operatywnym wywiadowcą.

22.09.1942. Graczow powrócił z rozpoznania w Rudni Lenczyńskiej. Uzyskał informacje: do Berezy przybyło 900 węgierskich żołnierzy. Graczow dostał zadanie napisania ulotki przeznaczonej dla żołnierzy i oficerów. Jest mistrzem we wszystkim.

27.09.1942. Graczow odwiedził naszego tajnego agenta (w okolicy wsi Karpiłowka). Ten powiedział mu, że we wsi nocuje 30 Niemców. Po złożeniu raportu Graczow poprosił o 10 ludzi z karabinami maszynowymi i chciał rozbroić i zniszczyć Niemców. Odważny człowiek: 10 na 30!"

Po miesięcznej pracy na tyłach nieprzyjaciela, na początku października 1942 roku, Kuzniecow dostał z Moskwy rozkaz rozpoczęcia bezpośrednich przygotowań do wyruszenia do Równego. Działo się to w szczytowym okresie bitwy stalingradzkiej, gdy na Wołdze

ważyły się losy II wojny światowej, gdy każda informacja o planach Wehrmachtu była bezcenna.

Pierwszy odwiedził okupowane Równe Nikołaj Prichodko, którego Kuzniecow poznał na moskiewskim lotnisku tuż przed odlotem. Prichodko był prawdziwym junakiem, śniadym, wysokim, barczystym. Urodził się w Zdołbunowie, w pobliżu Równego. Został ewakuowany do miasta Penza. Stamtąd wysłano go do Moskwy, gdzie przyłączył się do oddziału wywiadowczego.

— Największą władzą jest panowanie nad samym sobą — powiedział mu Kuzniecow, odprowadzając go do Równego, które Niemcy uczynili stolicą Ukrainy.

Nikołaj spotkał się tam ze swoim bratem Iwanem, którego żona i teściowa były z pochodzenia Niemkami.

Dzięki temu Iwanowi Prichodko udało się dostać od władz niemieckich dokumenty volksdeutscha. On, a później także cała rodzina zaproponowali Nikołajowi współpracę z członkami oddziału „Zwycięzcy".

* * *

Michaił Makarowicz Szewczuk był najstarszy w grupie Kuzniecowa. Trochę flegmatyczny, niezbyt rozmowny, o wyniosłej postawie, sprawiał wrażenie człowieka o chwiejnym charakterze. Jako doświadczony komunista miał za sobą wiele lat działalności konspiracyjnej. Mówiono o nim, że był twardszy niż kamień.

W Równem Szewczuk zamieszkał jako Bolesław Jankiewicz. Swoim zachowaniem i ubiorem sprawiał wrażenie nobliwego pana. Wszystko miał staromodne: i ciemne ubranie, i melonik, i okulary, i „obowiązkowy" bukiecik kwiatów w ręce, co zresztą było też typowe dla niemieckich oficerów.

A. Łukin i T. Gładkow piszą, że Jankiewicz oficjalnie zajmował się handlem. Ciągle kręcił się po komisach i miejscach, gdzie zbierali się spekulanci i przemytnicy. Wszyscy byli przekonani, łącznie z policją kryminalną, że pan Bolek jest współpracownikiem gestapo. Zdarzało się nawet, że donosiciele pokazywali panu Bolkowi radzieckich patriotów.

Nieco wcześniej miało miejsce pewne ciekawe zdarzenie. Niejaki Marczuk, agent faszystowskiej policji kryminalnej w Równem, czę-

sto obserwował dystyngowanego pana kupującego w komisach różne rzeczy, prawdopodobnie po to, by je odsprzedawać. Pewnego razu Marczuk zobaczył, jak pan w średnim wieku kupował zdekompletowane instrumenty chirurgiczne i drogą odzież w dużych rozmiarach. Wziął ją nawet bez przymierzania.

Skorumpowana, kolaborancka policja kryminalna była na okupowanych terenach siedliskiem przemytników i rabusiów. Marczuk umówił się więc ze swoimi kolegami, że wezmą łapówkę, a ściślej, że obrobią nieznanego spekulanta.

— Jeśli nie zgodzi się na to, zaprowadzimy go na policję — planowali kolaboranci.

Niezręczni agenci w dość naiwny i wyraźnie natrętny sposób zaczepili Szewczuka w sklepie i zaproponowali mu spotkanie w restauracji. Tam zamówili obiad i drogie wino.

— Jesteś zwykłym nicponiem, panie Jankiewicz, a nie prawdziwym spekulantem, za jakiego chcesz uchodzić — powiedział przy kawiarnianym stole Marczuk, uśmiechając się cynicznie.

Jankiewicz wyprostował się nieco, popatrzył kolaborantowi prosto w oczy, nalał sobie kolejny kieliszek francuskiego wina i dalej jadł w spokoju, jakby nic nie zaszło.

— Słuchaj, ty frajerze, nie lubię dużo mówić: albo podzielisz się z nami forsą, albo od razu pójdziesz do kicia. Sami możemy cię skazać, jeśli zajdzie tego potrzeba!

Pan Bolek z wyższością przeszył ich wzrokiem, wypił jeszcze jeden kieliszek wina i głosem pełnym obrzydzenia i pogardy, powiedział:

— Łajdacy są zawsze najsurowszymi sędziami. Jacy z was agenci policji kryminalnej? Jesteście zwykłymi prowincjonalnymi łachudrami i złodziejami w mundurach. Kogo chcecie nastraszyć? Mnie, zaufanego człowieka Trzeciej Rzeszy? — wyciągnął z kieszeni kamizelki metalową odznakę i podsunął pod nos Marczukowi. Był to znaczek tajnego agenta gestapo, który dał mu Kuzniecow.

Agenci policji kryminalnej bali się gestapowców. Długo przepraszali Jankiewicza i szybko uregulowali rachunek.

Dzięki temu Michaił Szewczuk zyskał szczególną reputację i podszyty strachem szacunek wśród różnych awanturników i zdrajców w okupowanym Równem, co dawało mu większe możliwości rozszerzenia pola wywiadowczej działalności.

Przygotowując przybycie Nikołaja Graczowa, w październiku odwiedzili ukraińską stolicę Polikarp Wozniuk, Nikołaj Bondarczuk i Nikołaj Strutyński. Nikołaj Hnediuk uchodził za handlowca.

Hnediuk wziął ze sobą kilka różnych dokumentów, ale najważniejszy był ten, według którego był on Janem Bagińskim urodzonym w Kostopolu, piekarzem w wojskowej piekarni. Oczywiście dysponował dużymi pieniędzmi, które „zainwestował w interesy". Szybko zdobył opinię przedsiębiorczego i zręcznego spekulanta, nie bojącego się ryzyka w handlu i obracającego dużymi sumami pieniędzy. W rzeczywistości handel przynosił tylko straty, ale od bankructwa ratowały go pokaźne, przysyłane z Moskwy, kwoty w markach okupacyjnych i niemieckich. Oczywiście, o ile gorzej szedł mu handel, o tyle lepsze efekty przynosiła praca wywiadowcza.

Wywiadowcy pułkownika Miedwiediewa zdołali od początku października zbadać wszechstronnie warunki i reżim, jaki Niemcy wprowadzili w Równem, jak również ustalili adresy i miejsca, gdzie znajdowały się ważniejsze wojskowe i cywilne instytucje okupanta oraz mieszkania wysokich nazistowskich funkcjonariuszy i generałów.

Nikołaj Kuzniecow całymi dniami rozmyślał o wszystkich szczegółach roli, jaką miał odegrać. Drogą radiową konsultował się z „Centrum" w Moskwie, z Miedwiediewem i Łukinem. Przygotowania, oczywiście, miały charakter nie tylko techniczny. Głównie były one treningiem psychicznym. Trzeba było nauczyć się panowania nad sobą, hamowania swego gniewu i nienawiści, odporności i dyscypliny wewnętrznej.

Aequam memento rebus in arduis servare mentem (Pamiętaj o zachowaniu równowagi w trudnych chwilach) — tak się zaczyna jedna z najpiękniejszych ód Horacego, której Kuzniecow nauczył się w oryginale jeszcze w czasach studenckich i nigdy jej nie zapomniał. Deklamował ją bezwiednie także o zmierzchu 18 października 1942 roku, kończąc ostatnie przygotowania do odjazdu.

Tajna korespondencja Churchilla ze Stalinem

Na początku jesieni do „Zwycięzców" przyłączył się niezwykły „oddział rodzinny" Strutyńskich. Ojciec, Władimir Stiepanowicz Strutyński, przyprowadził ze sobą czterech synów: Nikołaja, Georgija, Rościsława i Władimira.

Oddziałem dowodził najstarszy syn, Nikołaj. Nieco później dołączyli do nich matka, Marfa Iliniczna, siostra Kacia, młodsi bracia Wasia i Sława oraz stryjeczna siostra, Jadzia. Strutyńscy pochodzili z Zachodniej Ukrainy. Ze względu na dobrą znajomość terenu i ludzi od razu zaczęli wykonywać ważne zadania. Nawet stara Marfa Iliniczna jeździła do Łucka z zadaniami konspiracyjnymi. Zginęła później z rąk faszystów.

Władimir Strutyński dostał polecenie odwiezienia Paula Wilhelma Sieberta do Równego. Od bazy partyzanckiej do stolicy trzeba było przebyć długą, ponad 120-kilometrową drogę.

Na rozkaz „Centrum" Nikołaj Graczow miał odwiedzić Równe, obejrzeć i poznać określone obiekty, ocenić sytuację i szybko wrócić do oddziału. Miała to być misja zwiadowcza.

O świcie, 19 października, z lasu wyłoniła się luksusowa dorożka. Po rozmiękłej polnej drodze popędziły dobrze odżywione konie z rozwichrzonymi grzywami i powiązanymi ogonami. Uprząż była z żółtej skóry, ozdobiona pięknymi miedzianymi płytkami. Przy końskich szyjach wisiały skórzane paski z dzwoneczkami.

Dorożkarz popędził konie, coś do nich pokrzykując. Rozparty na tylnym siedzeniu młody mężczyzna pozornie drzemał. Oprócz wielu papierów i odznaki SS miał w kieszeni dokument, że nazywa się Paul Siebert, jest oficerem Wikdo i dowodzi akcją zbierania prowiantu w obwodzie Równe. Dokument zawierał prośbę, by okazać mu w pracy wszechstronną pomoc.

Na osiemdziesiątym kilometrze od Równego, w Kudryńskim chutorze, podróżni zatrzymali się u Wacława Żygadły, krewnego Stru-

tyńskiego. Przenocowali i ruszyli dalej. W pobliżu Równego znów zatrzymali się u innego krewnego Strutyńskiego. Tam zostawili konie i dorożkę i do miasta doszli pieszo.

Zgodnie z ustaleniami, Paul Siebert szedł jedną stroną ulicy, a Władimir Strutyński drugą. Przechodząc główną ulicą Równego, leutnant piechoty salutował starszym rangą oficerom i niedbale odpowiadał na honory oddawane mu przez żołnierzy. Co jakiś czas zatrzymywał się przed wystawami sklepów, kawiarniami i kinowymi reklamami. Na rogu placu Defilad kupił gazetę od małego chłopca, ale nie czytał jej. Przebiegł tylko wzrokiem po tytułach i włożył ją do kieszeni. Zatrzymał się przed restauracją „Deutschehof" (na drzwiach był napis *Nur für Deutsche*), chwilę się zastanowił, a potem wszedł do środka. Zamówił kawę i kieliszek koniaku. Po dziesięciu minutach wyszedł na ulicę.

Kupił paczkę papierosów i zapałki. Na małym skwerze siadł na ławce i zapalił papierosa. „Niemcy nie mają zwyczaju palić idąc" — przypomniał sobie instrukcję wykładowcy z podmoskiewskiej bazy.

— Trzęsły mi się nogi i ręce. Myślałem, że wkrótce mnie złapią — opowiadał później Władimir Strutyński. — Odwracałem się, gdy tylko zobaczyłem żandarma lub policjanta. Miałem wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie. A Nikołaj Graczow, widzę, idzie jak książę. Czyta napisy na urzędach, zatrzymuje się przy wystawach sklepów. Niemcom odpowiada *Heil Hitler!* Cztery godziny wodził mnie po mieście. Nieustraszony człowiek!

Kiedy już obeszli Równe, Strutyński zaprowadził Kuzniecowa do swego krewnego, Kazimierza Dąbrowskiego, który złożył przysięgę radzieckiemu wywiadowcy, że będzie pomagać partyzantom.

Około godziny 15 (o 18 zaczynała się godzina policyjna) Kuzniecow i Strutyński wrócili z miasta, wsiedli do dorożki i po dwóch dniach znowu znaleźli się w bazie oddziału.

Zachowane sprawozdania mówią, że Kuzniecow był zadowolony z pierwszej wizyty w Równem. Nie zauważył żadnej podejrzanej reakcji wobec siebie. Zażądał tylko dwóch rzeczy — szynela i czapki z daszkiem. Był bowiem tylko w cienkim mundurze i w furażerce, jaką zwykle noszą żołnierze na froncie, podczas gdy większość oficerów w stolicy nosiła czapki z daszkiem.

Nowe ubranie i szynel dla Graczowa uszył warszawski krawiec, który przyłączył się do oddziału po ucieczce z getta.

Tego samego wieczoru Graczow wysłał swój pierwszy radiogram do „Centrum" w Moskwie.

„Ruch na ulicach jest bardzo duży. Na Deutschestrasse są parkingi dla samochodów — po sto miejsc na każdym. Dużo jest oficerów sztabowych, urzędników, gestapowców, esesmanów, służby bezpieczeństwa. Salutowało mi około trzystu oficerów i żołnierzy. Miasto pełne jest szpiegów i agentów gestapo. Reichskomisarz przyjmuje we wtorki i czwartki".

Jednocześnie do Równego wysłano niezależnie innych wywiadowców, każdego z jakimś zadaniem. Pułkownik Miedwiediew uprzedził wszystkich partyzantów:

— Jeśli spotkacie kogoś z naszych, nie dziwcie się, nie witajcie się z nim. Przejdźcie tak, jakbyście go nie znali.

Kilka dni po pierwszej wizycie Siebert znów wyruszył dorożką do Równego. Tym razem powoził Nikołaj Hnediuk, czyli, zgodnie z dokumentami, Jan Bagiński.

Agenci, zwiadowcy i łącznicy nigdy nie szli prosto do oddziału. Ich droga, według ustalonej zasady, kończyła się na „zielonym świetle" w pobliżu wsi Orżewo, oddalonej o 20 kilometrów od Równego. Tutaj przekazywali informacje i paczki stale dyżurującym partyzantom, odpoczywali, dostawali instrukcje dla agentów w mieście i ruszali z powrotem. Nieco później „zielone światło" zorganizowano też w pobliżu Łucka.

Kiedy Graczow wracał do oddziału, w „zielonym świetle" zawsze czekała na niego grupa ochrony (nigdy nie pojawiał się tam w mundurze niemieckim) i towarzyszyła mu do samej bazy. Taką samą ochronę miał i w drodze z bazy do „zielonego światła", kiedy wyruszał do miasta.

Najpierw jeździł dorożką lub dwukółką, później motocyklem lub samochodem „pożyczonym" zwykle od Niemców.

W Równem początkowo zatrzymywał się u Iwana Strutyńskiego lub u jego krewnego Kazimierza Dąbrowskiego, później zmieniał mieszkania.

Trzy dni po jego wyjeździe do Równego w oddziale nieoczekiwanie wybuchła panika. Niezwykły przypadek sprawił, iż natychmiast zrodziło się podejrzenie, że doszło do tragedii, zdrady lub napadu.

Dorożką z gniadymi końmi, którą Graczow pojechał do stolicy,

przybyli z Równego agenci, Mażura i Busznin, którzy nie znali Kuzniecowa, a do oddziału przychodzili tylko na wezwanie.

— Gdzie znalazłeś te konie? — zapytał Miedwiediew Mażurę.

— Co mam wam, komendancie, opowiadać... Zwinęliśmy je Niemcom.

— Jak to?

— Normalnie. Właśnie przygotowywaliśmy się do powrotu do bazy, kiedy zobaczyliśmy przez okno, że tymi końmi przyjechał oficer niemiecki. Wyszedł z dorożki i zniknął. Dorożkarz zdjął uzdy, założył koniom worki z owsem i także poszedł sobie. A my myślimy: dlaczego mamy iść piechotą tak daleko, a tu takie rumaki. Zabraliśmy konie i wio!

* * *

Do warunków w Równem Paul Siebert przystosowywał się ostrożnie i w sposób przemyślany. Jak mówią wywiadowcy, „zasięgał języka". Starał się nie rzucać w oczy, lecz nie było też czasu na zbyt długie zwlekanie i przesadne ustalanie taktyki.

Na początku Siebert unikał wchodzenia do niemieckich urzędów wojskowych i cywilnych, ponieważ jego dokumenty, chociaż zrobione bez zarzutu, były fałszywe. Dlatego zdecydował, że głównymi obiektami jego działalności będą miejsca, gdzie niemieccy oficerowie spędzali czas wolny od służby, na przykład najlepsza restauracja w mieście, „Deutschehof", restauracja na dworcu kolejowym, kasyna, niektóre kawiarnie i sklepy.

Aequam memento rebus in arduis servare mentem — mówił sam do siebie, gdy swobodnie i naturalnie wchodził do restauracji i pozornie roztargnionym wzrokiem ogarniał salę, by wybrać najdogodniejszy stół. Zazwyczaj taki, za którym siedział samotny gość. Często też siadał w pobliżu hałaśliwego, podpitego towarzystwa. W ten sposób łatwiej było poznać współbiesiadnika albo po prostu podsłuchać rozmowę pijanych Niemców i wyciągnąć z pustej i bezładnej paplaniny pożądane informacje.

Leutnant Siebert, był, zdaniem współpracowników, taktowny, uprzejmy, dostojny i nikomu się nie narzucał. Wybierał najodpowiedniejsze chwile, żeby się przedstawić, zwykle dopiero wtedy, gdy przekonał się, że współbiesiadnik sam rozpocznie rozmowę. Niekiedy pretekstem była prośba o podanie solniczki, niekiedy zaś pytanie o godzinę.

Nie rzucać się w oczy; być cierpliwym, powściągliwym, pozornie obojętnym. Każde zbyt wczesne lub niezręcznie postawione pytanie mogło zwrócić na niego uwagę lub nawet wzbudzić w rozmówcy podejrzenie. W żadnym wypadku nie mógł pytać o sprawy, które z natury rzeczy muszą być powszechnie znane oficerom Wehrmachtu.

Urok osobisty, takt i wyczucie, jak również umiarkowana komunikatywność umożliwiły Kuzniecowowi pozyskanie pierwszych znajomych i zaprzyjaźnienie się z nimi. Do spotkań dochodziło zwykle w restauracjach lub mieszkaniach prywatnych. Szczególnie przypadł do gustu komendantowi żandarmerii polowej, Richardowi, lubiącemu towarzystwo szczodrego i wytwornego leutnanta, od którego w każdej chwili można było pożyczyć setkę marek.

Komendant uwielbiał towarzystwo kobiet, libacje i długie rozmowy o niczym. Pewnego razu zdradził Kuzniecowowi szczegóły przygotowywanej wielkiej obławy w Równem i okolicy i, na wszelki wypadek, przekazał mu hasło umożliwiające poruszanie się po mieście nocą. Oczywiście, Kuzniecow od razu o wszystkim powiadomił oddział, aby na czas mogły być przedsięwzięte odpowiednie kroki. Takie informacje były wyjątkowo ważne. W krytyczne dni agenci i partyzanci zaprzestawali działalności, a pułkownik Miedwiediew nie wysyłał ludzi do Równego.

Grupa Kuzniecowa codziennie przesyłała do Moskwy mnóstwo informacji o lokalizacji i ruchach jednostek niemieckich oraz inne ważne dane, które zdobywała w Równem — „małym Berlinie", jak mówili niemieccy oficerowie.

W pewien chłodny, deszczowy wieczór leutnant Siebert siedział w restauracji „Deutschehof" wypełnionej do ostatniego miejsca. Tylko przy jego i Richarda stoliku były dwa wolne krzesła. Komendant żandarmerii pił rum i obmawiał jakiegoś oficera.

— Czy panowie pozwolą, że przysiądę się do ich stolika? — zwrócił się do Sieberta i Richarda korpulentny major w galowym mundurze, w jakim niemieccy oficerowie na ogół rzadko przychodzili do restauracji. Był z nim niski, chudy kapitan o drobnej, ptasiej twarzy.

— Radzi jesteśmy gościom, panie majorze — powiedział wysuwając krzesło Siebert. — Zawsze ozdobą domu są przyjaciele, którzy przychodzą z wizytą — dodał, uśmiechając się z zadowoleniem.

Od obu oficerów czuć było alkohol. Ten barczysty usiadł obok Ri-

charda i od razu poczęstował nowych znajomych drogimi egipskimi papierosami. Siebert zauważył, że jego twarz była zorana szerokimi, ciemnoczerwonymi bliznami. Na skroni, pod rzadkimi włosami, niespokojnie drgały niebieskie żyłki. Wyglądał na człowieka, którego czekają ciężkie chwile. Portfel miał wypchany pieniędzmi. Z galanterią zamawiał francuskie wina i hojnie płacił, wprost tocząc o to boje z sympatycznym i trochę wstydliwym leutnantem Siebertem.

Tego wieczoru Kuzniecow wrócił późną nocą do mieszkania Iwana Prichodko. Od razu wysłał radiogram do „Centrum" w Moskwie.

„Wszystko wskazuje na to, że w Równem znajduje się specjalna jednostka dywersyjna Wilhelma Canarisa. Ma ona do spełnienia jakąś ważną, tajną misję na Kaukazie. Przy pomocy «Legionu Kaukaskiego» złożonego, jak się wydaje, z miejscowych zdrajców lub emigrantów i jednostki Abwehry hitlerowcy zamierzają zaskakującym atakiem zająć źródła nafty koło Baku lub wysadzić je w powietrze. Informacje te zdobyłem osobiście w czasie długiej, chaotycznej rozmowy z podpitym majorem Johannem Selerem i kapitanem Wagnerem, którzy są właśnie w drodze na Kaukaz. Nikołaj W. Graczow".

Dziesięć dni później brytyjski ambasador w Moskwie, A. Kerr, poprosił o pilne przyjęcie go przez radzieckiego ministra spraw zagranicznych, Wiaczesława Mołotowa. Przy tej okazji zostało przekazane Mołotowowi:

„Ściśle tajne pismo od premiera, pana Winstona Churchilla do rąk własnych pana Stalina

1. Z tego samego źródła, z którego korzystałem, by uprzedzić Pana o przygotowywanym napadzie na Związek Radziecki, dostałem następującą informację. Jestem przekonany, że źródło to zasługuje na absolutne zaufanie. Proszę, by informacja była wyłącznie do Pańskiego użytku.

Niemcy mianowali już admirała, którego zadaniem będzie prowadzenie morskich operacji na Morzu Kaspijskim. Na swoją główną morską bazę wojskową wybrali Machaczkałę. Około 20 okrętów, łącznie z włoskimi okrętami podwodnymi, szybkie łodzie motorowe i trałowce dotrą koleją z Mariupola nad Morze Kaspijskie, gdy tylko będzie wolna linia. Z powodu zamarznięcia Morza Azowskiego okręty podwodne będą zanurzone do zakończenia budowy linii kolejowej".

Kilka dni później nadeszło od Churchilla do Stalina kolejne pismo.

„Uzupełniając pierwszy punkt mego listu informuję Pana, że moje ostatnie informacje wskazują, iż realizowane są plany kierowania okrętów na Morze Kaspijskie linią kolejową".

Dzień później ambasador A. Kerr wręczył trzecie tajne pismo Mołotowowi:

„Niewątpliwie jest Panu wiadome, że jeśli Hitler straci nadzieję na zajęcie Baku, będzie dążył do zniszczenia go atakiem z powietrza. Proszę, niech Pan uwierzy w moją informację".

Radziecki ambasador w Londynie, Iwan Majski, przekazał później Anthony'emu Edenowi odpowiedź Stalina do Churchilla:

„Do rąk własnych premiera Churchilla
od premiera Stalina

Cieszymy się bardzo z Waszych sukcesów w Libii i z pomyślnego początku operacji «Torch». Życzę Wam pełnego sukcesu.

Dziękuję Panu za ostrzeżenie w sprawie Baku. Podjęliśmy środki obrony" *.

Zanim Stalin wysłał list do Churchilla, „Legion Kaukaski" Wilhelma Canarisa został rozbity przez wojska Frontu Północnokaukaskiego pod dowództwem Siemiona Budionnego. W likwidacji i wyłapywaniu „legionistów" uczestniczyły dwie dywizje radzieckiego Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD) wchodzące w skład Frontu Północnokaukaskiego.

Dzięki niezwykłej intuicji i umiejętności bycia szczerym rozmówcą, dzięki nakłonieniu partnera do swobodnej rozmowy i wylewności, Kuzniecowowi w sposób prawie banalny udawało się wiele razy zdobyć zaufanie i poznać sporo tajemnic o zasadniczym znaczeniu. Oczywiście jedna z nich dotyczyła „Legionu Kaukaskiego", o którego istnieniu i zamiarach wywiad brytyjski dowiedział się dopiero kilka dni później. Niemiecki feldmarszałek Erich von Manstein, uchylając się od powiedzenia prawdy, winił Hitlera za klęskę na Kaukazie z powodu „niedostatecznego przygotowania" operacji i „ciężkich warunków geograficznych".

Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, ponieważ po wojnie niemieccy feldmarszałkowie i generałowie w swoich pamiętnikach wszyst-

---

* *Tajna prepiska Churchill—Stalin*, Zagreb 1965.

kie zwycięstwa przypisywali sobie, a klęski Hitlerowi. Czyni to również butny Manstein, zapominając, że i on kiedyś przyklaskiwał wojskowemu geniuszowi führera.

Jesienią 1942 roku sytuacja wyglądała inaczej. Po niepowodzeniu planu zdobycia Kaukazu i operacji „Tamara", której celem było zorganizowanie antyradzieckiego powstania w Azerbejdżanie i innych republikach kaukaskich, Hitler zwołał naradę na najwyższym szczeblu z udziałem Hermanna Göringa, Heinricha Himmlera, Wilhelma Keitla, Martina Bormana, Alfreda Jodla, Burkharta Müllera, Wilhelma Canarisa, Ericha Mansteina i innych.

— Powtarza się sytuacja z I wojny światowej — powiedział z irytacją Göring. — Niemcy znów męczy brak paliwa, podczas gdy przeciwnicy mają go więcej niż im potrzeba. Co dalej po klęsce na Kaukazie? Może po zajęciu Stalingradu skierować uwagę na źródła nafty między Wołgą i Uralem? Führer w to wierzy, my w to wierzymy i mamy nadzieję. Nie wiem tylko, czy to wystarczy i czy dzięki temu zdołamy nasze ogromne wysiłki doprowadzić do pomyślnego końca.

Trzy lata później, w okrążonym podziemnym bunkrze w Berlinie, drugi rangą dostojnik Trzeciej Rzeszy, Hermann Göring, z melancholią przypomniał sobie słowa Schillera: „Lepszy straszny koniec niż strach bez końca".

„Polowanie na indyka"

Z wielkim opóźnieniem, dopiero w październiku 1942 roku, Sztab Generalny radzieckiego Naczelnego Dowództwa zaczął z różnych źródeł otrzymywać wiadomości, z których wynikało, że Hitler, Göring, Himmler, Halder przenieśli swoją siedzibę gdzieś na terytorium Ukrainy. Na początku listopada takie sprawozdania traktowane były coraz poważniej.

„Centrum" w Moskwie weszło w kontakt z wieloma agentami i oddziałami partyzanckimi w Zachodniej Ukrainie i Białorusi, żądając od nich pilnych informacji; poszukiwania miały być przeprowadzane dyskretnie i w największej tajemnicy.

Nikołaj Kuzniecow drogą radiową otrzymał zadanie, by jak najszybciej spróbował dowiedzieć się, gdzie znajduje się Kwatera Główna Hitlera, „Werwolf" (Wilkołak).

Sekretarz Stalina zorganizował na żądanie swego szefa wielką naradę Państwowego Komitetu Obrony, Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa i szefów służb wywiadowczych.

Atmosfera była napięta. Wszystkich zaskoczyło nieoczekiwane zebranie na tak wysokim szczeblu i sądzili, że trzeba podjąć jakąś ważną decyzję w związku z ciężką sytuacją pod Stalingradem, gdzie walki toczyły się już od sierpnia. Pilnie wezwano z frontu marszałków Koniewa i Rokossowskiego oraz generała Wasilewskiego, chociaż ich obecność na polu walki była niezbędna.

Stalin i Wasilewski weszli na salę ostatni. Na ich przyjście zebrani czekali 40 minut. Od razu po przylocie z frontu Aleksandr Wasilewski, wtedy jeszcze generał, został przyjęty przez Stalina i zakomunikował mu, że tego ranka w rejonie Biełgorodu strącono niemiecki samolot, którego pilot zginął, a jedyni pasażerowie — pułkownik i jego adiutant uratowali się.

W obawie, że zostaną schwytani przez partyzantów, Niemcy próbowali zniszczyć teczkę z ważnymi dokumentami i popełnić samo-

bójstwo. To drugie im się udało, ale teczka wpadła w ręce radzieckich partyzantów.

Niemieckie dokumenty wskazywały, że pułkownik wiózł wiadomość od führera dowództwu niemieckich wojsk pod Stalingradem. Samolot wystartował z Zachodniej Ukrainy, a führer podpisał rozkaz tego ranka. To dowodziło, że Kwatera Główna führera znajduje się gdzieś w zachodnich rejonach Związku Radzieckiego.

— Nie mówcie o tym nikomu ani słowa — powiedział Stalin do Wasilewskiego. — Po naradzie przyjedźcie do mnie na daczę i jeszcze raz rozpatrzymy całą sprawę.

Stalin napełnił fajkę tytoniem, zapalił i powolnym krokiem zaczął się przechadzać.

— A teraz posłuchajmy towarzysza Antonowa — powiedział podchodząc do wielkiej mapy ściennej, obok której stał szef „Centrum".

Generał Aleksiej Antonow, szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, lekko zakaszlał, potem wstał i cichym, oschłym głosem złożył raport:

— Począwszy od lipca 1942 roku otrzymywaliśmy wiele komunikatów z Berlina, Równego, Kijowa i Warszawy, że Hitler i najwyżsi państwowi i wojskowi przywódcy Niemiec przebywają gdzieś na zachodnich terenach Związku Radzieckiego. Nie mieliśmy jednak na ten temat bardziej wiarygodnych danych i takie komunikaty uważaliśmy za umyślną niemiecką dywersję propagandową. Nasza służba radiowa nieco później, na początku sierpnia, kilka razy zarejestrowała niezwykłą aktywność niemieckich stacji radiowych ulokowanych na wschód od Karpat. Wiele razy próbowaliśmy, ale nie udało nam się rozszyfrować długich komunikatów radiowych i rozmów między Berlinem, okręgiem w pobliżu Karpat i punktami dowodzenia wojsk niemieckich lub ich Grup Armii „Północ", „Środek" i „Południe". Początkowo myśleliśmy, że jest to również część niemieckiej praktyki wprowadzania zamieszania w eterze, aby zakamuflować rzeczywiste zamiary. Doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie chodzi o wielką koncentrację wojsk niemieckich w centralnej części Zachodniej Ukrainy przygotowujących się do nowego ataku na Moskwę. Jednak staranne obserwacje z powietrza, jak również liczne informacje otrzymane od służb wywiadowczych z terenu i od oddziałów partyzanckich nie potwierdziły tego przypuszczenia.

— Czy macie jakąkolwiek wiarygodną informację? — wtrącił Wiaczesław Mołotow.

Generał Antonow zmieszał się, spojrzał na Stalina i ciągnął dalej:

— Zauważono jednak, że nieprzyjaciel dysponuje wyjątkowo silnym lotnictwem i obroną przeciwlotniczą w rejonie miast Równe, Winnica i Szepietowka. Ale, przynajmniej jeśli chodzi o Równe, można z całą pewnością powiedzieć, że nie tam znajduje się Kwatera Główna Hitlera. Nie ma jej też w okolicy miasta. Według najnowszych danych otrzymanych z Wiednia i Londynu, istnieje możliwość, że najwyżsi przywódcy Niemiec znajdują się gdzieś w okolicy Lwowa. W tym sektorze w ostatnim czasie zaczęła się zaciekła obława na partyzantów i członków podziemnych organizacji. We Lwowie i okolicy są w tej chwili skoncentrowane potężne siły niemieckie i silna jednostka lotnicza.

Wszyscy obecni z wielką uwagą słuchali sprawozdania doświadczonego generała. Zaskoczył ich podanymi informacjami. Mołotow znów przerwał referującemu, wtrącając krótką uwagę i zwracając się bezpośrednio do jednego z generałów wywiadu:

— Czy sprawozdania z Londynu pochodzą od naszych ludzi, czy Anglików?

— Sprawozdania z Londynu dostaliśmy od Anglika współpracującego z naszym wywiadem. Tak więc nie są to informacje otrzymane od rządu brytyjskiego — krótko odpowiedział generał, oddając znowu głos Antonowowi.

— Nasz specjalny oddział partyzancko-wywiadowczy pułkownika Miedwiediewa także podał, że do Równego przybyli ważni funkcjonariusze niemieccy i że droga Kijów—Łuck jest niezwykle dobrze strzeżona — kontynuował Antonow. — Być może, w tym sektorze znajduje się jakaś wysunięta filia niemieckiego Naczelnego Dowództwa, którą od czasu do czasu odwiedzają Hitler, Göring, Jodl i inni główni przywódcy Wehrmachtu — Antonow popatrzył na Stalina i mówił dalej:

— Uważam, że byłoby stosowne szybkie przerzucenie samolotami określonej liczby oddziałów wywiadowczych w pobliże miejsc, w których, według naszej oceny, być może zlokalizowana jest Kwatera Główna Hitlera lub wysunięta filia niemieckiego Sztabu Generalnego. Myślę także, że trzeba maksymalnie zaktywizować nasz

wywiad za linią frontu, istniejące oddziały partyzanckie i główne punkty wywiadowcze w Europie, szczególnie w Niemczech i Polsce. Nie trzeba podkreślać, jak korzystne byłoby dokonanie niespodziewanego ataku, jeśli przypuszczenia okażą się prawdziwe, i złapanie któregoś z najwyższych przywódców faszystowskich lub dotarcie do niemieckich planów kampanii zimowej.

— Czy nie chodzi przypadkiem o podstępny niemiecki trik w celu zwrócenia naszej uwagi na lasy karpackie, by w tym czasie osłabić obronę pod Stalingradem i jednocześnie zadać nam cios na przykład atakiem z południa na Moskwę? — zapytał zawsze nieufny Stalin. — Wprawdzie w informacji towarzysza Antonowa są pewne uzasadnione przesłanki i wiele niejasnych spraw, ale wydaje mi się, że Niemcy, podsuwając nam różnymi kanałami rozmaite dane, usiłują odwrócić naszą uwagę od głównej sprawy, od tego, co rzeczywiście zamierzają.

W sali zapanowała cisza. Stalin ciągnął dalej, przechadzając się powolnym krokiem:

— Zobaczymy, co zaproponuje towarzysz Saburow, który lepiej od nas zna sytuację na terenach okupowanych.

Generał-major Aleksandr Saburow, komendant partyzanckich oddziałów na Ukrainie i Białorusi, został specjalnie wezwany na naradę do Moskwy. W tym czasie jego sztab znajdował się w obwodzie żytomierskim, który na mapie Sztabu Generalnego i wywiadu był oznaczony jako przypuszczalny rejon lokalizacji Kwatery Głównej Hitlera, czyli „Werwolfu". Zaskoczony, że Stalin zwrócił się bezpośrednio do niego, Saburow nagle wstał, stanął prawie na baczność, popatrzył nieco nieprzytomnym wzrokiem w sufit i drżącym głosem zaczął:

— Towarzyszu Stalin, nie wierzę, by jakiekolwiek wyższe niemieckie władze znajdowały się w rejonie Żytomierza. Nie jest jednak wykluczone, że są one zlokalizowane na południe lub na zachód w kierunku Lwowa. Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, by ustalić rzeczywisty stan rzeczy. Zaktywizujemy wszystkie nasze kontakty wśród ludności, a oddziały partyzanckie bardzo szybko przeszukają wszystkie krytyczne miejsca wokół Żytomierza. Muszę jednak powiedzieć, że Żytomierz w ciągu ostatnich miesięcy został niezwykle umocniony, co może wywoływać określone podejrzenia. Oprócz tego oczekujemy pomocy od Sztabu Generalnego, gdyż jeśli

prawdziwe są wysunięte przypuszczenia, Hitler z pewnością nie ukrywa się w jakimś bunkrze i chroni go na pewno przynajmniej kilka elitarnych dywizji.

W tej sytuacji podjęto decyzję o stworzeniu komisji w składzie: Aleksiej Antonow, Aleksandr Saburow, Aleksandr Nowikow (dowódca lotnictwa) i szef wywiadu. Komisja miała szybko zbadać sytuację i w ciągu dwóch dni przygotować zasadniczy plan odnalezienia Kwatery Głównej Hitlera.

— Nierozważne jest rozpoczynanie wielkich poszukiwań, bo byłby to sygnał dla Niemców, aby, ze względu na różne możliwe następstwa, przenieść się z zagrożonego terenu — powiedział szef Sztabu Generalnego, marszałek Szaposznikow. — Niebezpieczne i niecelowe byłoby zwłaszcza większe zaangażowanie lotnictwa.

— Poszukiwania trzeba przeprowadzić szybko, wszechstronnie i energicznie, ale w największej tajemnicy! — wtrącił Stalin. — Operacją musi dowodzić jeden człowiek stąd, członek Sztabu Generalnego. Uważam, że komisja musi o wszystkim na czas informować Sztab Generalny. Niemcy nie mogą nawet w najmniejszym stopniu podejrzewać, że cokolwiek wiemy o pobycie Hitlera na terenach okupowanych.

— Tajemnicy musimy strzec także przed Anglikami i Amerykanami, gdyż u nich na najwyższych szczeblach działają niemieccy agenci — znów interweniował Mołotow zwracając się do szefa „Centrum".

— Hitler coś zamierza — mówił dalej Stalin, jakby rozmawiał sam ze sobą. — Towarzysz Nowikow musi zwrócić szczególną uwagę na aktywność wojsk niemieckich skierowanych na Moskwę. Być może pobyt Hitlera na naszym terenie związany jest z przebiegiem bitwy stalingradzkiej. Jeśli tak jest, to szybko wróci do swojej nory w Niemczech.

Narada skończyła się o trzeciej nad ranem. Okazało się, że najwyżsi dowódcy Armii Czerwonej boją się różnych nieoczekiwanych zwrotów i niespodzianek, z jakimi wiąże się pobyt przywódców Trzeciej Rzeszy na okupowanym terytorium Związku Radzieckiego. W tamtej chwili nikt z całą pewnością nie wiedział, ile jest prawdy w licznych przypuszczeniach wysuniętych na naradzie przez generałów Wasilewskiego, Szaposznikowa, Antonowa, Sierowa i innych.

* * *

Już o wpół do piątej rano „Centrum" z Moskwy nawiązało kontakt radiowy z pułkownikiem Miedwiediewem i jego zastępcą, Łukinem.

— Dzisiaj rano do godziny 9 podajcie nam szczegółowe dane o miejscu, na którym powinien wylądować specjalny samolot, by jutro zabrać Nikołaja Graczowa. Pilnie nawiążcie z nim kontakt i rozkażcie mu, by przybył do bazy oddziału — brzmiał telegram z radzieckiej stolicy.

Polecenie było jednoznaczne i kategoryczne, ale jego realizacja w tak krótkim czasie była prawie niemożliwa. W tym momencie Kuzniecow znajdował się w Równem oddalonym o 120 kilometrów od bazy oddziału. Aby zaś bezpiecznie przebyć tę odległość, trzeba było poczynić określone przygotowania, jakich wymagało uruchomienie punktów przejściowych.

Ponadto nikt nie wiedział, gdzie akurat w tym czasie znajdował się „niemiecki leutnant", Paul Siebert. Ze względów bezpieczeństwa nie można było od razu uruchomić łączności radiowej między Równem i wysuniętym punktem w pobliżu miasta (oddalonym o 35 kilometrów), gdyż stały kontakt ustalono dopiero na godzinę 17.

Miedwiediew wiedział, że nigdy nie należy ryzykować i iść, jak mówią wywiadowcy, „śliską drogą". Każdy pochopny krok mógł pociągnąć za sobą wiele nieprzewidzianych komplikacji, te zaś mogły spowodować katastrofę. Po krótkim namyśle sformułował odpowiedź i polecił radiotelegrafiście zaszyfrować ją i wysłać.

„W ciągu nocy spróbujemy nawiązać kontakt z Graczowem. Lot odłożyć o co najmniej jeden dzień".

Później okazało się, że tego krytycznego dnia leutnant Paul Siebert spędził całe przedpołudnie w kasynie oficerskim w towarzystwie swego nowego znajomego, majora Johanna Heinricha (wysokiego funkcjonariusza Reichskomisariatu), zabawiającego dwie jasnowłose piękności, córki kupca, a raczej spekulanta, Pomerańskiego. Paul Siebert dowiedział się w zaufaniu od Pomerańskiego, u którego się zaopatrywał, że szef służby bezpieczeństwa, doktor Jorgens, wydał mu pozwolenie na pracę, jako że jest tajnym współpracownikiem gestapo.

Dom i sklep Pomerańskiego były miejscem spotkań niemieckich oficerów i różnych awanturników, przemytników, donosicieli, agentów i miejscowych kolaborantów. Często zachodził tu też niemiecki agent Jankowski, który pewnego razu, podpity, rozgadał się przed Siebertem na różne tematy. Przechwalając się swoim autorytetem i znaczeniem, powiedział, że zna wszystkie poufne sprawy w Równem.

— Oto, na przykład, w partyzanckich oddziałach na Wołyniu i Podolu wytrwale pracuje nasz człowiek, pan Wasilczewski. Tak dobrze się tam ustawił, że w oczach dowództwa jest osobą najbardziej godną zaufania. Jest to, panie leutnancie, bardzo zdolny człowiek, jakby miał trzy doktoraty. Niech pan sobie wyobrazi, nasz agent stał się głównym łącznikiem pomiędzy dowództwami poszczególnych oddziałów i ich konspiratorami w mieście. I dlatego ciągle zapełniają się nasze paki.

Kuzniecow o wszystkim powiadomił Moskwę, która od razu ostrzegła dowództwo niektórych oddziałów przed niebezpiecznym, zamaskowanym szpiegiem.

— Czy słyszał pan, panie Siebert, smutną wiadomość? — zapytał Kuzniecowa pewnego dnia kupiec Pomerański, wycierając chusteczką pot z czoła. — Zdybali go partyzanci i chyba ukatrupili. Gdzieś się potknął, chociaż mówi się, że wydała go kochanka, żona jego przyjaciela. Szkoda, wielka szkoda, panie leutnancie! Biedak, taki utalentowany i porządny człowiek!

Kuzniecow zręcznie skierował rozmowę na sprawy miłosne.

— Fałszywa miłość gorsza jest od nienawiści! — rzekł, a potem spojrzał na zegarek i zerwał się zatroskany. — Miłe panienki, szanowni panowie, przykro mi, że muszę opuścić tak przyjemne towarzystwo, ale już jestem spóźniony.

Pan Bolek (czyli wywiadowca Michaił Szewczuk) cały dzień poszukiwał Nikołaja Graczowa. Dopiero wieczorem przypadkowo spotkał go na ulicy i powiedział mu, że wszystko jest przygotowane do natychmiastowego wyruszenia do bazy oddziału.

Niestety, Kuzniecow mógł wyruszyć w drogę dopiero następnego dnia, ponieważ musiał przedtem załatwić pewne nie cierpiące zwłoki, umówione już sprawy. Unikanie ustalonych spotkań mogłoby wywołać rozmaite podejrzenia. Obiecał przyjść wieczorem z córkami Pomerańskiego na bankiet do Heinricha. Później okazało się,

że major Heinrich był „kurą znoszącą złote jajka" w operacji, którą trzeba było przeprowadzić.

Z powodu nieoczekiwanych komplikacji „Centrum" zrezygnowało z przerzucenia Graczowa do Moskwy. Przysłano natomiast trzech doświadczonych agentów, którzy przywieźli ze sobą szkice planu akcji prawie fantastycznej — porwania Hitlera!

Operacja otrzymała kryptonim „Polowanie na indyka". Szczegółowe jej opracowanie pozostawiono Kuzniecowowi, Miedwiediewowi, Łukinowi i specjalistom, którzy właśnie przybyli z „Centrum".

Gdzie jest Hitler?

Któregoś dnia, zimą 1942 roku, Kuzniecow wyszedł z ziemianki, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Wzrok miał zmęczony, oczy obolałe z niewyspania. Całą noc opracowywano szczegóły operacji „Polowanie na indyka". Łamano sobie głowy nad pytaniem: gdzie teraz przebywa führer? Przypadek sprawił, że w tej małej podziemnej kryjówce miała zapaść decyzja, której realizacja będzie miała, być może, światowe znaczenie.

— Nie sądzę, by Kwatera Główna Hitlera znajdowała się blisko granicy z Polską — powiedział Kuzniecow po powrocie z ziemianki. W zamyśleniu przyglądał się wielkiej mapie zachodnich terenów Związku Radzieckiego otrzymanej przed dwoma dniami z Moskwy. Bez sensu byłoby przecież przenoszenie jej z Niemiec. Możemy również z pewnością stwierdzić, że Hitler nie ulokował się gdzieś blisko frontu, bo stanowiłoby to dla niego niebezpieczeństwo. Nie wierzę także, by Kwatera Główna mogła być zlokalizowana na terenach objętych aktywną działalnością partyzantów.

Metodą eliminacji wykluczano poszczególne miasta. Dowództwo oddziału zdecydowało, że ograniczy krąg poszukiwań do czterech punktów: Równe, Łuck, Kijów i Winnica.

Pułkownik Miedwiediew zauważył:

— Naiwnością byłoby sądzić, że Kwatera Główna Hitlera mogłaby znajdować się w jakimś budynku, przy której z głównych ulic tych miast. Należy jej szukać w okolicach. Jest na pewno świetnie zamaskowana i wyjątkowo zabezpieczona.

Potem stwierdzono, że Równe nie wchodzi w rachubę. Kuzniecow, Szewczuk, Hnediuk, Prichodko, Strutyński, Mażura, Busznin i ich współpracownicy dokładnie zlustrowali stolicę okupowanej Ukrainy, ale ani w samym mieście, ani w jego okolicy nie znaleźli nic, co by przypominało Kwaterę Główną, do której z pewnością nie mogliby się nawet zbliżyć.

Następnie Miedwiediew rozkazał pilnie przeczesać Łuck, co nie było wcale proste. Znajdowała się w nim rezydencja generalnego komisarza okręgu Wołynia i Podola, okrutnego generała Schöna. Zadanie wykonano bezbłędnie w ciągu zaledwie dwóch dni, ale nie odkryto nic podejrzanego. W końcu odpadł także Kijów, ponieważ działał tam, mimo terroru okupanta, wyjątkowo silny ruch oporu.

Pozostawała jeszcze Winnica, miasto położone na Ukrainie nad Bugiem. W tym czasie liczyło nieco ponad 100 tysięcy mieszkańców. Oddział Miedwiediewa oddalony był od Winnicy o 450 kilometrów. Niemcy systematycznym terrorem sparaliżowali opór mieszkańców, a w samym mieście radziecki wywiad nie miał ani swojej bazy, ani ludzi. Pojedynczy działacze podziemia wykonywali zadania o charakterze lokalnym, ale nie utrzymywali kontaktu z Moskwą ani z innymi centralami. Dlatego wyjątkowo ciężko było wysłać do Winnicy ludzi, zwłaszcza że odległość była ogromna.

Trzeba było jednak iść na południe, ale jak? W swoich wspomnieniach zastępca dowódcy oddziału „Zwycięzcy" do spraw wywiadu, Aleksander Łukin pisze:

„Jak określić granicę, kiedy intuicja wywiadowcy przemienia się w mglisty domysł, domysł w poważne przypuszczenie, a przypuszczenie w pewność? Trudno powiedzieć, w którym momencie trafiła do rąk dowódcy gazeta «Wołyń» wydawana w Równem przez władze okupacyjne po ukraińsku. Nieprzypadkowo trafiła ona do Równego. Tę kłamliwą antyradziecką gazetę redagował znany nacjonalista, zdrajca narodu ukraińskiego, Własa Samczuk, i była ona czytana w sztabie oddziału o wiele bardziej uważnie niż w gestapo, które ją finansowało.

Niesławny «Wołyń» wyświadczył oddziałowi wielokrotnie różne przysługi — uważne studiowanie i analizowanie gazet przeciwnika może wywiadowcy przynieść wyjątkowe korzyści. W numerze, o którym mowa, na widocznym miejscu podana była wiadomość sformułowana w tonie uniżonym, typowym dla kolaboranckiej prasy. Informowała ona, że w tych dniach w Winnicy była wystawiona opera Wagnera «Tannhäuser», a na przedstawienie przybył feldmarszałek Wilhelm Keitel, szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu.

Taka wiadomość musiała wywołać nasze szczególne zainteresowanie. Rzeczywiście, co mógł robić w stosunkowo małej Winnicy feld-

marszałek Keitel? Nie można było jednak przydawać tej informacji zbyt wielkiego znaczenia. Keitel mógł znaleźć się tam zupełnie przypadkowo.

Minęło kilka dni i Kuzniecow (który wrócił do Równego, gdzie poszukiwał jakichś śladów) wysłał do sztabu oddziału jeden z numerów gazety «Deutsche Ukrainische Zeitung», która wychodziła po niemiecku w Łucku oddalonym o 70 kilometrów na zachód od Równego. W rubryce «Kronika» Kuzniecow na czerwono zakreślił jedną informację, która znowu pochodziła z Winnicy! Tym razem koncert artysty Berlińskiej Opery Królewskiej zaszczycił swoją obecnością marszałek Rzeszy, Hermann Göring, druga osobistość faszystowskiego imperium.

Porównanie tych dwóch faktów powiązanych ze sobą tym samym miastem wskazywało, że Hitler w zasadzie mógł tam ulokować swoją Kwaterę Główną. Co więcej, było to jak najbardziej wiarygodne, ale nadal niedostatecznie przekonywające. W historii wywiadów znane są zupełnie nieprawdopodobne zbieżności. Często jednak, kiedy się je lepiej przeanalizuje i sprawdzi, ukazuje się zwykła przypadkowość, za którą nie kryje się nic pewnego."

O tym wszystkim zostało poinformowane „Centrum". Z Moskwy następnego dnia przyleciały trzy samoloty i zrzuciły nową grupę agentów. „Centrum" żądało, by kontynuować energiczne śledztwo.

Miedwiediew i Łukin przypomnieli sobie, że jakiś czas temu przyłączył się do nich Wasilij Nieudachin, który uciekł z obozu niemieckiego znajdującego się w pobliżu Winnicy.

— Słyszałem — powiedział Nieudachin — że tego lata Niemcy w okolicy Winnicy budowali wielkie obiekty, ale jakie, nikt nie wiedział. Pewne jest tylko jedno: wysłano tam kilka tysięcy naszych ludzi, ale do obozu nie wrócił nikt. Wszystkich potem rozstrzelano.

Kuzniecow znowu został wezwany do oddziału w celu złożenia raportu. Z wielkim zainteresowaniem oczekiwano na jego sprawozdanie o działalności reichskomisarza, Ericha Kocha. Sprawa ta była dość skomplikowana, ponieważ Koch, gauleiter Prus Wschodnich, rzadko zaglądał do Równego, bo chętniej przebywał w Królewcu i Berlinie.

W „przypadkowej" rozmowie u kupca Pomerańskiego Paul Siebert, zwracając się do majora Heinricha, powiedział z zadumą:

— Nadchodzi straszna rosyjska zima. Byłoby dobrze być teraz gdzieś na południu, w Odessie lub Kiszyniowie. Nieźle byłoby nawet być w Winnicy, tam jest przecież cieplej niż tutaj.

— A widzisz, mądry jak sowa jest reichskomisarz Koch. Gdy tylko chwycił mróz, on, jak wędrowny ptak, przeniósł się na południe. Wczoraj rano wyjechał do Winnicy popolować trochę na jelenie. Mówią, że ma wspaniałą kolekcję rogów, prawie taką, jak marszałek Göring — odpowiedział major. — Wziął ze sobą pewną blondynkę, młodziutką, nie ma nawet dwudziestu pięciu lat. Mówią, że jest Węgierką.

Kuzniecow swoim zwyczajem niezauważalnie skierował rozmowę na kobiety, zwłaszcza blondyki, udając, że nie interesuje go, co robi i gdzie wyjeżdża gauleiter Koch.

W tym samym czasie „Centrum" dowiedziało się, że także generalny komisarz Kijowa (Maguni) i komisarz Nikołajewa (Opermann) niespodziewanie wyruszyli do Winnicy. To były już ważne informacje, ale i tu możliwy był przypadek, zwłaszcza że Koch lubił odbywać narady ze swoimi generalnymi komisarzami nie tylko w Równem, lecz także w innych miastach. Pewne było również, że Koch nie mógł pojechać na polowanie, ponieważ w lasach panowali partyzanci.

W tym czasie „Centrum" zdobyło informacje, że siedziba reichsführera SS, Heinricha Himmlera, znajduje się w Żytomierzu. W pierwszej chwili uwierzono, że jest to pewny znak, jakoby w pobliżu miasta przebywał także Hitler, ale wkrótce Kuzniecow zdobył jeszcze jedną ważną informację. Jego „przyjaciel" z SD (Staatssicherheitsdienst) został wezwany do Żytomierza do reichsführera SS, ale nie zastał go tam. Gestapowiec w kilku słowach powiedział wiele: przecież w całych Niemczech był tylko jeden reichsführer — Heinrich Himmler!

Od razu nasunęło się pytanie: kto mógł wezwać, i to pilnie, wszechmocnego szefa gestapo? Tylko Adolf Hitler! A słowa „w pobliżu" mogły oznaczać Winnicę.

„Centrum" zażądało, by spróbować złapać tak zwany „język", porwać kogoś z ważnych pracowników Komisariatu Rzeszy, ale było to związane z wieloma problemami i niebezpieczeństwami; jak bowiem wywieźć porwanego z miasta, by nie wywołać podejrzeń w

Kwaterze Głównej Hitlera i w samym Równem? Byłby to przecież sygnał, że w Równem działa wywiad radziecki.

Z tych względów, w porozumieniu z Moskwą, przyjęto propozycję Kuzniecowa opracowania planu tzw. ruchomej zasadzki, aby „złowić" człowieka, który może mieć dostęp do Kwatery Głównej führera lub jest dobrze poinformowany, gdzie przebywają przywódcy Trzeciej Rzeszy.

W ostatnich dniach Kuzniecow częściej widywał się ze swoimi „przyjaciółmi" z administracji Komisariatu Rzeszy. Elokwentny i sympatyczny leutnant Paul Siebert zawsze dysponował sporą sumą pieniędzy, co w dużej mierze zjednywało mu sympatie faszystowskich oficerów.

Oficjalnie Siebert należał do komendantury mającej specjalne uprawnienia do wykorzystywania przez Wehrmacht materialnych zasobów okupowanych terenów ZSRR. Instytucja ta oferowała swoim pracownikom oficjalne i nieoficjalne źródła „prywatnych dochodów", niedostępne dla innych oficerów armii. Dlatego też radziecki wywiadowca mógł od czasu do czasu pozwolić sobie na szastanie pieniędzmi bez wywoływania podejrzeń.

Szczególnie „przyjaźnił się" z Siebertem ważny pracownik Reichskomisariatu, major Heinrich, który liczył na to, że przy pomocy poczciwego leutnanta sam też „dorwie się" do dużych pieniędzy. Kuzniecow szybko odkrył jego pragnienia i umiejętnie je wykorzystywał. Niby przypadkiem aranżował wspólne wyprawy do kawiarni w towarzystwie pięknych kobiet, zwykle volksdeutschek lub córek kolaborantów i spekulantów, którzy także w ten sposób chcieli się przypodobać Niemcom.

Pewnego razu, w ramach przygotowań do operacji „Polowanie na indyka", Kuzniecow, razem z majorem Heinrichem, odwiedził kasyno oficerskie. Siebert żalił się, że „zabija go bezsensowne tracenie czasu tu, na tyłach".

— Och, mój drogi Siebert, jest pan wielkim idealistą i dobrodusznym człowiekiem. Czy pan nie rozumie, że nie jest to czas samarytan? Wydarzenia zmieniają się w zawrotnym tempie. Nigdy nie wolno przepuścić nadarzającej się okazji. Teraz ma pan jak u Pana Boga za piecem, a jutro może będzie pan marzł w okopach Stalingradu lub piekł się na rozpalonym piasku Afryki. Pan

nawet w części nie korzysta z możliwości, jakie dał panu los. Jutro, być może, wszystko będzie inaczej!

— Kocham radości życia, a one są nieosiągalne bez pieniędzy — odpowiedział Siebert. — Jeśli pan major wie o jakiejś kopalni złota, gotów jestem od razu zostać górnikiem — zaśmiał się donośnie.

— Myślę o przyjacielskich kontaktach — sucho wymamrotał Heinrich, oczekując na wrażenie, jakie jego słowa mogły zrobić na Siebercie.

Sieberta nie zdziwiła odpowiedź rozmówcy. Odczekał więc tyle czasu, ile nakazywała ostrożność, by następnie zadać mu konkretne pytanie.

— Widzę, że pan coś przede mną kryje. Może moglibyśmy razem nie tylko wydobywać i przerabiać złoto, lecz zająć się złotem, które inni wydobyli, przetopili i zrobili z niego wspaniałe monety, które tak wspomagają to nasze krótkie życie?

Heinrich wyjaśnił, że ma bardzo wpływowego przyjaciela, który jest służbowo powiązany z wieloma oficerami i urzędnikami, od których zależą sprawy związane z zaopatrzeniem armii. Do służbowych obowiązków jego przyjaciela należy częste odwiedzanie różnych miast na okupowanych terenach.

— Kiedy mógłby pan zorganizować nasze spotkanie? — zapytał Siebert obojętnym tonem (który ćwiczył latami), nie przejawiając żadnego zainteresowania osobą ewentualnego partnera.

Ucieszony Heinrich odpowiedział, że jego przyjaciel był gdzieś na południu na jakiejś ważnej naradzie, a potem wyjechał do Kijowa. Jak tylko wróci w tych dniach do Równego, on, Heinrich, pozna ich z sobą.

— Pewnie już na dworcu kolejowym? — zaśmiał się Siebert.

— Dlaczego na dworcu? Wszyscy oni podróżują samochodami. Spotkamy się później u mnie.

Informacja była bezcenna. Szybko został powiadomiony sztab oddziału i „Centrum". Major Heinrich w pogoni za pieniędzmi wskazał drogę, którą można było zdobyć informatora z najwyższych szczebli nazistowskiej hierarchii.

Porwanie na szosie

Począwszy od lata 1942 roku, działalność partyzancka na okupowanych terenach Związku Radzieckiego stała się szczególnie aktywna. Do ochrony tyłów Niemcy angażowali ciągle trzydzieści dywizji. Latem i jesienią 1942 roku do zabezpieczenia komunikacji na okupowanych terenach radzieckich i do prowadzenia walki przeciwko partyzantom skierowano, według niepełnych danych, około 350 tysięcy niemieckich żołnierzy.

Radzieckie lotnictwo i partyzanci zauważyli, że szczególnie strzeżona jest droga Kijów—Winnica—Lwów. Można to było tłumaczyć i tym, że była ona główną magistralą, którą dostarczano zaopatrzenie dla dwóch najsilniejszych niemieckich Grup Armii: „Południe" i „Centrum".

Potem także okazało się, że nadzwyczajne środki bezpieczeństwa zastosowano w lesie sosnowym niedaleko Winnicy.

Wiele lat później współpracownik Kuzniecowa, Aleksander Łukin, przyjechał zwiedzić tereny, na których walczył. Jego samochód zatrzymał się na ósmym kilometrze drogi Winnica—Kijów, nad brzegami górnego Bugu, przy wjeździe do wsi Koło Michajłowka. Skręcił nieco w prawo, i znalazł się we wspaniałym lesie sosnowym. Z daleka były widoczne parterowe budynki przy samym skraju lasu. Po drugiej stronie drogi Winnica—Kijów postawiono pomnik. Wznosi się on nad mogiłą, w której pochowano 14 tysięcy tych, którzy budowali tę kryjówkę. Większość z nich stanowili jeńcy radzieccy, a oprócz nich również Polacy, Jugosłowianie, Czesi, Belgowie, Norwedzy. Na drugim końcu wsi Striżewka znajduje się jeszcze jedna mogiła tysięcy bezimiennych budowniczych „Werwolfu".

W dwadzieścia pięć lat po zawierusze wojennej Łukin oglądał miejsce, skąd miesiącami kierowano armiami Wehrmachtu, skąd wydawano rozkazy niszczenia całych narodów, pustoszenia miast

i wsi, aby urzeczywistniła się idea światowej dominacji Trzeciej Rzeszy.

— Szkoda, że nie złapaliśmy go wtedy — półgłosem powiedział Łukin do swoich towarzyszy. — Ale dobiliśmy go w drugiej norze...

* * *

Ponury zimowy dzień, minęło południe. Chwyta coraz silniejszy mróz. Dwudziestu ludzi ciśnie się dookoła obozowego ogniska, by ogrzać się przed długą drogą. Padła komenda:

— Do wozów! Ruszamy!

Z lasu niedaleko wsi Rudnia Bobrowska wyjechało pięć długich furmanek. Zaprzęgi podążyły okrężną drogą w kierunku szosy Równe—Kijów, do sektora Równe—Kostopol.

„Niemiecki" oficer, ubrany w długi oficerski szynel, z peleryną przerzuconą przez kolana, był w pierwszym wozie. Przy szyi kiwał się automat, z lewej strony pasa wisiało odbezpieczone parabellum. Jego towarzyszami podróży byli: Nikołaj i Georgij Strutyńscy, Michaił Szewczuk, Nikołaj Hnediuk, Piotr Dorofiejew, Aleksiej Glinka, Walentin Siemionow, Wiktor Siemionow, Siergiej Roszczin, Nikołaj Bondarczuk, Iwan Biezukładnikow, Nikołaj Prichodko i inni. Byli uzbrojeni w automaty, karabiny maszynowe, strzelby, granaty, także przeciwczołgowe. Grali rolę kolaboranckiej policji. Ubrani byli w krótkie kożuchy, ukraińskie gunie, w podniszczone niemieckie szynele i w niebieskie waciaki. Palili machorkę i hałaśliwie śpiewali, a w głębi duszy bali się nie Niemców, którzy z lekceważeniem i z góry patrzyli na tych lokalnych „stróży nowego porządku", lecz nieznanych partyzantów.

Z nadejściem zmroku „policyjna" ekspedycja wydostała się na szosę. Kiedy zrobiło się ciemno, Kuzniecow rozkazał, by ośmiu „policjantów" przygotowało zasadzkę przy drodze i ustawiło się w odległości co dwadzieścia metrów każdy. Zaczęło się „chwytanie języka". Ale w ciągu pół godziny żaden pojazd się nie pojawił. Nagle z oddali doszedł szum, a potem głośny warkot silnika samochodu osobowego.

„Policjanci" skryli się w śniegu przy drodze, aby nie oświetliły ich długie światła pojazdu, który wyjechał zza zakrętu i w chwilę

potem pojawił się przed Kuzniecowem. Wytrawny strzelec nie użył automatu, lecz parabellum — ofiarę trzeba było pochwycić żywą. Rozległ się strzał, a zaraz potem Prichodko rzucił granat przeciwczołgowy. Trafił w przednie koła. Eksplozja uniosła do góry samochód. Opel przekoziołkował i wpadł do rowu przy drodze. Nikt nie ocalał.

— Zbierzcie wszystkie papiery, dokumenty i broń! — komenderował Kuzniecow.

Nagle zza zakrętu wyjechał półopancerzony mercedes, co wskazywało, że należy do jakiegoś wyższego oficera lub generała. Zdawało się, że podróżni w samochodzie usłyszeli eksplozję i zauważyli zaprzęg na drodze, co zbiło ich z tropu. Konie, przestraszone strzelaniną, ruszyły do rowu i zablokowały jedną furmankę. Pojazd pędził z pełną szybkością bez zwalniania na zakręcie. Jego pancerz oparł się pociskom automatów, ale Georgij Strutyński szybko zmienił bębenek w swym karabinie maszynowym i założył nowy. Zataczając się w lewo i w prawo samochód przejechał jeszcze kilka metrów, ześlizgnął się do rowu i przewrócił na bok. W mercedesie rozległy się dwa strzały.

Pierwszy przybiegł Nikołaj Prichodko i wyciągnął z kabiny zabitego szofera i trzy inne trupy. Przeżyło tylko dwóch oficerów siedzących z tyłu. Ochronił ich osobny pancerz i odnieśli tylko lekkie obrażenia. Jeńcy byli „grubą zwierzyną" — doradca do spraw łączności Kwatery Głównej, podpułkownik von Reis, i szef wydziału Komisariatu Rzeszy, sonderführer SS, graf Gaan pracujący przez pewien czas w Kwaterze Głównej Hitlera, a teraz będący łącznikiem między „Werwolfem" i Erichem Kochem.

Podpułkownik Reis, mimo oszołomienia, gorączkowo ściskał w ręce wielką żółtą teczkę, którą energicznym ruchem wyciągnął mu człowiek w niemieckim mundurze.

— Jeńców załadować na zaprzęgi. Zabierzcie wszystkie rzeczy i broń i szybko zajmijcie swoje miejsca! — komenderował Kuzniecow.

W dali znów rozległ się warkot silnika, lecz szofer zdążył zatrzymać samochód, zawrócić i popędzić w stronę Kijowa.

Ze zniszczonego pojazdu Nikołaj Strutyński wyniósł małą radiostację. Zdziwienie wywołał pistolet, który Hnediuk znalazł na pustym siedzeniu. „Walter" nie miał właściciela, gdyż pistolety von

Reisa i grafa Gaana były na swoich miejscach w kaburach. Trzech pozostałych zabitych hitlerowców (obstawa samochodu) nie zdążyło wyciągnąć swej broni. W magazynku pistoletu brakowało dwóch pocisków, a na jego rączce były świeże ślady krwi. Pistolet miał nie jeden, lecz dwa magazynki — czternaście pocisków umieszczonych w szachowym porządku.

Ten „walter" w przyszłości omal nie sprowadził na Kuzniecowa nieszczęścia.

Jeńcy zostali umieszczeni na furmance. Nastała cisza. Szosa znów opustoszała. Padał coraz gęściejszy śnieg i zasypywał ślady zaprzęgów, które szybko pochłonęła ciemność. Długo zacierając ślady w lesie partyzanci wreszcie dotarli do pierwszego „zielonego światła" w Kudryńskim chutorze. W domu polskiego patrioty Wacława Żygadły czekał już radiotelegrafista gotowy wysłać pierwszy komunikat do „Centrum" w Moskwie.

Wokół chutoru postawiono straże, a Kuzniecow rozkazał umieścić jeńców w osobnych pomieszczeniach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wysokiej rangi hitlerowcy odważyli się bez specjalnego zabezpieczenia wyruszyć w drogę, i to nocą. Potem dowiedział się od nich, że zepsuł im się samochód. To ich zatrzymało na kilka godzin, decydując o ich losie.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, Kuzniecow przesłuchiwał jeńców w obecności radiotelegrafisty Wiktora Orłowa, również dobrze znającego niemiecki.

Kuzniecow, w niemieckim mundurze, wszedł najpierw do pokoju, gdzie leżał sonderführer Gaan i zasalutował, jak wymagają tego reguły wojskowe.

— Leutnant Paul Siebert.

Z zachowanych zapisków i wspomnień Wiktora Orłowa, Dmitrija Miedwiediewa, Aleksandra Łukina, Teodora Gładkowa i innych można zrekonstruować cały tok przesłuchania niemieckich oficerów w Kudryńskim chutorze.

— Proszę usiąść — ponuro zaproponował leutnantowi major Gaan, pokazując na drewnioną ławę. Z osłupieniem patrzył na pedantycznie ogolonego rodaka.

— Co to wszystko znaczy?! Gdzie się znajduję?! Kim pan jest?! — ryknął.

— Jest pan w obozie rosyjskich partyzantów, panie majorze.

— W jaki sposób pan, oficer armii niemieckiej, znalazł się wśród naszych nieprzyjaciół?

— Jestem Rosjaninem.

— Dlaczego nie mówi pan prawdy?! — rozsierdził się graf. — Jest pan Niemcom. Złamał pan wojskową przysięgę i zdradził führera.

Siebert wzruszył ramionami i zastosował nowy manewr.

— Panie majorze, porozmawiajmy spokojnie. Armia niemiecka pod Stalingradem stoi w obliczu zagłady. Radio informuje, że dziś rano przerwana została blokada Leningradu. Anglicy i Amerykanie wkrótce zaktywizują wielkie siły. Doszedłem do wniosku, że wojna jest przegrana i że Hitler prowadzi Niemcy do katastrofy. Pan musi to wiedzieć lepiej ode mnie. Z tego powodu zdecydowałem się współpracować z Rosjanami i radzę panu jako koledze i rodakowi nie być upartym, ale szczerym.

Gaan krzyczał, klął i ubliżał. W pewnej chwili stał się agresywny i Siebert przerwał przesłuchanie. Poszedł do drugiego pokoju i wezwał drugiego zatrzymanego, podpułkownika von Reisa. Ten także nie wątpił, że ma do czynienia z oficerem niemieckim.

— Przysięga wojskowa nie pozwala mi rozmawiać ze zdrajcą ojczyzny! — powiedział opryskliwym tonem von Reis.

Kuzniecow był jednak cierpliwy. Intuicja mówiła mu, że fanatycznych faszystów prędzej złamie dobrym traktowaniem i perswazją niż arogancją i groźbami. Postanowił się nie spieszyć, chociaż „Centrum" przynaglało go. Radiotelegrafista Wiktor Orłow, obecny przy wszystkich przesłuchaniach, po wielu latach wspominał:

„Po każdym przesłuchaniu Nikołaj Iwanowicz rozmyślał, opracowywał materiał, przepisywał go i dawał mi do wysłania do oddziału NKWD. Pracowałem przy radiostacji w dużym pokoju w obecności jeńców. Kiedy Reis zaczął wymieniać ważne dane, Kuzniecow wcisnął mu do ręki ołówek i papier, a gdy ten wzbraniał się, wtedy Nikołaj Iwanowicz zbliżył się do faszysty i wyzywająco patrzył mu w twarz. Reis zaczynał pisać.

Zdobyto wiele bezcennych informacji. Została rozszyfrowana również mapa topograficzna, na której były zaznaczone wszystkie połączenia i środki łączności hitlerowców na terytorium Ukrainy, Polski i Niemiec. Przy pomocy tej mapy odkryto miejsce, gdzie znajdowała się Kwatera Główna Hitlera na Ukrainie. Skonfiskowana mapa stanowiła drogocenne trofeum".

Podczas dochodzenia okazało się, że obydwaj jeńcy wykonywali bardzo ważne zadania i przenosili tajne polecenia i rozkazy Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Graf Gaan, 21.12.1941 roku, szczegółowo poinformował Grupę Armii „Północ", że führer przejął dowództwo nad siłami lądowymi.

Jeńcy szczegółowo informowali o wszystkim, ale z uporem milczeli w jednej sprawie: co oznaczała czerwona linia zaczynająca się między wsią Jakuszynec i Striżewka (w pobliżu Winnicy), a kończąca się w Berlinie.

— Tajemnica państwowa — twierdzili stanowczo obaj oficerowie.

Kuzniecow zamyślił się i zapytał spokojnym, „przyjacielskim" tonem grafa Gaana:

— Skąd pan pochodzi, panie majorze? To chyba nie jest tajemnicą? Jeśli się nie mylę, sądząc po pana akcencie, jesteśmy chyba ziomkami.

— Z Prus Wschodnich. Urodziłem się w okolicy Królewca w rodzinie, której hrabiowskie pochodzenie sięga jeszcze XVI wieku.

— Och, rzeczywiście jesteśmy ziomkami! — odpowiedział Kuzniecow. — Od razu to zauważyłem. My, Prusacy, znani jesteśmy z uporu i zawziętości. Jak sobie coś wbijemy do głowy, nie odstępujemy od tego. Z powodu tego uporu spłoniemy w wojennym pożarze, który nie my wznieciliśmy. Bawarczycy i tym razem wykręcą się sianem. Dlatego postanowiłem być realistą i współpracować z Rosjanami. Radzę panu zrobić to samo.

Gaan stopniowo miękł, lecz do końca pozostał uparty.

Na drugim przesłuchaniu Kuzniecow zmienił taktykę wobec von Reisa.

— Uprzedzam pana, że nie będę już tracić czasu na przekomarzanie się z panem. Nie interesują mnie już ani przysięgi, ani wierność führerowi! Przestępcy mogą być wierni tylko przestępcy! Uprzedzam pana — Kuzniecow mocno uderzył pięścią w stół — że zastosuję wszystkie konieczne środki, by zmusić pana do wyjaśnienia, co oznacza na mapie czerwona linia między Jakuszyncem, Striżewką i Berlinem! Graf Gaan dał już pewną odpowiedź, interesuje mnie, co pan powie. Chcę stwierdzić, który z was nie mówi prawdy.

Trzeciego dnia von Reis wycedził:

— To jest tajny podziemny uzbrojony kabel z dużą ilością żył.

— Po co został założony? — zapytał Kuzniecow.

— Łączy bezpośrednio Berlin z Jakuszyncem.

— To widzę na mapie. Ale dlaczego właśnie z Jakuszyncem?

— Tam znajduje się pewna instytucja.

— Kiedy kabel został założony?

— Latem tego roku, na początku czerwca.

— Kto zakładał kabel?

— Rosjanie, jeńcy, dwanaście tysięcy jeńców.

— Gdzie są teraz?

— Są bezpieczni.

— Jak to bezpieczni? Proszę jaśniej!

Pułkownik opuścił wzrok.

— Ostrzegam pana ostatni raz, by odpowiadał pan jasno i konkretnie! W przeciwnym razie...

Von Reis drżał, machał nogami, twarz mu posiniała, oczy wyszły na wierzch. Ledwie słyszalnie wymamrotał:

— Zostali zlikwidowani... Był tajny rozkaz... To zrobiło gestapo...

Kuzniecow zmienił się na twarzy, zacisnął zęby. Walczył z sobą, ledwo powstrzymał gniew.

— Proszę wyjaśnić mi jedną sprawę: czy specjalny kabel został założony, by führer mógł z Berlina rozmawiać z tą wiochą, jak jej tam... Jakuszynec? Ewentualnie z tą „pewną instytucją" w Jakuszyncu?

— Przeciwnie — posępnie wycedził von Reis — by führer mógł z Jakuszynca rozmawiać z Berlinem.

— Jak mam to rozumieć?

Von Reis miał niespokojne i zmęczone oczy. Nie spał prawie dwie noce. Nagle otrząsnął się jak ze snu i ze strachem popatrzył prosto w oczy Siebertowi. A potem, jak człowiek, który nie ma już nic do stracenia, odpowiedział drżącym głosem:

— W Jakuszyncu znajduje się polowa Kwatera Główna führera.

— Proszę opowiedzieć o niej dokładnie — zażądał Kuzniecow.

— Szczegółów nie znam — zdecydowanie pokręcił głową podpułkownik. — Do mnie należały tylko sprawy łączności Kwatery Głównej. O wszystko inne niech pan pyta majora Gaana.

— Jak się pan, podpułkowniku, odważył wyruszyć w tę drogę bez wzmocnionego ubezpieczenia? Czy nie bał się pan partyzantów?

— Wyruszyliśmy wcześnie. Według planu, powinniśmy dotrzeć jeszcze za dnia, ale mieliśmy dużą awarię samochodu. Straciliśmy kilka godzin. Z powodu gołoledzi na lotnisku nie zalecano lotu samolotem. A reichsführer Himmler przekonywał nas, że jego dywizje SS całkowicie zlikwidowały partyzantów w tym sektorze i droga jest bezpieczna. Pierwszy raz jechałem tamtędy samochodem i widzi pan...

— A major Gaan?

— To jest oficer z przyszłością, raczej był z przyszłością — poprawił Reis. — Jest bardzo odważny. W zasadzie to on nalegał, byśmy jak najszybciej wyruszyli. Jest zakochany w pewnej Polce, wdowie, hrabinie, jak mówią. Mąż jej zginął. Był oficerem armii polskiej. Wprawdzie jest to kobieta dość swobodnych obyczajów, lecz major Gaan, zdaje się, nie miał u niej wiele szczęścia. Rzeczywiście jest tu coś nienormalnego: proszę się zastanowić: hrabina, która pracuje jako szefowa kelnerów w resturacji „Deutschehof" w Równem. Gaan przez nią wiele traci. Führer jeszcze trzy miesiące temu obiecał mu, że awansuje go od razu na generała, ale coś się to przeciąga. A Gaana coraz bardziej interesuje tylko polska hrabina. On też jest wdowcem. Jego żona zginęła w czasie angielskiego bombardowania.

Po kilku dniach pobytu w niewoli graf Gaan stracił swą pychę. Opowiedział wszystko, o czym nie wiedział von Reis.

Około godziny 7 rano, 1 czerwca 1942 roku, major Gaan wsiadł do wielkiego, specjalnie przystosowanego wojskowego samolotu, który wylądował w Połtawie. Lotnisko otoczyli już esesmani.

Piętnaście minut później z północnego zachodu z tego samego miejsca przyleciał duży samolot wojskowy, z którego wyszedł Hitler, feldmarszałek Wilhelm Keitel, generał Adolf Heusinger i adiutanci Hitlera. Major Gaan także należał do świty führera.

Opancerzone pojazdy powiozły najwyższe osobistości Wehrmachtu. Graf Gaan chłonął każde słowo feldmarszałków i generałów, którzy w końcu dogadali się, co do sposobów realizacji kolejnych operacji. Jego zadaniem było dostarczyć wnioski wszystkim grupom armii na froncie wschodnim i informować führera o środkach podjętych na frontach w myśl przyjętych instrukcji.

Naziści przygotowywali rewanż za klęskę pod Moskwą zimą 1941 roku i mocno wierzyli w swój sukces. Wynikało to ze słów feldmar-

szałka Fedora von Bocka, który omawiał plan wszystkich etapów przyszłej kampanii letniej na froncie wschodnim.

— *Mein führer*, Armia Czerwona, dzięki zręcznemu uzupełnianiu strat, szybko odzyskuje bojowość. Potencjał ludzki Rosjan w 1942 roku nie będzie aż tak osłabiony, by w tej chwili prawdopodobna była ich klęska. Musimy błyskawicznymi uderzeniami odciąć Moskwę od jej zaplecza i pojedynczymi okrążeniami i niszczeniem większych zgrupowań Armii Czerwonej globalnie osłabić jej siłę — powiedział pewny siebie Bock.

Hitler, po zrobieniu małych poprawek, zaaprobował jego zamiary i obliczenia, znów wspominając o surowcach, nafcie i żywności. A potem, zamyślony, dodał:

— Nasze szybkie i ogromne sukcesy na wschodzie mogą postawić Anglię przed koniecznością wyboru: albo natychmiast przedsięwziąć dużą operację desantową otwierającą drugi front, lub utracić Związek Radziecki jako wsparcie polityczne i wojskowe. Dlatego też należy liczyć się z tym, że wkrótce nastąpi desant przeciwnika w strefie naszego dowodzenia na Zachodzie. Trzeba jak najprędzej i energicznie doprowadzić do zwycięstwa na Wschodzie.

Jak wiadomo, Hitler pomylił się. Lądowanie oddziałów zachodnich sojuszników we Francji nastąpiło dopiero 6 czerwca 1944 roku, czyli dwa lata później, gdy los II wojny światowej był już praktycznie przesądzony na Wschodzie.

Tego samego wieczoru Hitler powrócił do swej Kwatery Głównej. Przybył tam także major Gaan, później jeniec w Kudryńskim chutorze, zdradzający wszystko, co wiedział i pamiętał o planach niemieckich i „Werwolfie". W zeznaniach jeńca Gaana od czasu do czasu pojawiała się jakaś perełka.

Narada w Połtawie oznaczała zakończenie przygotowań nowej wielkiej ofensywy na froncie wschodnim, która stanowiła wstęp do bitwy stalingradzkiej.

W takiej sytuacji Hitler postanowił przenieść swą polową Kwaterę Główną bliżej frontu — na terytorium Związku Radzieckiego, aby bezpośrednio dowodzić operacjami. Dlatego 16 lipca 1942 roku Kwatera Główna (zaszyfrowana pod nazwą „Werwolf" — „Wilkołak", w odróżnieniu od „Wilczej jamy" — „Wolfschanze", która znajdowała się w okolicy Kętrzyna — *przyp. tłum.*) i Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych zostały przeniesione w okolice Winnicy,

dwa kilometry od wsi Koło Michajłowka, do niewielkiego lasu, na wschód od drogi Kijów—Winnica. Na północ od Kwatery Głównej znajdowało się lotnisko.

„Kwatera Główna führera była urządzona komfortowo. Z wielu krajów Europy zostali sprowadzeni fachowcy: budowniczowie mostów z Pragi, stolarze z Warszawy, z obozów koncentracyjnych brano elektryków, monterów i specjalistów od instalacji cieplnej. Wyznaczono im normę i miesięczną płacę. Jednak po zakończeniu budowy Niemcy zabili ich. Wszystkich, razem z tysiącami innych jeńców, którzy pracowali przy wznoszeniu Kwatery Głównej Hitlera * ".

Bunkier, gabinet Hitlera, mieszkania i schrony były ulokowane głęboko pod ziemią. Zainstalowano windy. Ściany i stropy grubości 3—5 metrów zbudowano ze zbrojonego betonu. Wszystkie obiekty były oplecione gęstym stalowym drutem o wysokości dwóch metrów, a siatka wchodziła głęboko w ziemię. Oprócz niej ustawiono jeszcze kilka rzędów drutów kolczastych, przez które płynął prąd. Ogrodzenie miało elektryczną sygnalizację.

Führer, głównie nocą, przebywał w parterowym domu połączonym podziemnym tunelem z bunkrem. Z zewnątrz dom był zamaskowany belami z drewna sosnowego. Na zewnątrz zbudowano betonowy basen i zrobiono kwietnik. Wszystkie naziemne części obiektów pomalowano na ciemnozielony kolor. Nad nimi posadzono drzewa — sosny, jodły, graby i dęby, przeniesione z lasu i parku miejskiego w Winnicy. Na terenie „Werwolfu" były trzy potężne bunkry z działami i karabinami maszynowymi wszystkich kalibrów.

W pobliżu zbudowano elektrownię, dwie radiostacje, stację poboru wody i wodociąg. Za nimi była wielka piekarnia elektryczna piekąca chleb dla dwóch dywizji.

Na lotnisku w Kalinówce dyżurowało ciągle 100 myśliwców, 50 samolotów pościgowych i 30 bombowców. W pobliżu znajdowała się duża jednostka pancerna. Nieco dalej mieścił się sztab Hermanna Göringa. Marszałek Rzeszy nie był zbyt pewny swojego lotnictwa, gdyż postanowił swą siedzibę ulokować w przestronnym podziemnym bunkrze. Do budynku administracyjnego i prywatnej willi na powierzchni zachodził rzadko.

---

* S. Kaliniczew, P. T. Kugaj, *U «Wołczjego logora»*, Moskwa 1977.

Kwatera Główna była połączona linią telefoniczną nie tylko z Berlinem, ale też z Kijowem, Charkowem, Dniepropietrowskiem, Rostowem, Równem i Żytomierzem, gdzie znajdował się sztab reichsführera SS, Heinricha Himmlera.

Wokół lasu znajdowało się 30 punktów obserwacyjnych. W promieniu 5 kilometrów od Kwatery Głównej z trzech stron ustawiono baterie przeciwlotnicze, a z czwartej strony — na linii kolejowej Kalinówka—Winnica — ciągle kursował pociąg pancerny. W lesie, w barakach ulokowano jednostki SS wewnętrznego ubezpieczenia Kwatery Głównej. Każdą obcą osobę, która cokolwiek dowiedziała się o „Werwolfie", rozstrzeliwano.

Odpowiedzialnym za zapewnienie bezpieczeństwa był generał Rotenhuber, komendant służby bezpieczeństwa Rzeszy, podlegający bezpośrednio reichsführerowi Himmlerowi.

Tajemnica została rozszyfrowana. Szczegółowa informacja o miejscu, gdzie znajdowała się Kwatera Główna Hitlera, drogą radiową została natychmiast posłana do Moskwy.

Von Reis i graf Gaan zostali rozstrzelani po pięciodniowym przesłuchaniu w Kudryńskim chutorze. Pierwotny zamiar, by samolotem przerzucić ich do Moskwy lub przetransportować do sztabu oddziału, został odrzucony z powodu możliwości odbicia ich przez Niemców.

Wiadomości z Kudryńskiego chutoru wywołały w Sztabie Generalnym Naczelnego Dowództwa wielkie poruszenie. Kiedy jednak należało zdecydować, co dalej robić, zarysowała się różnica stanowisk między dowódcami. Czy przygotować desant z powietrza, zbombardować Kwaterę Główną, czy też spróbować porwania lub zamachu w jakiś innych sposób?

Na przygotowanie desantu potrzeba było co najmniej 10 dni. Zakładano, że najwyżsi dygnitarze Trzeciej Rzeszy będą bardzo ostrożni lub nawet opuszczą Koło Michajłowkę, gdy tylko dowiedzą się o porwaniu podpułkownika von Reisa i majora Gaana.

Po namyśle Stalin, na propozycję marszałka Szaposznikowa, rozkazał dowódcy lotnictwa, generałowi Nowikowowi, rozpocząć pilne przygotowania do zbombardowania „Werwolfu".

Nowikow pracował wyjątkowo szybko. Już następnego dnia, 22 grudnia, radzieckie bombowce pod ochroną myśliwców zaatakowały obiekty Kwatery Głównej, zaskakując niemieckie lotnictwo

z Kalinówki. Z monstrualnie grubych bunkrów ze zbrojonego betonu pozostały tylko gruzy.

W „Centrum" i Sztabie Generalnym z wyjątkową niecierpliwością oczekiwano wiadomości, czy zostali zabici Hitler i przywódcy Trzeciej Rzeszy? Wywiad radziecki z Berlina, Lwowa i Londynu szybko rozstrzygnął ten problem. Poinformowano, że Hitler ze swoją świtą opuścił Koło Michajłowkę rankiem 20 grudnia, w niecałe dwa dni po porwaniu podpułkownika Reisa i majora Gaana.

Jak się później okazało, führer podjął decyzję o opuszczeniu „Werwolfu" kilka dni wcześniej, na spotkaniu Naczelnego Dowództwa, które odbyło się 16 grudnia 1942 roku. Właśnie dlatego graf Gaan spieszył się, by w Równem spotkać się z piękną polską hrabiną, gotowy użyć wszystkich środków, by namówić ją na wspólny wyjazd do Niemiec. Decyzją feldmarszałka Keitla, graf miał znów powrócić do pracy w Kwaterze Głównej.

Niedoszłemu generałowi nie śniło się nawet, że niechętna mu polska hrabina będzie później zamieszana w wydarzenia, które dotyczyły losów nie tylko Hitlera, lecz również przywódców Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, i że po zakończeniu wojny jej imię będzie powszechnie znane.

Co zmusiło wodza Trzeciej Rzeszy do przeniesienia się z „Wilkołaka" do „Wilczej jamy" w rejonie Kętrzyna? Z pewnością przesądziły o tym trzy czynniki: silne uderzenia Armii Czerwonej pod Stalingradem, gdzie etapami niszczono i brano do niewoli niemieckie doborowe armie, pękanie niemieckiego pierścienia wokół Leningradu i coraz większa aktywność partyzantów na Ukrainie, Białorusi i w środkowej części Związku Radzieckiego.

W drodze do „Wilczej jamy" Hitler dowiedział się o zabójstwie lub porwaniu (ta druga ewentualność szczególnie go niepokoiła) podpułkownika Reisa i generała Gaana (z powodu szczególnych zasług Gaan, 19 grudnia, kiedy jeszcze nikt nie przeczuwał, że jest w niewoli, został awansowany do stopnia generała-majora). Obwinił za to Himmlera, który ciągle go przekonywał i chwalił się, że unieszkodliwił ruch partyzancki na terenie Wołynia i Podola, twierdząc, że drogi w Zachodniej Ukrainie są przejezdne i pojazdom nie jest potrzebna specjalna obstawa.

Ze zdobytych dokumentów Abwehry wynika, że ktoś celowo lub przez omyłkę dwa dni później rozgłaszał wieść, że wspomniani ofi-

cerowie byli ofiarami przypadkowego nalotu samolotów Armii Czerwonej wracających z jakiegoś zadania. Prawdopodobnie kłamstwo było dziełem otoczenia Himmlera, usiłującego ukryć przed führerem fakt, że reichsführer SS błędnie ocenił sytuację w Zachodniej Ukrainie, co spowodowało zaginięcie nie tylko Gaana i Reisa, ale również ważnych dokumentów, które, być może, wpadły w ręce Armii Czerwonej i mogły się stać przyczyną wielu nieprzewidzianych niebezpieczeństw.

Na ten aspekt sprawy specjalnie zwracał uwagę Wilhelm Canaris, szef Abwehry i bezpośredni rywal szefa gestapo, Heinricha Himmlera w rozgrywce o supremację w wywiadzie i kontrwywiadzie.

Podczas zażartej rozprawy z Himmlerem Hitler wyciągnął pistolet i w mgnieniu oka wszechmocny szef nazistowskiej policji mógł popaść w niełaskę dyktatora, gdyby nie wstawił się za nim naczelny dowódca Luftwaffe, Hermann Göring. Jednak führer był tak zdenerwowany, że przy lądowaniu w pobliżu Kętrzyna nie odpowiadał nikomu na pozdrowienia i z nikim się nie przywitał.

Tylko zbieg okoliczności sprawił, że Hitler wydostał się z „Werwolfu". Gdyby stało się inaczej, dalszy przebieg II wojny światowej byłyby zapewne inny.

Dramat na moście

— Panie hauptsturmführer, przyprowadzono trzech radzieckich dywersantów. Zostali złapani dziś rano o świcie, przy moście na Horyniu. Wszyscy byli ubrani w podoficerskie mundury Wehrmachtu. Czwartemu, w mundurze oficerskim, udało się zbiec, ale chyba został ranny. Sprytnie podkradli się do bunkra pod mostem, nożami zabili strażników i próbowali zaminować most. Zdradziło ich skomlenie rannego psa policyjnego. Straże na moście natychmiast zostały wzmocnione jeszcze jednym plutonem SS! — raportował porucznik SS, Albert Beer.

— Wprowadzić całą trójkę — powiedział esesman Peter von Dippen.

„Bolszewicy zmieniają taktykę, próbując dostać się do naszych szeregów, być może, udaje im się to" — pomyślał.

— Gdzie się znajduje wasza baza? — zwrócił się do trzech młodzieńców w wielkich, podoficerskich mundurach.

„Podoficerowie" milczeli patrząc Dippenowi prosto w oczy. Sasza Olejniuk, uczeń ze Zdołbunowa, ledwie poruszał prawą nogą, którą mu niemiecki lekarz brutalnie zawinął cienkim bandażem. Pociski karabinu maszynowego poszarpały mu stopę. Podtrzymywało go dwóch esesmanów. Jego kolega szkolny, Witia Gołowko, wycierał łokciem krew cieknącą z wielkiej rany na skroni. Kulał. Podrapana twarz Nikołaja Siwka skurczyła się boleśnie.

— Kto was wysłał, żeby zaminować most? — pytał dalej hauptsturmführer.

Młodzieńcy milczeli, jakby nie zauważając, że Dippen rozpalał się, groził i klął.

Niemiec wstał z fotela i silnym zamachem kopnął w żołądek Saszę Olejniuka, który upadł na podłogę.

— Kto wam dał niemieckie mundury?! — histerycznie rozdarł się Dippen, depcząc i kopiąc drobne, poranione ciało chłopca.

— Wyplujecie krew, jeśli nie przyznacie się do wszystkiego! — ryczał hauptsturmführer, przykładając bagnet do gardła Siwki.

Siwko ledwo trzymał się na nogach, drżały mu związane ręce, próbował odsunąć ostrze, które wbijało mu się w lewy obojczyk.

— Ooo, mamo! — krzyknął i uderzył esesmana w twarz.

Rozszalały Dippen zachwiał się, lecz nie upadł.

— Wyprowadźcie ich i zastosujcie trzeci stopień perswazji — rozkazał dziobatemu porucznikowi, najlepszemu w Równem specjaliście od znęcania się i wymuszania zeznań.

Słuchając apelu Radia Moskwa, że trzeba faszystów zabijać na każdym kroku, napadać na ich bazy, drogi i mosty, trzech zdołbunowskich komsomolców zdecydowało się zaminować niezwykle ważny most na Horyniu. Wykorzystali chwilę nieuwagi niemieckich podoficerów i, podczas gdy ci grali w piłkę nożną, ukradli im z polany trzy mundury. Planowali w tym przebraniu podejść do bunkra przed mostem i granatem zabić załogę. Ale kiedy dowiedzieli się, że umocnień pilnuje cały oddział żołnierzy, zmienili decyzję i najpierw zabili nożami obu strażników i ranili psa policyjnego. Na nieszczęście pies swoim skomleniem obudził innych Niemców w bunkrze. Zamiast się wycofać, chłopcy próbowali założyć i odbezpieczyć miny. Szło im to niesprawnie i zostali złapani przez ochronę mostu.

* * *

— Stary — powiedział Kuzniecow do Miedwiediewa — na jutro muszę mieć luksusową, odkrytą dorożkę, kilka wiązek siana i jeden kilim.

Do dorożki, pod siano, włożono radiostację, rezerwowe baterie i elegancką damską odzież. Moskiewskie „Centrum" w końcu grudnia zażądało, by do Równego wysłać radiotelegrafistkę Walentynę Osmołową, która jeszcze przed wojną ukończyła kurs spadochronowy. Zaplanowano, że ulokuje się ona w domu Iwana Prichodko i dla sąsiadów będzie narzeczoną jego młodszego brata, Nikołaja.

W oddziale „Zwycięzcy" było kilku radiotelegrafistów, ale Osmołowa nie miała sobie równych.

W samym obozie pracował tylko jeden radiotelegrafista. Pozostali, aby uniknąć wykrycia przez niemieckie stacje, pracowali pod osłoną, w odległości około dwudziestu kilometrów od siebie.

Nikołaj Kuzniecow usiadł z tyłu. Miejsce dorożkarza zajął Nikołaj Prichodko w mundurze żołnierza Wehrmachtu. Obaj zarzucili na siebie szerokie płaszcze, żeby nie było widać niemieckich mundurów. Z Moskwy dla Wali przysłano eleganckie futro, dziesiątki modnych sukienek, drogie buty, cienkie pończochy, torebki, farbę do włosów i inne luksusowe damskie drobiazgi.

Płaszcze zostawili na ostatnim „świetle". Na dwa kilometry przed mostem zaprzęg został zatrzymany przez niemiecki patrol. Wygląd leutnanta Sieberta, dorożkarza Prichodko i ich towarzyszki Wali budził respekt i nie wywoływał podejrzeń. Dokumenty mieli bez zarzutu. Poprzednie niemieckie patrole nie zwróciły na nich żadnej uwagi.

Wydawało się więc, że nie będzie żadnego problemu, ale niespodziewanie, zanim dorożka ruszyła, niemiecki podoficer przyjrzał się Wali.

— Pan, panie leutnancie Siebert, może jechać dalej, ale panna Keschko musi pozostać — powiedział oglądając fotografię jakiejś młodej dziewczyny. — Panienka jest niezwykle podobna do osoby, której fotografię znaleziono w notesie terrorysty, który dzisiaj rano próbował zaminować most na Horyniu.

Kuzniecow znieruchomiał. „Tylko tego nam potrzeba. Kogo złapali?". Spojrzał na Walę. Nie mógł przecież teraz zapytać, czy rzeczywiście dała komuś z oddziału swoje zdjęcie, czy też jest to przypadek. Należało szybko reagować. Prichodko położył rękę na parabellum.

— Jak pan, panie sierżancie, ośmiela się w obecności zasłużonego niemieckiego oficera — Kuzniecow pokazał na Krzyże Żelazne obu klas — w tak niesłychanie zuchwały sposób obrażać porządną dziewczynę, wobec której mam poważne zamiary? Kiedy wróci pan do Równego, proszę zameldować się hauptsturmführerowi von Dippenowi. Opowie pan, jak to chciał obrazić leutnanta Paula Sieberta! Albo lepiej ja powiem.

Podoficer zmieszał się. Badawcze spojrzenie, mroczny wyraz twarzy i rozkazujący ton czyniły z nieznanego mu leutnanta człowieka niebezpiecznego. A dziewczyna uśmiechała się kokieteryjnie.

— Ależ, panie leutnancie, proszę mnie zrozumieć, ten rozkaz wydał właśnie haputsturmführer von Dippen. Myślę, że właśnie w

tej chwili jest on na moście. Niech panna Keschko pójdzie z panem i tam wyjaśni to małe zamieszanie.

Nie było się gdzie wycofać. „W każdym razie lepiej na razie umknąć niemieckiemu patrolowi, a później zobaczymy" — pomyślał Kuzniecow.

Prichodko zaciął konie.

— Jedziemy przez most! — rzucił Kuzniecow. — Czy rzeczywiście dawałaś komuś zdjęcie? — zapytał zdenerwowaną Walę Osmołową.

— Ależ skąd! — powiedziała Wala. — Prawdopodobnie ta osoba jest do mnie podobna. Ale nie daj Boże, żeby sprawdzili!

Z daleka, od strony mostu zbliżała się kolumna motocykli.

— Obława lub pościg! — z niepokojem krzyknął Kuzniecow. — Co to jest? Czy czasem nie włazimy wilkowi w paszczę? Udawajcie, że to was nie dotyczy. Tylko ty, Kola, dobrze trzymaj lejce, żeby nam się konie nie wystraszyły.

Kolumna już zrównała się z nimi. Dowódca grupy szybkim podniesieniem ręki pozdrowił leutnanta w dorożce. Zrobili to również pozostali. Siebert prawie nie opuszczał prawej ręki.

Za nimi jechały opancerzone wozy i czołgi. Stukot żelaznych gąsienic, zgrzyt łańcuchów i huk silników rozdzierały powietrze.

Na moście z kolumny oderwał się dżip. Pędził, by wyprzedzić ciężarówkę z żołnierzami i skierował się prosto na zaprzęg. Prichodko nie miał większego doświadczenia w powożeniu i nagle rozluźnił lejce. Konie stanęły dęba, skręciły w lewą stronę, a potem w prawą i uderzyły w dżipa. Powóz zakołysał się i wywrócił. Uderzenie było na tyle silne, by dobrze utrzymanemu gniadoszowi z lewej strony zaprzęgu połamać obie przednie nogi, a prawego lekko zranić.

Kapral kierujący pojazdem przepraszająco rozłożył ręce, a Kuzniecow z oburzeniem kazał mu jechać dalej. Pojazdy oddaliły się, zaś kolumna jeszcze nie dotarła.

Prichodko i Kuzniecow próbują podnieść konie, ciągną je, biją batem, nie wiedząc jeszcze, że lewy już nie wstanie. Wala z przerażeniem patrzy, jak wszystko, co było tak pedantycznie schowane pod sianem — radiostacja, broń, miny, baterie i inne przedmioty — rozsypało się prosto pod nogi niemieckich żołnierzy pilnujących mostu.

Mogło to oznaczać koniec. Ale Kuzniecow miał bezcenny dla wywiadowcy dar — nie tracił głowy w żadnej niepomyślnej sytuacji i błyskawicznie znalazł jedyne możliwe rozwiązanie. Zanim żandarmi otrząsnęli się ze zdziwienia, leutnant Paul Siebert zostawił konie i doskoczył do skamieniałej Wali, obrzucając ją najgorszymi przekleństwami. Potem, zadyszany, gniewnie ryknął na przerażonych żołnierzy.

— Natychmiast przyprowadzić do mnie hauptsturmführera von Dippena lub Richarda! Niech zobaczą, jakich mają nierobów. Dlatego terroryści podkładają nam miny pod nosem! Na co się gapicie, nieroby! Lenie! To jest złapana rosyjska partyzantka! No, ruszcie się, szybciej, szybciej! Co, nogi macie z ołowiu? Podnieście dorożkę! Szybciej!

Żołnierze rzucili się, by czym prędzej wykonać polecenie. Pomagał im Nikołaj Prichodko, ledwo powstrzymując się od śmiechu, chociaż jego życie wisiało na włosku. Wyprzągł już lewego konia, którego na rozkaz Kuzniecowa Niemiec dobił strzałem.

Dwóch żołnierzy, z wycelowanymi karabinami, pilnowało Wali, zaś Kuzniecow regulował ruchem na moście, aby jakiś pojazd nie przejechał obok rozsypanej broni i amunicji.

Gdy wszystko było już gotowe, Siebert odwrócił się do żołnierzy i rozkazującym tonem powiedział:

— Na moście jest ślisko od topniejącego śniegu. Dzisiaj w nocy może złapać mróz i zrobi się gołoledź. Usuńcie więc śnieg i bruk posypcie piaskiem.

Prichodko z trudem powiązał porwaną uprząż potłuczonego konia, który teraz musiał sam ciągnąć dorożkę z pasażerami.

— Ruszamy! — krzyknął leutnant w chwili, gdy tuż przy zaprzęgu zatrzymał się długi, otwarty opel.

— Kogo widzę! — rozkładając radośnie ręce wyszedł z pojazdu hauptsturmführer Peter von Dippen, jeden z najbliższych „przyjaciół" Paula Sieberta w Równem.

Zarozumiały, służalczy w razie potrzeby, hardy i okrutny wobec słabszych, stale bez pieniędzy, na dobre przylgnął do dobrze sytuowanego leutnanta. Lubił radości życia i towarzystwo pięknych kobiet, ale ciągle pusty portfel nie pozwalał mu na wyskoki. Kuzniecow regularnie pożyczał mu niezbyt duże sumy pieniędzy („osta-

tecznie policzymy się, jak zdobędziemy uralskie kopalnie złota" — mawiał) i często rozmyślnie przegrywał z nim w karty.

Hauptsturmführer nadzorował pracę kolaboranckich organów władzy i oficerów niemieckiego pochodzenia. Często podawał charakterystyki swoich podopiecznych, które niejednokrotnie były bezcenne dla radzieckiego wywiadowcy. Kuzniecow wyciągał od esesmana również wiele innych informacji: nocne hasła, daty i nazwy dzielnic, w których miano przeprowadzać łapanki i obławy na partyzantów, nowe rozkazy dowództwa i Reichskomisariatu Rzeszy oraz dane o stosunkach między wyższymi dowódcami wojskowymi w Równem, o stanie osobowym administracji, o oddziałach przejeżdżających przez miasto i jego okolice, o nastrojach wśród oficerów Wehrmachtu, i tym podobne.

Kuzniecow zeskoczył z dorożki, z rozpromienionym uśmiechem przywitał się, sprytnie udając zadowolenie z niespodziewanego spotkania.

— Właśnie myślałem o panu, panie hauptsturmführer, jakby pana opatrzność przysłała. Po prostu wszystko idzie po pana myśli — pochylił się konfidencjonalnie i szepnął esesmanowi do ucha:

— Spełniłem obietnicę. Mam dla pana wspaniałą bransoletkę, żydowską.

— Nawet okowy ze złota są lekkie — z zadowoleniem zacierał ręce hauptsturmführer. — Pieniądzom składam większy hołd niż Bogu! — roześmiał się. Popatrzył na zaprzęg leutnanta i dodał:

— Siebert, dlaczego ma pan tylko jednego konia? To zupełnie nie przystoi oficerowi Wehrmachtu, zwłaszcza pana rangi — powiedział ze zdziwieniem von Dippen.

— Nieszczęście, panie hauptsturmführer, mogło być gorzej! Zderzyliśmy się z pojazdem wojskowym i lewy koń doznał obrażeń.

— Pozwoli pan, że zawiozę pana swoim samochodem? A jakąż to uroczą damę wiedzie pan ze sobą? Patrzcie, patrzcie, leutnant Siebert zawsze ma jakąś sympatyczną niespodziankę — von Dippen obsypywał Kuzniecowa uprzejmościami.

— Proszę nie zapomnieć: jutro dokładnie o czwartej po południu. Ulica Iwana Franko 6. A potem... — Kuzniecow z uśmiechem pożegnał się, umyślnie zapominając o propozycji Dippena.

— Rusz powoli! — powiedział do swego towarzysza.

Na szczęście do domu Iwana Prichodko można było dojechać bocznymi ulicami. Przy wjeździe do miasta Siebert wysiadł z dorożki, a „narzeczeni" pojechali dalej do brata Nikołaja. Tego samego wieczoru przyszedł do nich Kuzniecow, by pomóc Wali przy montowaniu radiostacji.

W następnych dniach radziecki wywiadowca przekazywał Osmołowej najnowsze wiadomości oraz dodawał jej otuchy.

Informacji o przeciwniku było wiele — co dwie godziny szyfrowano je i wysyłano do Moskwy. Wszystko musiało być szybko sprawdzone, bo najmniejsze opóźnienie mogło sprawić, że materiał straciłby swoją wartość. W drugim końcu miasta pracował radiotelegrafista Wiktor Orłow.

Jak się można było spodziewać, Niemcy już po kilku dniach odkryli, że w mieście pracują dwa nieprzyjacielskie nadajniki. Po ulicach Równego zaczęły krążyć wysokie pojazdy z niezwykłymi antenami radiopelengatorów na dachach.

Zaczęło się pedantyczne, systematyczne podsłuchiwanie i badanie miasta, dzielnica za dzielnicą, aby odkryć punkt, z którego na falach radiowych przekazywano informacje o sytuacji na niemieckich tyłach. Jednak radiopelengatory nie mogły precyzyjnie określić miejsca, z którego wysyłano w eter informacje, dlatego zaczęły się rozległe obławy, prowadzone w tej części miasta, którą wskazywali łowcy fal radiowych. Niemieccy żołnierze wpadali do domów, wspinali się na strychy lub schodzili do piwnic, przeszukiwali zabudowania gospodarcze i szopy, wywracali meble.

Fachowcy od razu zorientowali się, że poszukiwani radiotelegrafiści są profesjonalistami, umiejętnie operującymi radionadajnikami i przemyślnie zmieniającymi czas nadawania. Domy volksdeutschów na ogół nie były niepokojone, ale... strzeżonego Pan Bóg strzeże. Domu numer 6 na ulicy Iwana Franko nie można było ominąć, ponieważ znajdował się w środku podejrzanej strefy.

Do mieszkania Iwana Prichodko weszło kilku żołnierzy prowadzonych przez sierżanta. Za stołem, w pokoju gościnnym, przy jedzeniu i piciu gawędzili hauptsturmführer Peter von Dippen i jego „przyjaciel" Paul Siebert.

Zaskoczony sierżant wyciągnął rękę i zasalutował.

— Gdzieś w pobliżu pracuje radziecki radionadajnik, panie hauptsturmführer — zwrócił się do von Dippena, jako najstarszego stopniem.

Esesman machnął ręką:

— Szukajcie go. Życzę sukcesu. Na drugi raz uważajcie, by nie niepokoić swoich.

Żołnierze pospiesznie wyszli. Kuzniecow nalał swemu „przyjacielowi" kolejny kieliszek rumu. Rozmowa potoczyła się dalej.

* * *

19 listopada 1942 roku o godzinie 7.30 radziecka artyleria rozpoczęła kontrnatarcie pod Stalingradem.

Z początkiem 1943 roku przyszły nowe kłopoty. Jednostkom pancernym feldmarszałka Ericha von Mansteina nie udało się odblokować okrążonej armii. Pod ciosami Armii Czerwonej jednostki Wehrmachtu zostały zmuszone do odwrotu.

Podczas bitwy stalingradzkiej Niemcy stracili czwartą część swoich sił, które operowały na froncie radziecko-niemieckim — zabito, zraniono i wzięto do niewoli 1,5 mln żołnierzy i oficerów. W samym tylko „kotle" znaleziono 147 tys. trupów, a 91 tys. żołnierzy poddało się. Awansowany na feldmarszałka Friedrich von Paulus poddał się 31 stycznia 1943 roku razem z 24 generałami. Niemcy stracili wiele sprzętu: około 2 tys. czołgów i dział samobieżnych, ponad 10 tys. dział i moździerzy i około 3 tys. samolotów.

Klęska hitlerowców nad Wołgą była jednym z największych wojskowych i politycznych wydarzeń II wojny światowej. Był to początek radykalnego zwrotu w wojnie, początek końca faszystowskiej armii.

— Trzeba „nałapać" pieniędzy, dopóki nie jest za późno! — ten cel stał się obsesją hauptsturmführera Petera von Dippena po strasznej klęsce Wehrmachtu pod Stalingradem. W niemieckim wojsku coraz częściej zaczęły pojawiać się nastroje podobne temu, jaki ogarnął von Dippena.

Gdzie jest feldmarszałek?

Aleksiej Samsonow dostał wyjątkowo odpowiedzialne i niebezpieczne zadanie przejścia linii frontu i poddania się władzom niemieckim. Na przesłuchaniu zeznał, że kierował odwrotem oddziałów Armii Czerwonej na jednym z przejść na Donie, lecz w chwili paniki wysadził most w powietrze, zanim dostał taki rozkaz od przełożonych. Z tego powodu miał stanąć przed sądem wojennym i prawdopodobnie byłby rozstrzelany. Ratując się przed karą, był zmuszony zdezerterować.

Samsonowem, jak przypuszczano w „Centrum" w Moskwie, zainteresowała się niemiecka służba wywiadowcza. Młody oficer radziecki został poddany długim przesłuchaniom trwającym całymi dniami. Specjaliści z Abwehry usiłowali odkryć ewentualne sprzeczności w jego zeznaniach, ale na próżno. Samsonow dobrze znał całą historię przedwczesnego wysadzenia mostu w powietrze, co rzeczywiście zdarzyło się w dniach zaciętej ofensywy Wehrmachtu pod Stalingradem. Aleksiej jednak nie miał nic wspólnego z tą akcją — służył bowiem w wydziale wywiadu Frontu Stalingradzkiego.

Samsonow spędził kilka miesięcy w obozie jeńców wojennych. Podsyłano mu prowokatorów, lecz nie dał się podejść. Wreszcie, gdy pomyślnie przeszedł liczne próby, został wysłany na kurs dla hitlerowskich agentów.

Pierwsze samodzielne zadanie otrzymał na początku stycznia 1943 roku, kiedy to okrążone nad Wołgą wojska niemieckie były w agonii. W nocy z 9 na 10 stycznia wylądował na spadochronie na wschód od Stalingradu.

W rejonie miasteczka Leninsko, położonego nad lewą odnogą Wołgi, Achtubą, miał dokonać dywersji na torach kolejowych, po których przerzucano radzieckie oddziały i materiał wojenny, potem zebrać dane o radzieckiej 64 armii i z tym wrócić do bazy. Hitlerowcy, niszcząc radziecką komunikację, rozpaczliwie próbowali złagodzić tragiczną sytuację swoich okrążonych jednostek. Ale później

okazało się, że żadne działania dywersyjne nie mogły im już pomóc.

Aleksiej Samsonow, od razu po wylądowaniu, odnalazł specjalny oddział NKWD przy Froncie Stalingradzkim. Spotkał się, między innymi, z majorem Ustinowem, z którym przygotował szczegółowy raport ze swego pobytu w szeregach nieprzyjaciela i o hitlerowskiej szkole dla wywiadowców. W styczniu w pobliżu Leninska wypadł z szyn radziecki pociąg wojskowy. Do nieszczęścia doszło z powodu wysokich zasp, ale radziecki wywiad szerzył pogłoskę, że była to faszystowska dywersja. Jednocześnie specjalnie sfabrykowano danę o 64 armii i z takim materiałem Samsonow mógł śmiało wracać do sztabu Abwehry.

Niemiecki porucznik, do którego przyprowadzono Aleksieja Samsonowa złapanego przy przekraczaniu linii frontu, najpierw nieufnie oglądał przybysza. Kiedy jednak Aleksiej powiedział hasło i zażądał wysłania do sztabu, porucznik uspokoił się.

Po sprawdzeniu Samsonow 17 lutego 1943 roku został odwieziony do miasta Zaporoże, gdzie w pomieszczeniach hotelu robotniczego jednej z fabryk mieścił się sztab dowództwa Abwehry. Aleksieja przyjął major Seliger. Posadził go w fotelu i wezwał tłumacza. Po szczegółowej rozmowie major wyraził swe zadowolenie.

— Wspaniale wykonał pan zadanie, poruczniku! — pochwalił Aleksieja. — Wielkie Niemcy nie zapomną panu tego. Zasłużył pan na urlop. Musi pan jednak sporządzić pisemny raport. Będzie pan uprzejmy odpowiedzieć mi na jeszcze jedno pytanie. Czy słyszał pan coś o feldmarszałku von Paulusie? Gdzie on jest?

— No, coś niecoś słyszałem — odparł Samsonow po krótkim namyśle. — Pewien major opowiadał swemu przyjacielowi, jak to z Bekietowki przeprowadził Paulusa do sztabu Frontu Dońskiego znajdującego się w jakiejś wsi na północ od Stalingradu.

— We wsi Zawarikino? — spytał szef.

— Nie przypominam sobie nazwy — odpowiedział Aleksiej.

— W porządku, to nie takie ważne — major przerwał, udając obojętność. — Gratuluję panu, poruczniku, wspaniale wykonanego zadania. Otrzyma pan nagrodę równą trzem miesięcznym pensjom i dziesięć dni urlopu.

Następnego dnia do Równego przyleciał specjalnym samolotem Reinhard Gehlen, który przy sztabie niemieckiego Naczelnego Do-

wództwa kierował oddziałem „Armie Obce — Wschód" i cieszył się szczególnym zaufaniem szefa Abwehry, admirała Canarisa. Na tajnym spotkaniu ze specjalną ekipą Abwehry Grup Armii „Południe" i „Środek" Gehlen powiedział, że od samego führera dostał rozkaz, by za wszelką cenę porwać z radzieckiej niewoli feldmarszałka Paulusa. Hitler chciał go mieć żywego lub martwego. Chodziło nie tylko o prestiż, lecz głównie o to, by całą winę za katastrofę pod Stalingradem zwalić na feldmarszałka.

Zorganizowanie porwania von Paulusa powierzono bezpośrednio majorowi Seligerowi, któremu w przypadku powodzenia obiecano stopień generała, milion marek i wielką posiadłość w wybranym przez niego miejscu na terytorium Trzeciej Rzeszy.

* * *

Aleksiej Samsonow prawie cały dzień pisał raport, który został szczegółowo rozpatrzony na spotkaniu specjalnej ekipy w obecności generała Gehlera. Z rana wezwał go dowódca wywiadowczo-dywersyjnej szkoły Abwehry, Hans Raunach.

— Szef przeprasza, że okoliczności zmusiły go odłożyć pana urlop o tydzień — powiedział. — Powinien pan przygotować jeszcze jedną grupę, która będzie wysłana na radzieckie tyły.

Następnie naczelnik przedstawił go grupie dywersantów. Ich dowódca, człowiek w mundurze radzieckiego porucznika, mówił biegle po rosyjsku.

— Z tymi ludźmi będzie pan pracował każdego dnia po cztery godziny — powiedział Raunach. — Niech im pan opowie o warunkach życia w obwodzie stalingradzkim i pokaże im na przykładach, jak funkcjonuje radziecka służba na tyłach.

Aleksiej Samsonow miał do dyspozycji cały tydzień. Grupa miała być zrzucona do obwodu stalingradzkiego w nocy z 23 na 24 lutego. Ale gdzie i z jakim zadaniem?

Aleksiej postanowił zbliżyć się jakoś do dowódcy grupy, który miał pseudonim „Szipow". To mu się jednak nie udało. „Szipow" był ostrożny i podejrzliwy. Natomiast radiotelegrafista o pseudonimie „Stupko" był bardziej przystępny. Poinformował on Samsonowa, że grupa ma poszukać jakiegoś sztabu w rejonie na północ od Stalingradu.

To wystarczyło Aleksiejowi, aby zorientować się w charakterze przyszłego zadania grupy, której przewodził „Szipow". Tego samego dnia Samsonow poszedł do miasta, zjadł obiad w restauracji i w ukrytym miejscu zostawił stosowną informację.

W tym czasie z Zaporoża przybył do Równego i został oddany do dyspozycji sztabu generała Kitzingera podporucznik lotnictwa Richard Grossbaum, który, jak sam mówił, z rezygnacją „przerwał błyskotliwą karierę z powodu pecha, który nazywa się ślepa kiszka". Na przyjęciu u Lidii Lisowskiej podporucznik, będąc trochę na rauszu, pochwalił się Paulowi Siebertowi, że miał odbić Rosjanom von Paulusa, ale z powodu niespodziewanej operacji wyrostka wypadł z grupy, której, za wielką nagrodą, została powierzona ta misja.

Porównując raporty otrzymane od Kuzniecowa i Samsonowa, „Centrum" w Moskwie przekonało się, że Niemcy rzeczywiście przygotowują „przedstawienie galowe", które by zaszokowało światową opinię publiczną i przywróciło żołnierzom Wehrmachtu zachwiane morale.

Wieczorem 20 lutego 1943 roku Aleksiej został niespodziewanie wezwany do majora Seligera.

— Samsonow, mój drogi, znowu musimy odłożyć pana urlop — powiedział. — Ale zamiast dziesięciu dni dostanie pan cały miesiąc. Chodzi o pilną i niezwykle ważną sprawę.

— Jaką?

— Stwierdziliśmy, że pan ze wszystkich naszych współpracowników najlepiej zna rejony Stalingradu. Byłoby dobrze, gdyby stanął pan na czele jednej grupy.

— No, tak — odpowiedział po chwili milczenia Samsonow. — Ale czy potrafię?

— Niech pan słucha. Zrzucimy pana na spadochronie w rejonie wsi Miedwiediewo. Wszyscy przebierzecie się za inżynierów-saperów. Waszym zadaniem jest dokładne ustalenie miejsca pobytu feldmarszałka Friedricha von Paulusa. Polecenia będziecie dostawać przez radio. Kogo z radiotelegrafistów chciałby pan zabrać ze sobą?

Aleksiej pomyślał chwilę i zapytał:

— Czy mógłby to być „Stupko"?

— W porządku. Problem rozwiązany! — powiedział Seliger. — Proszę się przygotować. Polecicie jutro wieczorem. W razie sukcesu czekają na pana wielkie nagrody i osobiste uznanie führera.

Samsonow nie rozumiał, dlaczego tak się Abwehrze spieszy. Wszystko wskazywało na to, że ktoś wywierał nacisk na majora Seligera i dlatego zmienił on swój plan.

Burzliwej nocy z 21 na 22 lutego niemiecki samolot transportowy zrzucił dwóch spadochroniarzy na tyły oddziałów radzieckich. Był to Samsonow i radiotelegrafista „Stupko".

Samsonow i „Stupko" zagrzebali spadochrony w śniegu. W małym wąwozie doczekali świtu. Mieli na sobie ciepłe krótkie kożuchy, watowane spodnie, czapki z nausznikami i walonki. Mimo to skostnieli z zimna. Aleksiej zaproponował, by pokrzepili się kilkoma łykami wódki.

Gdy zaświtało, porucznik wyciągnął mapę i znalazł na niej drogę do wsi Miedwiediewo. Zarzucili na plecy ciężkie plecaki i ruszyli w drogę.

Porucznik Samsonow miał w kieszeni dokument na nazwisko Simagin. Wybrał jeden mały i skromny wiejski dom. Przyjęła ich stara, zgarbiona kobieta, milcząca i niezbyt uprzejma. Rozlokowali się, zjedli śniadanie, wypili herbatę i łyknęli trochę wódki.

— Oczy zamykają mi się ze zmęczenia — powiedział „Stupko" przeciągając się w ciepłym pokoju.

— W porządku, wyciągnij się i zdrzemnij trochę. Musimy nabrać sił — zgodził się porucznik.

Tymczasem Aleksiej rozejrzał się, szukając miejsca na małą radiostację. Dwie godziny później zbudził towarzysza i powiedział:

— Nigdzie się nie ruszaj, nawet na krok. Ja obejdę wieś, rozejrzę się w sytuacji i wrócę.

— Rozumiem, panie poruczniku. Proszę się nie martwić.

Samsonow odszukał sztab oddziału stacjonującego we wsi. Zaprowadzono go do domu, w którym mieszkał oficer kontrwywiadu.

— Potrzebna jest mi wasza pomoc, towarzyszu kapitanie — powiedział Aleksiej. — Proszę zatelefonować do Stalingradu, do majora Ustinowa z wydziału specjalnego. Powiedzcie mu, że przybył „Sokół" z ważnym zadaniem i oczekuje go.

Od majora Ustinowa porucznik Samsonow otrzymał polecenie przeniesienia się razem z radiotelegrafistą do sąsiedniej wsi.

— Poszukaj tam domu z mansardą — powiedział Ustinow. Gospodarzowi powiedz: „Potrzebny byłby nam pokój na kilka dni".

Dostaniecie kwaterę. Żona gospodarza jest kucharką, pracuje we wsi Zawarikino, gdzie znajdują się wzięci do niewoli niemieccy oficerowie. Opowie ci coś niecoś. Możesz całkowicie zaufać jej informacjom.

Wkrótce Aleksiej i „Stupko" znaleźli się u uprzejmego gospodarza Sawelicza i jego żony Anny Mefodiewny. Rozmawiali o wojnie i bitwie stalingradzkiej, o drugim froncie w Europie Zachodniej, którego sojusznicy wciąż nie tworzą, o losie Niemiec. Cała czwórka wymyślała Hitlerowi, szczególnie zaś „Stupko", który był volksdeutschem z Ukrainy. Po trzecim kieliszku żonie gospodarza, Annie, rozwiązał się język.

— Poznałam tych zwyrodnialców — powiedziała. — W sąsiedniej wsi trzymają niemieckich generałów. Jestem ich kucharką.

— Czy nie ma może między nimi także feldmarszałka von Paulusa? — żywo zainteresował się „Stupko".

— Owszem, bracie! Każdego dnia go widzę. Czuję wstręt do niego, ale muszę go oglądać. Mieszka w osobnym domu. Udaje ważniaka. Przebywa z nim jeden generał i jeden pułkownik, jakiś Adam. Pilnuje go czterech naszych żołnierzy.

Później Anna opowiedziała wiele zajmujących szczegółów o niemieckich generałach: jak żyją, co jedzą, jak się zachowują, jak są traktowani.

— Szwabskie kundle! Jeszcze mają zachcianki, jakby przyjechali na wesele. Wyobraźcie sobie, ten krwiopijca Paulus narzeka na złe wino.

Potem Aleksiej i „Stupko" wysłali drogą radiową raport o swym odkryciu i przyjęli instrukcję od majora Seligera. Mieli się dowiedzieć, w którym domu przebywa feldmarszałek Paulus i jak silny jest garnizon we wsi Zawarikino.

— Byłoby dobrze, żebyś ty się teraz trochę rozejrzał po wsi — powiedział Aleksiej do „Stupki".

Plutonowy ubrał się, wyszedł na ulicę, ale szybko wrócił rozdrażniony i markotny.

— Natknąłem się na patrol. Miałem pietra i wróciłem. Z panem czuję się jakoś pewniej. Jest pan oficerem i mniej się pana czepiają. Wobec mnie nie czują żadnego respektu.

— Wydaje ci się tylko. Ale skoro tak uważasz i boisz się, to siedź tutaj, a ja przeprowadzę obserwację — powiedział Aleksiej.

W rzeczywistości było to Samsonowi na rękę, ponieważ dawało mu większą swobodę działania i lepsze pole manewru. Ruszył na poszukiwanie Ustinowa. Ten poinformował go, że we wsi Sadki pochwycono porucznika „Szipowa" i jego radiotelegrafistę i to właśnie na podstawie znaków rozpoznawczych, które podał Samsonow.

— Jak widzisz, major Seliger wysłał do akcji także „Szipowa", gdyż chce z kilku źródeł zebrać wiarygodne informacje o Paulusie — wyjaśnił Ustinow. — Nie jest wykluczone, że także Canaris i Gehlen zaangażowali innych ludzi, by dotrzeć do Paulusa. Kiedy następnym razem będziesz wysyłał majorowi raport, poinformuj go, że krążą tu wieści, jakoby we wsi Sadki zostali złapani jacyś niemieccy szpiedzy. Wiesz, byłoby dobrze, żeby major Seliger liczył tylko na ciebie i twoje raporty.

Wkrótce major Seliger rozkazał Aleksiejowi przygotować się na przyjęcie „gości", którzy przybędą następnego dnia, rano. Obowiązki radiotelegrafisty przeważnie spełniał Aleksiej, ponieważ „Stupko" bał się, że wykryją go radzieckie pelengatory. O tych swoich obawach poinformował także Seligera, ale w bazie niemieckiej powiedzieli mu, że niebezpieczeństwa nie ma, a połączenia są pewne. „Stupko" jednak starał się jak najrzadziej włączać nadajnik i nie podejrzewał, że radzieccy wywiadowcy słuchają każdej jego emisji.

O spodziewanych „gościach" Samsonow natychmiast poinformował majora Ustinowa, ten zaś zadzwonił do Stalingradu.

Gehlen i Seliger rzeczywiście wysłali swoich ludzi. Przed domem, w którym mieszkał Samsonow, pojawiło się trzech mężczyzn w mundurach żołnierzy Armii Czerwonej. Ostrożnie rozejrzeli się, potem jeden z nich wszedł na ganek. Aleksiej obserwował ich przez okno, następnie otworzył drzwi. Na progu stał człowiek średniego wzrostu, o krępej budowie i starannie wypielęgnowanej twarzy. Dystynkcje wskazywały, że jest kapitanem.

— Kapitan Simagin?

— Tak.

— Jestem z wydziału inżynieryjnego sztabu Frontu Stalingradzkiego. Mamy zadanie porównać mapy pól minowych.

Tak brzmiało hasło. Aleksiej powiedział odzew:

— Dobrze. Spójrzmy na moją mapę.

Kapitan odwrócił się i dał znak swoim towarzyszom.

— Bielicki — dopiero teraz przedstawił się kapitan, świetnie

mówiący po rosyjsku. Zaraz za nim wszedł chudy dryblas, który przedstawił się jako major Rudolf. Trzecim gościem był radiotelegrafista w żołnierskim mundurze.

Nieco później Samsonow ulokował „gości" u krewnej swego gospodarza. Rudolf i Bielicki siedzieli przy długim stole. Oglądali mapę topograficzną.

Bielicki szczegółowo wypytywał Samsonowa o siłę garnizonów w okolicznych wsiach, o linie łączności, rozmieszczenie posterunków milicji, siatkę komunikacyjną, o miejsce pobytu feldmarszałka von Paulusa, o liczebność straży pilnującej go. Samsonow opowiedział mu wszystko, co wiedział.

Trzej przybysze mieli zmyślone nazwiska. Aleksiej dostał od Bielickiego zadanie obejrzenia dwóch rozległych pól znajdujących się przy żwirowanej drodze, trzy kilometry od wsi Miedwiediewo. Trzeba było ustalić, które jest równiejsze i które ma twardsze podłoże.

Aleksiej wielokrotnie obchodził pole, które interesowało Bielickiego. Przekonał się, że jest ono odpowiednie do przeprowadzenia na nim desantu.

Samsonow o wszystkim powiadomił majora Ustinowa.

— Podczas gdy ty oglądałeś teren, Bielicki odwiedził wieś Zawarikino. Prawdopodobnie chciał osobiście sprawdzić siłę garnizonu i zabezpieczenie budynków.

Major wyjął z oficerskiej torby „waltera" i podał go Aleksiejowi.

— Odbezpiecz go i noś zawsze w kieszeni. Bądź czujny wobec „gości". Śledzimy każdy ich krok. W budynku naprzeciwko twojej kwatery jest mój zastępca, kapitan Jegorow. Jeśli zajdzie potrzeba, pobiegnij do niego. Szykuje się wielka gra.

Spodziewano się niemieckiego desantu. Ze Stalingradu przybyły jednostki czołgów i piechoty, które szybko zamaskowały się.

Pewnego wieczoru Aleksiej przyszedł do Bielickiego, by odebrać instrukcje na następny dzień.

— Poruczniku, nasza misja skończyła się! — powiedział Bielicki. — Szef rozkazał nam wrócić do domu. Wczoraj trzy nasze samoloty krążyły nad wsią przeprowadzając próbę. Ale...

— Ale dlaczego? — zdziwił się Aleksiej.

— Jest pan bardzo ciekawy — podejrzliwie uśmiechnął się kapitan. — Za godzinę ruszamy. Spotykamy się przy wylocie wsi. Jutro w południe będziemy na stacji Iłowle.

Porucznik Samsonow popędził do majora Ustinowa i jego zastępcy, kapitana Jegorowa.

Ustinow rozkazał Jegorowowi ująć radiotelegrafistę „Stupko", a Bielickiego i jego dwóch współpracowników złapać na skraju wsi.

Następnie krótko wyjaśnił porucznikowi Samsonowowi, co zaszło. Otóż major Seliger dopiero dzisiaj dowiedział się, że feldmarszałek von Paulus został przerzucony do Krasnogorska pod Moskwą jeszcze 9 lutego i dlatego rozkazał Bielickiemu zaniechać planowanej dywersji.

— A ty, Alosza, będziesz musiał zostać u nas — powiedział do Samsonowa major Ustinow. — Nie puścimy cię z powrotem do Seligera. Z twego powodu stracił swoich agentów i szybko domyśliłby się, komu to zawdzięcza. Długo byś nie pożył.

Tak to niechlubnie dla Abwehry zakończyła się ta, od początku skazana na niepowodzenie, operacja. Niemcom nie udało się wyrwać z niewoli feldmarszałka von Paulusa.

Porucznik Samsonow został awansowany do stopnia kapitana i nadal pracował w NKWD. Jesienią 1943 roku został przerzucony do oddziału Miedwiediewa.

Na wojnie zdarzają się najbardziej nieprawdopodobne historie. Pewnego chłodnego, deszczowego wrześniowego wieczoru Samsonow razem z Kuzniecowem, Strutyńskim, Kamińskim i jeszcze kilkoma wywiadowcami został pilnie wezwany do powrotu do „zielonego światła", gdyż w Równem spodziewano się wielkiej akcji skierowanej przeciwko konspiratorom i partyzantom. Gdy czołgali się na drugą stronę drogi Równe—Łuck, z daleka ukazały się światła małej kolumny niemieckich samochodów.

Wywiadowcy szybko skryli się do rowu przy drodze. Znienacka rozległa się seria wybuchów. Dwa ople z czoła kolumny wyleciały w powietrze. Z pozostałych niemieckich pojazdów odezwały się karabiny maszynowe i automaty. Szoferom udało się wykręcić i zawrócić.

— Któż to mógł zaminować drogę? — zapytał Kuzniecow oświetlając latarką rozerwanego opla.

Wywiadowcy szybko wyciągnęli zmasakrowane trupy, obejrzeli je przy drodze w rowie, wzięli dokumenty i broń. Gdy chcieli ruszyć, kapitan Aleksiej Samsonow osłupiał ze zdziwienia.

— Ależ to są zwłoki majora Seligera, który zamierzał porwać z niewoli feldmarszałka von Paulusa!

Nadawanie w obecności Niemców

W styczniu 1943 roku nastała ciężka zima. Zwykle w czasie wielkich mrozów niemieckie oddziały i ekspedycje karne odpoczywały, a partyzanci zwiększali swoją aktywność. Dlatego reichskomisarz Ukrainy, Erich Koch, postanowił zaskoczyć przeciwnika i uderzyć w najmniej spodziewanym momencie.

Dwie dywizje dostały zadanie zlikwidowania partyzantów w lasach sarneńskich. Szczegóły o przygotowaniach ekspedycji opowiedzieli Kuzniecowowi von Dippen i Richard na wieczorku u Pomerańskiego. Wala Osmołowa o wszystkim natychmiast powiadomiła radiogramem oddział, który przed przybyciem Niemców opuścił lasy i ulokował się w nowym zaimprowizowanym obozie odległym o 60 kilometrów.

Tymczasem wywiadowcy zdobywali nowe, ważne informacje w Równem i jego okolicy, z których większość Osmołowa wysyłała radiogramem do „Centrum" w Moskwie. Oczekiwano przybycia Nikołaja Prichodko będącego łącznikiem między oddziałem i Kuzniecowem, a ściślej między Kuzniecowem i punktem kontaktowym. Przenosił on informacje z Równego do „światła" i z powrotem, podczas gdy drugi kurier utrzymywał kontakt na linii oddział — „zielone światło". Prichodko czasami dwa razy dziennie przybywał do Równego, lecz nie wywoływało to specjalnych podejrzeń; z jego dokumentów wynikało, że jest mieszkańcem tych stron.

Kiedy Nikołaj Prichodko zmierzał do Wali Osmołowej, radiotelegrafistka wysyłała właśnie w eter informację, którą później wysoko oceniono w Moskwie.

„Nowe niemieckie oddziały jadą na Wschód. Znów został zreorganizowany potężny korpus pancerny SS. W jego skład wchodzą teraz wyborowe dywizje: «Adolf Hitler», «Totenkopf» i «Reich»".

Było to bezpośrednio po uderzeniu na Froncie Północnym, które wstrząsnęło całą strategią Wehrmachtu. Przerwana została blokada

Leningradu, a oddziały Frontu Leningradzkiego i Wołchowskiego połączyły się.

W lutym Hitler przybył do Zaporoża i odbył trzydniową naradę z generalicją. Obecny był Manstein, Jodl, Kleist i wielu innych generałów. Führer żądał, by zahamować ofensywę Armii Czerwonej i przygotować kontrnatarcie torujące drogę ostatecznemu zwycięstwu.

— Wyprodukowaliśmy czołgi, samoloty i działa, jakich dotąd nie miał nikt. Postanowiłem przygotować bitwę o rozmiarach nie znanych w historii. Zdecydowałem, by kolosalną siłą broni, którą stworzył geniusz narodu niemieckiego na zawsze i ostatecznie zniszczyć Armię Czerwoną w samym sercu Rosji — powiedział na końcu narady Hitler, wprawiając w zdumienie niektórych swoich najwyższych dowódców wojskowych.

Pierwsze mgliste wiadomości na ten temat przyniósł Wali Nikołaj Kozniecow w dwa dni po naradzie w Zaporożu. Prawie w tym samym czasie cenne informacje z węzła kolejowego w Zdołbunowie (oddalonym o 13 kilometrów od Równego) przekazał „narzeczony" Wali, Nikołaj Prichodko.

Radiotelegrafistka z uwagą wystukiwała właśnie informację dla „Centrum". Prichodko przekazał przesyłkę i położył się na kanapie, żeby trochę odpocząć. Kuzniecow szybko otworzył kopertę i zadowolony kiwał głową. Z roztargnieniem przeglądał niemieckie czasopisma ilustrowane i od czasu do czasu obserwował przez okno ulicę.

Nagle zerwał się z krzesła.

— Niemcy! Kola, przygotuj się do ich likwidacji, jeśli nie będzie innego wyjścia!

Ulicą szło dwóch oficerów z kręgu nowych przyjaciół leutnanta Sieberta. Nieśli jakieś paczki. Kuzniecowa mniej martwiła sama wizyta nieproszonych gości, niż niebezpieczeństwo odłożenia nadawania informacji. Powiedział do radiotelegrafistki:

— Rozbieraj się szybko i kładź się. Radiostację pod łóżko. Klucz pod koc. Jesteś chora. Rozumiesz? Prichodko w kuchni. Bądź gotowy!

Wala spełniła polecenie, problemem okazały się słuchawki. Dziewczyna wpadła na pomysł, by owinąć głowę watą i szerokim bandażem i udawać, że boli ją ząb.

Kuzniecow szybko przyniósł watę, którą przykryli słuchawki. Radiotelegrafistka wyglądała w opatrunku jak dziecko chorujące na świnkę.

— Nadawaj dalej, ale bądź ostrożna.

Drzwi otworzyła teściowa Iwana Prichodko, volksdeutschka Berta Gross, udając, że jest szczególnie zaszczycona wizytą oficerów Wehrmachtu.

— Proszę wejść, panowie oficerowie, do prawdziwie niemieckiego domu. Pan Siebert jest w swoim pokoju, zaraz go zawołam.

— O! Kogo widzę! Martin Klaus i Martin Lauda! Jak na zamówienie! Dobrze, że zajrzeliście. Właśnie rozmyślałem, jak spędzić wieczór.

— Mówiłem Martinowi — uśmiechnął się wysoki hauptmann Klaus — że w tym przeklętym mieście nie ma bardziej gościnnego oficera niż Paul Siebert. Ale nie przyszliśmy z pustymi rękami, rodaku! — dodał, odwiązując sznurek i rozrywając papier. Z tekturowego pudełka wyciągnął cztery butelki likieru, butelkę szampana, dwie polskie kiełbasy i kawałek bułgarskiego kaszkawału. Zasiedli do uczty.

— Ach, żeby jeszcze były damy i umiliły nam towarzystwo! — z rezygnacją uśmiechnął się Martin. Nagle popatrzył uważnie na drzwi sąsiedniego pokoju.

— Jeśli się nie mylę, panowie, to stamtąd — pokazał palcem na drzwi — dochodzi kaszel kobiety?

— Martinie, pamiętaj o umowie. Dziś wieczorem razem z Siebertem zaprosimy trzy kelnerki z „Deutschehofu". Pójdziemy do mnie. Pamiętaj, że jest to niemiecki dom i nie waż się gospodarzy czymś obrazić.

Jednak niełatwo było przekonać podpitego Martina.

— Zobaczcie, jaki jest! Ma przy sobie dziewczynę, a nie chce jej nawet pokazać przyjaciołom! No, niech pan zawoła swoją śliczną damę.

— Jaka tam śliczna dama — machnął ręką Kuzniecow — krewna mego gospodarza jest chora. Ona by nam tylko popsuła wieczór.

„Co będzie, jeśli Klaus i Lauda przyszli tu po kolejnym nasłuchiwaniu radiopelengatora? — pomyślał Kuzniecow. — Czy nie jest to prowokacja? Być może esesmani już okrążyli dom, jak teraz to sprawdzić?"

Siebert wszelkimi sposobami próbował uspokoić Martina. Tymczasem także Klaus, już trochę podpity, zmienił zdanie i upierał się, by zobaczyć młodą kaszlącą kobietę. W pewnej chwili wstali i ruszyli w kierunku pokoju, z którego Wala Osmołowa wysyłała raporty do Moskwy.

Katastrofa — pomyślał Kuzniecow. — Nawet likwidacja obu hitlerowców nie uratowałaby go przed zdemaskowaniem. Nie spuszczając oczu z oficerów, Kuzniecow włożył rękę do kieszeni i ostrożnie odbezpieczył swojego „waltera", z którym się nie rozstawał. Wcześniej, umówionym hasłem: „Proszę, bądźcie delikatni, panowie", które dwa razy głośno wypowiedział, dał sygnał Nikołajowi, by był przygotowany do starcia.

Wdarłszy się do pokoju Wali, Martin nisko pokłonił się zaskoczonej dziewczynie.

— Mam zaszczyt, fräulein, w imieniu swoim i kolegów prosić panią o ozdobienie naszego towarzystwa. Obecność dziewczyny niemieckiej narodowości na tej surowej rosyjskiej pustyni będzie dla nas wielką przyjemnością.

Wala była przerażona. Szybko jednak zdecydowała, że najlepiej będzie milczeć. Bez słowa stęknęła i wykrzywiła twarz w grymasie wielkiego bólu.

— Och, uszy i zęby, zęby!

— Pro... Pro-o-szę panią, fräulein... Proszę ozdobić nam to-wa-a-rzystwo!

— Uszy i zęby! Bolą mnie! Zęby! Nie mogę! — do oczu Wali napływały łzy.

Kuzniecow, z trudem hamując swój gniew, odepchnął Klausa od łóżka.

— Dlaczego się pan tak przyczepił do tej nieszczęśliwej dziewczyny? Po co panu taka chora i nijaka? Niemiecki oficer zawsze wyróżniał się swoim godnym stosunkiem do chorych i bezradnych, szczególnie do kobiet narodowości niemieckiej.

Jednak nieprzejednany pijany Martin nie przyjmował żadnych argumentów.

— Jestem tutaj, panowie, najstarszy wiekiem, stopniem i stanowiskiem. Ja tutaj komenderuję! — powiedział gniewnie i szybkim ruchem wsunął rękę pod koc na łóżku Wali.

Dziewczyna krzyknęła. Do pokoju wpadł Nikołaj Prichodko z odbezpieczonym automatem. Wykorzystując zdumienie Niemców, Kuzniecow, silnym uderzeniem metalowego kastetu przymocowanego do palców prawej ręki, pozbawił przytomności najpierw Martina, a potem Klausa. Prichodko, przygotowany na takie sytuacje, wyciągnął strzykawkę i truciznę ze skrytki w ścianie zasłoniętej obrazem.

Klaus i Martin nigdy więcej nie obudzili się. Ciała ich znaleziono dopiero po piętnastu dniach w studzience kanalizacyjnej w pobliżu koszar ukraińskiej żandarmerii.

Kuzniecow, który pozbył się natarczywych i niebezpiecznych gości, odetchnął z ulgą i wszedł do pokoju Wali.

— Wszystko w porządku, Waliusza. Możesz wstać. Byłaś prawdziwą bohaterką.

Dziewczyna siedziała na łóżku, przyciskając rękę do twarzy i z oczami pełnymi łez jęczała.

— Zęby! Z-ę-by! Uszy!

Kuzniecow uśmiechnął się.

— Prichodko odwiózł ich tam, skąd już nie wrócą. Uśpiliśmy ich na zawsze. Ryzyko było wielkie. Daj, odwiążę bandaż.

— Z-ę-by! Bolą mnie zęby! I uszy! Naprawdę! Bardzo mnie bolą!

„To chyba szok" — pomyślał zdumiony Kuzniecow. Zdarzyło się rzeczywiście coś nieprawdopodobnego. Ze zbyt wielkiego napięcia nerwowego Walę Osmołową po raz pierwszy w życiu rozbolały zupełnie zdrowe zęby i uszy.

Likwidacja dwóch niemieckich hauptmannów i ciągłe krążenie radiopelengatorów z wysokimi antenami spowodowały wycofanie Wali z Równego. Również niektóre sąsiadki zaczęły wykazywać niezwykłe zainteresowanie „narzeczoną" Nikołaja Prichodko. Kuzniecow zdecydował, że odważna radiotelegrafistka powróci do oddziału.

Śmierć Nikołaja Prichodko

Kuzniecow zadomowił się w Równem. Pracował od rana do wieczora, regularnie słał raporty, raz na dwa—trzy tygodnie przybywał do „zielonego światła". Tam przebierał się i wyruszał do obozu (który prawie co dziesięć dni przemieszczał się z jednego lasu do drugiego), żeby złożyć raport dowództwu i trochę odpocząć.

— „Załapałem", co jest najważniejsze — mówił Nikołaj Graczow. — Hitlerowskiego oficera cechuje absolutna, fanatyczna pewność siebie i bezgraniczna zuchwałość. I ja to naśladuję. Czuję, że w rozmowach z Niemcami zawsze jestem górą, właśnie dlatego, że jestem oszczędny w słowach. Im się to podoba. Mówią, że chojrak ze mnie. I z sympatii do mnie gadają, zwierzają mi się, wierzą w moją dyskrecję, pewni, że umiem dochować tajemnicy.

Kuzniecow nie opuścił Równego od razu po likwidacji Klausa i Laudy. To wywołałoby podejrzenia. Usiłował poznać reakcje Niemców, ale udawał, że wcale nie jest zainteresowany tym, co się stało.

— Nie mam możliwości wyśledzić tego wszystkiego szczegółowo. Mam związane ręce — usprawiedliwiał się przed nim dowódca żandarmerii Richard. — Archiwum nie jest w porządku. Ciągle wydzierają je sobie gestapo i Abwehra.

— Komu to mówisz? — wtrącił się zezowaty oberleutnant, który zawsze dobrze się czuł w towarzystwie leutnanta Sieberta, ponieważ nie martwił się o rachunek w kawiarni. — Nasz wydział wczoraj raptownie przerzucili na parter. Ciasnota jest taka, że nie można pracować.

Kuzniecow cały zamienił się w słuch. Dlaczego wydział przeniesiono? Malowanie? Zmniejszenie liczby urzędników? Wysyłanie pracowników na front? Ciekawe!

— Nie jest to takie straszne, z pewnością tymczasowe — powiedział udając niezainteresowanie.

— Tak — kiwnął głową oberleutnant Karl — dopóki goście nie wyjadą.

To już było zastanawiające. Ale Kuzniecow nie pytał o nic więcej. Skierował rozmowę na inny temat, jakby nie obchodziły go kłopoty przyjaciela z komendy miasta.

— Koledzy, zanim się rozstaniemy, opowiem wam nowy dowcip. Myślałem, że pęknę ze śmiechu, gdy go usłyszałem — powiedział. — Rumuński oficer poszedł do domu publicznego. Zażądał najpiękniejszej damy. Przyprowadzili mu rudą dziewoję o zielonych oczach. Po dwóch godzinach zabawy z damą oficer wstał z łóżka, ubrał się, otrzepał nieco mundur, włożył czapkę i pożegnał się po wojskowemu. „Czekaj! — powiedziała dama. — A pieniądze?" Oficer wyprężył się jak przy składaniu raportu i patetycznym tonem odpowiedział: „Honor nie pozwala rumuńskiemu oficerowi domagać się pieniędzy w takich sytuacjach".

Wszyscy roześmieli się, a Kuzniecow, wykorzystując okazję, zdecydowanie wstał i pożegnał się z „przyjaciółmi".

Przed wieczorem zaszedł do kawiarni przy głównej ulicy miasta (Deutschestrasse), gdzie zwykle jadał kolację jego przyjaciel z Reichskomisariatu, leutnant Netzer. W rozmowie Kuzniecow zaproponował:

— Tak zaniedbałem życie towarzyskie, że chcę, abyśmy spędzili interesujący wieczór z moimi znajomymi. Poznałem świetną dziewczynę, studentkę ze Lwowa. Przyjechała do ciotki. Rodzice jej zginęli podczas bombardowania.

— Ja też mam dość wszystkiego — z rezygnacją powiedział Netzer. — Gauleiter przygotowuje sprawozdanie dla gości i my wszyscy pracujemy jak wariaci, już piąty dzień.

Około godziny 20.30 Kuzniecow spotkał się w restauracji „Deutschehof" z gestapowcem von Dippenem i szepnął mu do ucha:

— Wie pan, ktoś ma przyjechać do Równego, a ja właśnie teraz muszę jechać do swojej jednostki. Jestem zrozpaczony.

— Dlaczego? — zapytał zdumiony von Dippen.

— Już od dawna marzę, żeby go spotkać i przekazać pozdrowienia od ojca. Kiedyś byli znajomymi.

— O, marszałek Rzeszy będzie tutaj bardzo krótko i prawdopodobnie nikogo nie przyjmie. Bardzo spieszy się, chyba do Charkowa. Prawdopodobnie przeprowadza inspekcję lotnictwa.

— No tak, ma pan rację — z westchnieniem zgodził się Siebert.

Już wieczorem Kuzniecow wiedział, że do Równego przyjeżdża Göring ze swoim sztabem i zatrzyma się w rezydencji Kocha, podczas gdy część jego ludzi będzie przebywać w Reichskomisariacie.

Około północy o wszystkim została poinformowana Moskwa. Następnego dnia radzieckie lotnictwo bombardowało rezydencję Kocha. Göring od razu opuścił miasto i odłożył podróż do Charkowa. Rezydencję Kocha obroniła jednak gęsto rozstawiona artyleria przeciwlotnicza, ale okoliczne obiekty i dojścia do niej zostały dosłownie zrównane z ziemią.

Dwa dni później Prichodko przyniósł do punktu kontaktowego szczegółowe sprawozdanie Graczowa o ostatnich zdarzeniach w Równem i pospieszył z powrotem z nowymi instrukcjami dla swojego szefa. Graczow jednak już go nigdy więcej nie zobaczył. Przez kilka dni nic o nim nie było wiadomo. Wywołało to zaniepokojenie w oddziale i wszyscy wywiadowcy z Równego zostali pilnie wezwani do stawienia się w bazie w obawie, by któryś z nich nie wpadł w ręce Niemców.

Niepewna sytuacja zmusiła Kuzniecowa, Hnediuka, Szewczuka i Strutyńskiego do pójścia przez Zdołbunow. Pojawiły się jednak nowe kłopoty. Powiał południowy wiatr i stopił się lód na Horyniu. Jedynego zachowanego mostu dobrze strzegły niemieckie oddziały, zaś okrężna droga była znacznie dłuższa.

Wywiadowcy zatrzymali się w mieszkaniu siostry Nikołaja Prichodko, Anastazji Szmereg, której mąż pracował w lokomotywowni. Ich kolega ze Zdołbunowa, Piotr Bojko, zaproponował ryzykowne posunięcie: zaangażowanie jeńca wojennego, Leontija Klimenko, który pracował jako szofer władz okupacyjnych, aby wojskową ciężarówką przerzucił grupę przez most.

Klimenko przyjął propozycję i po wykonaniu zadania otrzymał od Szewczuka pokaźną sumę pieniędzy. Dopiero gdy podróżni zniknęli w lesie, zrozumiał, że byli to radzieccy partyzanci. Był zdeprymowany i zawstydzony przyjęciem zapłaty, toteż poszedł do mieszkania Piotra Bojko, zwrócił pieniądze i zgodził się współpracować z konspirantami w Zdołbunowie.

Kiedy Kuzniecow z towarzyszami dotarł do oddziału, w sztabowej ziemiance pokazano mu radiogram wysłany właśnie do „Centrum" w Moskwie.

„Ustalono, że P. (Prichodko — przyp. autora) został zatrzymany przed strażnicą przy wejściu do wsi Wielki Żyteń. Było tam 6 Niemców i 6 policjantów. Otworzył ogień z automatu. Zabił 10 ludzi, ale sam również został ranny. Strzelając, ruszył z końmi do tyłu. Natknął się jednak na ciężarówkę pełną Niemców. P. został ranny. Zabiwszy jeszcze 6 Niemców, pobiegł około 300 metrów dalej. Spalił wiadomość, którą niósł dla G. (Graczowa — przyp. autora). Potem odbezpieczył ukryty granat i popełnił samobójstwo. P. zasłużył na tytuł Bohatera Związku Radzieckiego".

Nikołaj Prichodko otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego 26 grudnia 1943 roku.

„Narzeczona" Sieberta

Pewnego marcowego wieczoru do oddziału dotarła chuda i blada siedemnastoletnia Walentyna Dowger. Szary, długi, wełniany szal założony na głowę i przewiązany na piersiach, walonki, plecak na ramionach i jakieś zawiniątko w ręce sprawiały, że wyglądała poważniej. Była zdenerwowana.

— Musiałem ją przyprowadzić — powiedział wywiadowca Koczetkow. „Jeśli ty mnie nie zaprowadzisz, sama pójdę" — powiedziała mi. I oto jesteśmy.

Jej ojca, starego białoruskiego rewolucjonistę, Konstantego Dowgera, aktywnego współpracownika radzieckiego wywiadu i członka oddziału partyzanckiego „Zwycięzcy", Niemcy złapali na początku marca 1943 roku i zamordowali — przywiązali mu ciężarki do nagiego ciała i utopili w Bugu.

Dziewczyna zdecydowanie oznajmiła, że opuściła swoje miasteczko, by jako partyzantka zastąpić ojca. Już pierwszego wieczoru zażądała od pułkownika Miedwiediewa broni.

W tym czasie w lesie pojawił się Nikołaj Kuzniecow. Przygotowując się do powrotu do Równego poprosił radiogramem „Centrum" o przydzielenie mu jednego pomocnika. Było mu bardzo ciężko żyć w osamotnieniu wśród nieprzyjaciół i całymi tygodniami nie powiedzieć słowa po rosyjsku. Z innymi wywiadowcami i konspiratorami nie widywał się, ponieważ istniało niebezpieczeństwo zdemaskowania. Moskwa upoważniła Miedwiediewa do podjęcia decyzji w tej sprawie.

Miedwiediew i Łukin postanowili wysłać do Równego Walę Dowger. Była ona osobą zaufaną i doskonale władała niemieckim, polskim i ukraińskim. Zamierzano przerzucić tam również jej matkę, która miała w mieście rodzinę i wielu przyjaciół.

Rozmyślając o wysłaniu Wali do Równego, Miedwiediew wpadł na pomysł, że byłoby dobrze, gdyby udawała ona narzeczoną Paula

Sieberta. Byłby to dla nich bardzo wygodny kamuflaż. Na początku jednak Kuzniecow nie zgodził się na to.

— Ona jest zbyt porywcza i pochopna, nie umie ukryć swojej nienawiści do faszystów. Jest mi potrzebna współpracownica chłodna, opanowana i delikatna w zachowaniu.

Zdecydowało jednak zdanie pułkownika Miedwiediewa. Z „Centrum" przyszła instrukcja, by Paul Siebert „awansował się" na oberleutnanta, a dla Wali Dowger przygotowano wersję, że jej ojca volksdeutscha zabili partyzanci za aktywną współpracę z władzami okupacyjnymi.

Energiczna dziewczyna szybko zdobyła zaufanie Kuzniecowa. Jego pierwsze raporty o niej były pozytywne. Dzięki swej krewnej znalazła mieszkanie dla siebie i matki, które także Kuzniecowowi mogło służyć jako schronienie. Podawała się za volksdeutschkę i kilka razy pojawiła się w towarzystwie Kuzniecowa w restauracji „Deutschehof" i na deptaku. Z dystyngowaną, powściągliwą ciekawością poznawała niemieckich oficerów, „przyjaciół" oberleutnanta Sieberta.

Otrzymała instrukcje zwiększenia aktywności. Przez jedną z koleżanek nawiązała znajomość z Leonem Metko, inżynierem niemieckiej firmy budowlanej i współpracownikiem gestapo. Uwierzył on w jej opowieść o ojcu volksdeutschu zabitym przez partyzantów i zaofiarował swoją pomoc. Dzięki temu zdobyła zaświadczenie niezbędne do zameldowania się. Stała się formalnie mieszkanką Równego (co było możliwe tylko za zgodą gestapo) i podjęła pracę jako sprzedawczyni w sklepie.

Metko był bardzo rozmowny i natrętny. W baranim kożuchu i futrzanej czapie przypominał ogromnego, niezgrabnego niedźwiedzia. Wala przedstawiła mu swego „narzeczonego" Sieberta, a Metko poznał go z kilkoma urzędnikami Reichskomisariatu i gestapo. Krąg znajomych Kuzniecowa ciągle się rozszerzał. Każda nowa osoba była mu do czegoś potrzebna.

Metko miał u oficerów Wehrmachtu opinię wytwornego zdobywcy serc kobiecych. Był bogaty, dowcipny i praktyczny. Przy pierwszym spotkaniu powiedział do Sieberta:

— Najmilsze są swoje dzieci i cudze żony. Ale tylko pierwszej klasy! Orzeł, panie oberleutnancie, nie łowi much.

Kuzniecow głośno się roześmiał. Nie mógł zrozumieć, co skłoniło pięćdziesięcioletniego inżyniera do przyjęcia wobec Wali opiekuńczej, ojcowskiej postawy. Być może wpłynął na to los jego szesnastoletniej siostrzenicy, której ojciec, nazistowski kapitan, zginął gdzieś w Serbii w walce z partyzantami.

— Ci Serbowie, panie oberleutnancie, są zepsuci i podstępni. Prawdziwi krwiopijcy! Wobec narodu niemieckiego zachowali się nieuczciwie również w I wojnie światowej. Nie życzę panu przeniesienia tam. Bolszewiccy bandyci zalali Bałkany. — W jego oczach widać było przerażenie. — Dziki kraj!

— Każde warzywo ma swoją porę, panie Metko — powiedział w zamyśleniu Siebert. — Przyjdzie kolej również na dziki Bałkan.

Oberleutnant wyciągnął z kieszeni notes z zapisanymi sentencjami i wypowiedziami nazistowskich bossów. Zaczął czytać:

„Zupełnie nie interesuje mnie los Rosjan, Czechów czy też jakichś tam Serbów. Czy jakiś określony naród istnieje, czy umiera z głodu interesuje mnie tylko o tyle, o ile członkowie tego narodu są nam potrzebni jako nasi niewolnicy.

Himmler".

Siebert odwrócił kartkę.

„Niższa rasa potrzebuje mniej mieszkań, mniej odzieży, mniej pożywienia i mniej kultury niż wyższa.

Himmler".

„Zabijajcie każdego, kto jest przeciwko nam. Odpowiedzialność za to nie wy poniesiecie, lecz ja, dlatego zabijajcie.

Göring".

Z następnej kartki przeczytał:

„Słowianie muszą dla nas pracować. Kiedy nie będą nam już potrzebni, wtedy mogą umrzeć. Wzrost liczby ludności słowiańskiej jest niepożądany.

Bormann".

„Ty nie masz ani serca, ani uczuć. Na wojnie nie są potrzebne. Zniszcz uczucie litości i współczucia — zabijaj każdego Słowianina. Nie wahaj się, jeśli masz przed sobą starca czy kobietę, dziewczynę czy chłopca — zabijaj!

Z «Notatnika niemieckiego żołnierza»".

— To jest współczesny nowy ład, panie Metko. Bóg jest w niebie, a führer na ziemi. Kiedy człowiek dobrze zgłębi i zrozumie

ideologię narodowosocjalistyczną, wtedy nie rozpacza, bo jest przekonany, że Trzecia Rzesza jest niezwyciężona! — z determinacją i patosem Paul Siebert dał lekcję Leonowi Metko.

Zapadał zmierzch. Poprzez mgłę widać było, jak w oddali, na murach starej twierdzy, jedno za drugim rozpalały się ogniska.

— Mówią, że partyzanci rozpalają obozowe ogniska. Chyba nie weszli do miasta? — ze strachem i jakby sam do siebie powiedział Metko, obserwując jak języki płomieni zaczęły lizać wysokie średniowieczne mury.

Zgryzoty kaprala Schmidta

Erich Koch, reichskomisarz Ukrainy, w 1942 roku niczym monarcha jeździł odkrytym samochodem po Równem, pojawiał się na trybunie w czasie mityngów propagandowych, uroczystości i defilad na cześć wysokich funkcjonariuszy Trzeciej Rzeszy. Jednak od czasu, kiedy Kuzniecow zaczął zabijać i porywać faszystowskich oficerów, Niemców opanowała chorobliwa panika. Również inni konspiratorzy i dywersanci mieli swoje organizacje, które likwidowały hitlerowców, napadały na ich magazyny, posterunki i instytucje.

Koch rzadko opuszczał swą świetnie strzeżoną rezydencję. Do miasta przyjeżdżał potajemnie, unikał pojawiania się na ulicach Równego. Bał się zemsty za przelaną krew, za terror na ziemi ukraińskiej.

Kuzniecow na żądanie „Centrum" formował grupę, która miała dokonać napadu na Reichskomisariat i zabić lub porwać Kocha. Wszyscy członkowie tej praktycznie samobójczej grupy mieli mundury żołnierzy Wehrmachtu. Z zamiaru napadu jednak zrezygnowano, ponieważ wszechstronne analizy pokazały, że byłby on daremny.

Kuzniecow wymyślał nowe warianty, ale każdy z nich był niedoskonały. Podczas gdy on łamał sobie głowę tym problemem, Wala Dowger oznajmiła mu, że w jej sklepie robi często zakupy stary przyjaciel jej rodziny, Polak, Jan Kamiński. Okazało się, że mieszkali blisko siebie i Kamiński zaprosił ją na herbatę. Młodą agentkę zdziwiła jego otwartość. Interesował się, czy zna ona w Równem jakiegoś radzieckiego działacza podziemia, ponieważ postanowił zerwać z polską organizacją Związek Walki Zbrojnej powiązaną z Warszawą i Londynem.

Po dłuższym zastanowieniu Kuzniecow postanowił osobiście poznać Kamińskiego. Polak zrobił na nim doskonałe wrażenie. Kuznie-

cow na początku przedstawił się jako zwyczajny konspirator. Następnie Kamiński złożył przed Kuzniecowem przysięgę (co było praktykowane przy przyjmowaniu nowych współpracowników) i otrzymał zadanie zbierania danych o armii niemieckiej i przekazywania ich Wali.

Dwa dni później Kamiński poznał Kuzniecowa ze starszym kapralem Schmidtem, treserem psów policyjnych przy Reichskomisariacie. Schmidt często zachodził do domu Kamińskiego, bo był zakochany w jego sąsiadce. Mimo niskiej rangi, ale dzięki „wyjątkowo ważnemu stanowisku", jakie zajmował, mógł on bywać w hotelu „Deutschehof", co już przy pierwszym spotkaniu dał do zrozumienia oberleutnantowi Siebertowi, podkreślając tym swoje znaczenie i pozycję.

— Nie wypadłem sroce spod ogona, panie oberleutnancie. Cieszę się wielkim szacunkiem w Reichskomisariacie! Wszędzie mam drzwi otwarte. Szczególnie cenią mnie ludzie z moich stron. Oto, powiedzmy, adiutant reichskomisarza, major von Babech, jest moim serdecznym przyjacielem jeszcze z młodych lat. Ale mimo to nie jestem szczęśliwy...

Rudy, piegowaty kapral Schmidt ze smutkiem w oczach gestykulował w podnieceniu. Pomimo ciągłego podkreślania swojego znaczenia, z uniżeniem patrzył na oberleutnanta z arystokratycznym rodowodem, który zaszczycił go propozycją wspólnego obiadu w hotelowej restauracji.

Następnego dnia Schmidt wcześnie skończył swe przedpołudniowe zajęcia przy psach. Przypomniał sobie, że dokładnie o pierwszej po południu czeka na niego Siebert. Jakoś intuicyjnie czuł, że może być mu on pomocny w rozwiązaniu jego problemów i kłopotów. A kłopoty kaprala Schmidta, jak opowiadał później Kuzniecow pułkownikowi Miedwiediewowi, nie były małe.

— Psy mnie bardzo kochają, ale ciężko mi się żyje, panie oberleutnancie! — powiedział siorbiąc gorącą zupę. — Bardzo jestem nieszczęśliwy. Mówi się, że krzywe drzewo daje krzywy cień. Nigdy nic nie miałem i tak też powrócę z wojny. Inni otworzą sklep lub kawiarnię, ożenią się, zdobędą majątek, a ja byłem i zostanę golcem.

— Czym pan zamierza się zajmować po naszym zwycięstwie? — zapytał Siebert.

— Sam nie wiem, panie oberleutnancie. Mój ziomek, major Babech, mówi, że tak się wyspecjalizowałem, iż mógłbym prowadzić jakiś ośrodek tresury psów wojskowych i policyjnych. Będą przecież jeszcze wojny, tresowane psy zawsze będą potrzebne. Ale i to nie wydaje mi się pewne. Jestem poczciwiną, nie umiem się rozpychać. Moje umiejętności nie na wiele się zdadzą. Zamiast nas, zasłużonych frontowców, przyjdą treserzy salonowi.

— Niech pan nie rozpacza, panie Schmidt, nawet na pięć minut przed śmiercią warto rozpocząć nowe życie — Kuzniecow dodawał otuchy kapralowi. — Nawet jeśli nie urzeczywistnią się pańskie plany, razem postaramy się znaleźć lek na pana dolegliwości. Dlaczego, powiedzmy, nie miałby pan dostać jakiejś dobrej pracy w majątku mojego ojca? — zapytał oberleutnant, udając, że ta myśl przypadkiem przyszła mu do głowy.

— Ma pan szlachetną duszę! — odpowiedział miło zaskoczony i trochę pocieszony Schmidt.

— Ech, gdyby ceniono według zasług... U samego tylko gauleitera Kocha wytresowałem siedem pierwszorzędnych psów. Teraz przygotowuję ósmego.

— Muszę panu przyznać, panie Schmidt, że jest to najinteligentniejszy owczarek, jakiego kiedykolwiek widziałem. Kiedy przyjdą spokojniejsze czasy, poproszę pana, by i dla mnie przygotował pan jednego. Uwielbiam mądre, silne i wielkie psy. Nie bez racji mówi się, że pies jest najwierniejszym przyjacielem człowieka.

— Ten jest najlepszy z tych ośmiu — mówił Schmidt. — Bez omyłki wyczuje niearyjczyka, przysięgam panu!

— Co pan mówi? A partyzanta?

— O! Partyzanta i Żyda — na kilometr!

— Czy pies zechce psie mięso? — zaśmiał się Paul Siebert.

— Pracę mam dobrą, panie oberleutnancie, ale pensję małą. Przesadza się w faworyzowaniu frontowców. Niektórzy bez żadnych zasług mają kieszenie pełne marek, a my, zajmujący się przygotowaniem ochrony wodza Trzeciej Rzeszy, jakoś jesteśmy zaniedbani. A ilu ministrów i generałów zabiliby partyzanci, gdyby zabrakło nas i naszego doświadczenia?

— Mój drogi Schmidt, zarżnięta owca nie cierpi, gdy ją obdzierają ze skóry. Ci, którzy zaznali nieszczęścia, nie są już w stanie

przestrzec innych, dlatego wasza praca nie jest oceniona według zasług — powiedział Kuzniecow z odrobiną goryczy, udając zrozumienie sytuacji, w jakiej znalazł się Schmidt.

— Otóż, mam w Równem dziewczynę, wspaniałą. Polka. Ma na imię Jadwiga. Mam jak najpoważniejsze zamiary, ale ona nie ma umiaru i zadaje mi wiele cierpień. Lubi wychodzić do miasta i lubi drogocenne podarki, i dla nich flirtuje z jakimś gestapowcem. Powiem panu wprost: jest nijaki. Niezgrabny, przygarbiony, ma ogromną, całą w bliznach głowę, prawdziwa poczwara. Ale pieniędzy ma w bród. I na co mu one potrzebne — zrobi jedną rewizję i obłowi się: złoty zegarek, pierścionek z drogim kamieniem, żydowska bransoletka, jedwabna bluzka lub dobry materiał na sukienkę. Oto dlaczego moja Polka kręci z gestapowcem... Muszę coś zrobić!

Okazało się, że owa Jadwiga wydawała prawie wszystkie pieniądze starszego kaprala, nawet te z ubocznych dochodów. Dlatego Schmidt żalił się żonie Kamińskiego, że popadł w długi i że Jadwiga go zostawi, gdy tylko on przestanie spełniać jej zachcianki. Te informacje umożliwiły Kuzniecowowi obserwację „tresera Rzeszy", jak sam siebie nazywał starszy kapral Schmidt.

— Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, mój drogi Schmidt. Każdy ma swoje troski! — z westchnieniem powiedział Paul Siebert. — Ja nie narzekam na brak pieniędzy. Miałem je od dziecka dzięki ojcu — Kuzniecow zrobił dłuższą przerwę. — Zawsze lubiłem i lubię radości życia. Zwłaszcza urocze kobiety! Nie brakuje mi też różnych podarunków dla nich...

— Ach, to wspaniale...

— Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Być może mógłbym w czymś pomóc. No cóż, jeśli ma pan już wobec niej poważne zamiary i jeśli jest ona dziewczyną na miejscu...

— Naprawdę, panie oberleutnancie, o, niech pan mnie tnie tu, w najcieńszym miejscu — starszy kapral przejechał palcem wskazującym prawej ręki pod gardłem.

— Niech pan zajrzy do mnie. Zawsze znajdzie się coś dla Jadwigi. Bez skrępowania...

— Nie ma sensu, panie oberleutnancie.

— Lepiej, żeby człowiek był bez brata niż bez przyjaciela — powiedział teatralnie Siebert, jednym okiem patrząc na szefową sali, panią Lelę, kłaniającą się dystyngowanie okazałemu generałowi von

Ilgenowi. — Schmidt, spodobał mi się pan. Wypijmy zdrowie pana inteligentnego owczarka. Być może jego sukcesy wyciągną pana z chwilowych kłopotów. Każdy ma swoje kłopoty — ciągnął Siebert z ciężkim westchnieniem. — Moja narzeczona w żaden sposób nie może sobie załatwić dokumentów volksdeutschki. Młoda, śliczna, miła dziewczyna. Ojca zabili jej partyzanci, wszystkie papiery wpadły w ich ręce. Jak ma w takim razie udowodnić swoje aryjskie pochodzenie? Proszę sobie wyobrazić paradoks: w Wielkich Niemczech Niemka czystej krwi musi udowodnić swoją tożsamość! A co by dopiero było w jakimś innym kraju? Różne rzeczy dzieją się na tym świecie, mój drogi Schmidt!

— No tak, to jest dopiero prawdziwe nieszczęście — współczująco pokręcił głową Schmidt.

— To nie wszystko, nie opowiedziałem panu jeszcze o wszystkich problemach, jakie mogą wyniknąć. Moja narzeczona została zmobilizowana i musi jechać do Niemiec!

— Och, co też spotkało tę dziewczynę!

— Widzi pan, każdy ma swoje troski.

— Nie rozumiem, panie oberleutnancie, dlaczego każdego dnia sprowadzamy z Niemiec naszych ludzi, a teraz jedna tutejsza Niemka, dobrze znająca i język, i ludzi tych stron musi wracać do Niemiec? Dlaczego fräulein nie mogłaby zatrudnić się tutaj, w Reichskomisariacie? Tu przecież urzędnicy padają z przepracowania na nos.

— Ale jak to zrobić? Nie wiem, co bym dał, żeby mi to ktoś załatwił, żeby urzeczywistnił się pana pomysł. Powiem panu otwarcie: zakochany jestem po uszy. Mam wobec niej jak najpoważniejsze zamiary.

— Diabelnie ciężko to zrobić. Bo żeby fräulein miała dokumenty... Nie wiem...

— Ma pan rację, drogi Schmidt. Dał mi pan wspaniały pomysł. Jestem panu za to bardzo wdzięczny. Cały problem może rozwiązać tylko jeden człowiek — reichskomisarz Koch! Gdyby tak znaleźć jakiś kontakt...

— Tylko on — potwierdził „treser Rzeszy". — Może mógłby panu pomóc mój rodak, von Babech, adiutant reichskomisarza i mój przyjaciel? Jesteśmy w doskonałych stosunkach. Niech fräulein napisze podanie, a my je poprzemy. Gauleiter bardzo ceni von Ba-

becha. Pochodzi on ze znanej rodziny arystokratycznej. Dziadek jego był generałem u cesarza Wilhelma.

— Jeśli to się nam uda, drogi Schmidt, wtedy do grobu będę panu zobowiązany. Bardzo dziękuję i za sam pomysł. Ja zaś zatroszczę się o pana, może pan być spokojny. Nie chciałbym, żeby mnie pan źle zrozumiał...

Kuzniecow włożył do kieszeni kaprala pokaźny plik banknotów.

— Ależ nie, proszę pana... — Schmidt okazał wielkie zmieszanie. — Nie trzeba... nie ma sensu, panie oberleutnancie. Chciałem wstawić się za pana narzeczoną tak po prostu, z serca, z przyjacielskich pobudek...

— Jest pan nieprawdopodobnie szczerym człowiekiem. Dlaczego tak się pan krępuje? Naszym świętym obowiązkiem jest pomagać bliźnim. Czyż nie jest pan chrześcijaninem? Dla prawdziwego przyjaciela gotów jestem skoczyć w ogień.

Starszy kapral Schmidt był rozpromieniony, chociaż najpierw czuł się nieswojo z powodu łaskawości i szczodrości swego nowego przyjaciela, bez którego pomocy ciężko byłoby mu wybrnąć z tarapatów, w które wpadł. Formalnie należał do jednostki podpułkownika Schillinga, ale jako treser psów dla potrzeb Reichskomisariatu bezpośrednio był podporządkowany adiutantowi von Babechowi. Tresura była prowadzona tak, że wielkie psy nie uznawały nikogo oprócz Kocha i Schmidta, dlatego „treser Rzeszy" zawsze był w pobliżu von Babecha. Wspólna praca zbliżyła ich, zwłaszcza, że okazało się, iż są ziomkami, co dla Prusaków zawsze odgrywało ważną rolę.

Także major von Babech był łasy na pieniądze i po poznaniu Sieberta starał się do niego zbliżyć. Tak jak wielu żołnierzy z tyłów, zazdrościł oberleutnantowi Krzyży Żelaznych i lubił pokazywać się w towarzystwie „bohatera-frontowca".

— Gdybym miał pana zasługi — pewnego razu otwarcie przyznał się Siebertowi — to przy moich kontaktach i zdolnościach szybko doszedłbym do stopnia generała.

— Powiem panu otwarcie, panie majorze, dla mnie na świecie istnieje tylko pięć rzeczy: führer, Wielkie Niemcy, przyjaciele, kobiety i pieniądze. Kariera mnie nie interesuje. A pieniądze tylko o tyle, by życie było piękniejsze.

Von Babech zamyślił się, zgorszony beztroskim stosunkiem Sieberta do pieniędzy, których jemu tak brakowało. Nie umiał bowiem zręcznie wykorzystywać swoich służbowych możliwości.

— Ja również nie jestem wielkim wielbicielem złota, ale złoto nie śmierdzi, mój drogi! Niekiedy człowiek bez forsy czuje się ohydnie, czy je lubi, czy nie. Oto, na przykład, przyjeżdża do mnie z Berlina przyjaciel, adiutant feldmarszałka Keitla! Jesteśmy kolegami z akademii wojskowej. Muszę go z przyjaciółmi zabrać do restauracji, kupić mu jakiś prezent. A jak mam to zrobić, gdy ostatnie pieniądze wysłałem żonie?

Von Babech był zmuszony kilka razy pożyczać pieniądze od Sieberta. Aby uniknąć zwracania ich, szukał odpowiedniej okazji do zrewanżowania się jakąś znaczniejszą przysługą. Sprawa Walentyny Dowger przyszła w samą porę, przynajmniej tak mu się na początku wydawało.

Chociaż Walentyna podawała się za volksdeutschkę, w Reichskomisariacie nie była zarejestrowana jako osoba niemieckiego pochodzenia, dlatego też nieoczekiwanie dostała wezwanie na roboty do Niemiec. Wywołało to zaniepokojenie w oddziale i w „Centrum". Kuzniecow zaproponował chytry plan: spróbować uzyskać audiencję u reichskomisarza Kocha i poprosić go, by osobiście zmienił decyzję o wysłaniu „volksdeutschki" Dowger do Niemiec. Przy okazji audiencji chciał dokonać zamachu na reichskomisarza.

— Sprawa jest bardzo złożona — narzekał von Babech. — Dopóki wezwanie nie zostało wręczone, można było zrobić wszystko. Mogę jedynie odłożyć wyjazd na dwa tygodnie. Wezwanie może unieważnić tylko gauleiter Koch.

— Czy pan reichskomisarz zechciałby zająć się takim drobiazgiem? — pokornie zapytał Siebert.

— Jeśli fräulein Dowger jest, jak pan mówi, volksdeutschką, i jeśli jest pan tym zainteresowany, zrobię wszystko, by pana przyjął — odpowiedział adiutant. — Teraz Kocha nie ma w Równem. Wyjechał do Berlina na pogrzeb przyjaciela partyjnego, generała Lutza, który zginął w wypadku samochodowym. Prawdopodobnie zajrzy jeszcze do Królewca i Warszawy, ale gdy tylko przyjedzie, przedłożę mu pana prośbę. A pan niech wcześniej przygotuje mi wszystkie papiery. Musi pan być ubrany galowo, a i fräulein Dowger niech zwróci uwagę na swój wygląd.

Kapral Schmidt zawiadomił Kamińskiego, ten zaś Walę Dowger, że Koch wrócił do Równego 25 maja. Następnego dnia podanie „volksdeutschki" i Paula Sieberta było już gotowe i Schmidt przekazał je von Babechowi. Cztery dni później specjalny kurier zapukał do drzwi Walentyny Dowger i przyniósł wezwanie z Reichskomisariatu dla niej i jej „narzeczonego". Erich Koch wyznaczył audiencję na 31 maja 1943 roku.

Po mistrzowsku przeprowadzona gra wciągnęła w sidła człowieka, który był zobowiązany czuwać nad Kochem, podejmować najbardziej drastyczne środki ostrożności i najgorliwiej je realizować, by chronić wysokiego faszystowskiego namiestnika. Von Babech niczego nie podejrzewał.

Kapral Schmidt bardzo się bał partyzantów, ale, pomagając Kuzniecowowi, w pewien sposób współpracował z nimi. Za wyświadczone przysługi Kuzniecow wynagradzał go dużymi sumami pieniędzy. Każda zainwestowana marka niosła profit nieocenionej wartości.

W przeddzień wizyty u Kocha Kuzniecow był absolutnie spokojny. Wielu jego towarzyszy walki i historyków szczegółowo opisuje całą metodykę pracy, jaką stosował przy przygotowywaniu i przeprowadzaniu każdej operacji. Szczególnie podkreślają oni powściągliwość, małomówność i opanowanie Kuzniecowa, który z pozoru pozbawiony był ludzkich słabości i nerwów. W bazie był zupełnie inny: wesoły, rozbawiony, towarzyski.

„Przygotowując się do jakiejś operacji, układał własny plan i wykonywał go, wbrew wszystkim przeszkodom. Pracował jak maszyna. To było niepojęte, jak ten żarliwy, płomienny człowiek mógł z taką zimną krwią i wyrachowaniem działać w tak powikłanych okolicznościach..." — wspomina doktor Albert Cesarski *.

Wieczorem, w przeddzień 31 maja, Kuzniecow i Wala długo rozważali, gdzie należy schować pistolet, z którego miał strzelać do Kocha — do kieszeni bluzy czy spodni. Skąd wygodniej go wyciągnąć? Stwierdzili, że szybciej można go wyjąć z kieszeni bluzy.

Plan był śmiały i prosty. Paul Siebert wejdzie do gabinetu, zasalutuje, podejdzie do stołu, wyciągnie pistolet i wystrzeli. Kuznie-

---

* A. Cesarski, *Zapiski partizanckogo wracza*, Moskwa 1973.

cow miał zapewne świadomość, że ciężko im będzie uratować się po dokonaniu zamachu. Dlatego plan ucieczki był powierzchowny. Mieli po prostu wykorzystać zamieszanie wśród ochrony Kocha i uciec do ogrodu, gdzie mieli czuwać uzbrojeni partyzanci, gotowi służyć pomocą.

Bezpośrednio przed wyjściem Kuzniecow zmienił decyzję. Wyjął pistolet z bluzy i włożył do kieszeni spodni. Poprosił Walę, by chwilę posiedzieli na ławce i w myślach powtórzyli cały scenariusz operacji, do najdrobniejszych szczegółów. Egzekutor szczególnie koncentrował się na samym momencie wyciągania pistoletu. Całymi dniami ćwiczył strzelanie z rewolweru bez celowania. W kieszeni jego szarych oficerskich spodni leżał naładowany „walter", zawsze odbezpieczony.

— Proszę dać rękę, fräulein Dowger! Idziemy do gniazda sępa!

Audiencja u Ericha Kocha

31 maja 1943 roku, około godziny 10 rano w centrum Równego, przed wielkim dwupiętrowym pałacem z sześcioma kolumnami, zatrzymała się luksusowa dorożka. Wyszedł z niej oberleutnant piechoty, elegancki, wyprostowany oficer. Krzyż Żelazny I i II klasy, złota odznaka i odznaka kombatancka wskazywały, iż jest to zasłużony żołnierz frontowy. Podał rękę swojej towarzyszce — szczupłej, niebieskookiej młodej dziewczynie i pomógł jej wysiąść.

Z przodu siedział „dorożkarz" Nikołaj Hnediuk. W zamyśleniu zmrużył oczy. Pod jego siedzeniem leżały automaty i granaty. Na okolicznych ulicach dyżurowali „przypadkowi przechodnie": Michaił Szewczuk, Wasilij Galuzo, Nikołaj Kulikow, Georgij Strutyński i inni wywiadowcy gotowi z bronią w ręku zapewnić Kuzniecowowi i Wali ochronę i ratunek.

Przed ogrodem Reichskomisariatu chodzili poważni strażnicy o tępych, bez wyrazu twarzach. Energicznym podniesieniem prawej ręki przywitali galowo ubranego oberleutnanta. Przy głównym wejściu czekał na niego uśmiechnięty major.

— Siebert, mój drogi, reichskomisarz czeka na pana. Niech dorożkarz wjedzie na dziedziniec, nie jest wskazane stanie przed budynkiem władz.

Słysząc to chłopak, z pozoru obojętny, zdziwił się, ponieważ zwykłym miejskim dorożkarzom zabroniony był wjazd do parku Reichskomisariatu. Ale nie było innego wyjścia. Wjechał.

Major najpierw wprowadził gości do portierni, która była ostatnim administracyjnym punktem kontroli odwiedzających.

— Czy gotowe są przepustki dla oberleutnanta Paula Sieberta i fräulein Dowger? — zapytał von Babech esesmana stojącego na baczność.

— Wszystko jest w porządku, panie majorze! — szybko odpowiedział sierżant w czarnym mundurze.

BIBLIOTEKA NAUKOWA ASG WP

Nie umknęło uwadze esesmana, że pełna wdzięku dziewczyna ma rozpromienione oczy i zaczerwienione uszy skryte pod jasnymi, kręconymi włosami. Zauważył, że jej chód i postawa były takie, jakby wychowała się w jakimś wielkim mieście Trzeciej Rzeszy. Nie mógł jedynie zrozumieć, dlaczego jakiegoś tam oberleutnanta oczekuje przy drzwiach adiutant reichskomisarza, von Babech.

W salonie przyjęć na drugim piętrze czekało kilku wyższych oficerów i krępy generał. Na posępnych twarzach widać było napięcie i niepewność. Czy gauleiter zechce przychylić się do ich prośby, czy zechce zrozumieć?

— Mówią, że reichskomisarz jest dzisiaj dobrze usposobiony — prawie wyszeptał Siebertowi na ucho jakiś pułkownik. Po niepewnym i drżącym głosie można było sądzić, że sam siebie przekonuje o dobrym nastroju Kocha.

Oberleutnant z powściągliwym uśmiechem pokiwał głową.

— Najpierw niech wejdzie fräulein Dowger! — powiedział von Babech otwierając ciężkie drzwi.

To trochę zmieszało Kuzniecowa. Plan operacji zakładał wspólne wejście lub wywołanie Sieberta pierwszego.

Wala popatrzyła na swego „narzeczonego", mimochodem uśmiechnęła się i energicznie podniosła się. „W tamtej chwili — powiedziała wiele lat później — miałam przeczucie, że nigdy więcej się nie zobaczymy".

W długim, wspaniałym gabinecie Wala najpierw zobaczyła trzy wielkie czarnoszare wilczury. Leżały na podłodze i spoglądały na nią w napięciu badawczymi, nieufnymi, złymi oczami. Na ścianie wisiał ogromny portret Hitlera w grubych pozłacanych ramach. Pod nim, rozparty w fotelu, siedział za rzeźbionym stołem korpulentny Erich Koch, którego pedantycznie przystrzyżone wąsy i przedziałek na głowie wskazywały, że we wszystkim naśladuje swego pana. Koch czytał właśnie podanie Wali i nie zwrócił uwagi na jej wejście. Jeden gestapowiec od razu stanął między nią i Kochem, drugi zajął miejsce z tyłu reichskomisarza, a trzeci, ogromny, z łapami jak łopaty, ulokował się za plecami Wali.

Drugie nieprzewidziane zaskoczenie. Jak ostrzec Kuzniecowa przed psami mogącymi przeszkodzić w przeprowadzeniu całego planu!? Wala zadrżała z niepokoju.

Koch był zły. W teczce na jego stole leżał raport o wykryciu w Równem gniazda homoseksualistów, które odwiedzali czołowi naziści, wielu oficerów i nawet pewien generał lotnictwa. W czasie niespodziewanej kontroli generała znaleziono w łóżku z rosłym, młodym ukraińskim kolaborantem. Reichskomisarza szczególnie niepokoiło pytanie, czy ci partnerzy seksualni wykorzystywali Niemców do pozyskiwania ważnych tajemnic Wehrmachtu.

— Co pani robi, fräulein Dowger? — zapytał ją niechętnie Koch.

— Jestem sprzedawczynią w firmie braci Bauer — cicho odpowiedziała dziewczyna.

— Tutaj jest napisane, że ukończyła pani szkołę dziesięcioletnią, radziecką...

— Musiałam się zatrudnić po śmierci ojca, aby wyżywić matkę, siostrę i siebie. Pomagał mi pan Leon Metko.

— Dlaczego pani nie kocha Wielkich Niemiec? Mówi pani, że jest niemieckiej krwi, a nie chce pomóc swojej prawdziwej ojczyźnie?! — podniósł głos gauleiter. Twarz jego była harda, blada, oczy ciemne, a usta ciemnoczerwone. Prawą ręką podparł brodę i badawczym spojrzeniem mierzył zmieszaną dziewczynę.

— Powiedziałam już, że po śmierci ojca pracuję i utrzymuję całą rodzinę. Mama jest poważnie chora, a siostra ma dopiero trzynaście lat — cicho wybąkała Wala, starając się mówić z jak największym przekonaniem i pokorą. — Bardzo pana proszę, panie gauleiterze, by pozwolił mi pan zostać z rodziną. I tutaj mogę być przydatna Rzeszy Niemieckiej, ponieważ mówię po niemiecku, rosyjsku, ukraińsku i po polsku. Mogę tłumaczyć, pisać na maszynie...

— Od kiedy zna pani pana Sieberta?

— Od ośmiu miesięcy.

— Gdzie go pani poznała?

— Przypadkowo, w pociągu... Później odwiedził nas w drodze na front... Nie mogę bez niego...

— Czym pani udowodni, że pani przodkowie pochodzili z Niemiec?

— Ojciec miał całą dokumentację. Papiery zginęły, gdy ojciec został zabity.

— Wszystko to wydaje mi się mgliste, fräulein. Rozumiem pani sytuację, ale jak to możliwe, że nie ma pani żadnego dokumentu?

Koch podejrzliwie kręcił głową. Spodobało mu się jednak, że Wala biegle mówi po niemiecku i po polsku — sam znał świetnie oba języki i w nich prowadził rozmowę.

— Nie wiem, co z panią zrobić, fräulein Dowger. Pomyślę i poinformujemy panią — niezdecydowanie powiedział gauleiter, znów spoglądając na jej podanie. — W porządku, może pani odejść. Niech wejdzie oberleutnant Siebert.

Zanim von Babech wezwał Kuzniecowa, przez drugie drzwi gabinetu weszło dwóch podoficerów prowadzących czwartego ogromnego owczarka, który rozłożył się przed biurkiem. Rozwarł paszczę i pokazał swoje ostre kły. Pozostałe trzy psy nie ruszyły się ze swoich miejsc.

— *Heil Hitler!* — zdecydowanie wyciągnął prawą rękę Paul Siebert, gdy tylko przekroczył próg gabinetu.

— *Heil!* — odpowiedział Koch, wskazując przybyłemu krzesło ustawione na środku gabinetu.

Momentalnie za plecami Sieberta stanęło dwóch barczystych esesmanów, gotowych rzucić się na niego przy najmniejszym podejrzanym ruchu. Trzeci zajął miejsce po przeciwnej stronie, za fotelem Kocha, a jeszcze dwóch stało przy zasłonach.

Kuzniecow od razu ocenił sytuację. Pies nie pozwoliłby mu przybliżyć się do stołu i musiałby strzelać z pięciu-sześciu kroków. Wilczur leżący przed reichskomisarzem zaczął cicho warczeć, gdy tylko spróbował włożyć rękę do kieszeni wojskowej bluzy. Esesman spojrzał na niego ponuro. Ktoś znienacka złapał go za ramię i szepnął:

— Panie oberleutnancie, tu nie jest dozwolone wyjmowanie chusteczki ani wkładanie ręki do kieszeni!

Co robić? Kuzniecow nie spodziewał się takiej sytuacji. Cała operacja była przecież inaczej pomyślana. Nie mógł strzelać. Nie pozwolą mu włożyć ręki do kieszeni — rozerwą go na strzępy, esesmani i wilczury. Później Kuzniecow mówił, że udałoby mu się zabić Kocha, poświęcając swoje życie, gdyby wcześniej znał warunki i okoliczności, w jakich będzie przebiegać audiencja. Mógłby uczynić to odbezpieczając ukrytą przy sobie minę lub miniaturowy granat przeciwczołgowy. Na niemieckich kronikach filmowych, które uważnie oglądał i studiował w Równem, nie zauważył tak pedantycznej ochrony podczas przyjmowania interesantów.

Na początku Koch był zachmurzony i trochę rozdrażniony ostatnimi wydarzeniami w Równem. Być może podejrzana afera z homoseksualistami z wysokich szczebli Wehrmachtu uczyniła reichskomisarza tak ostrożnym. Nie pochwalał wyboru partnerki, jakiego dokonał Siebert.

— Nie pojmuję, oberleutnancie — powiedział Koch — jak do tego wszystkiego doszło? Jest pan dobrym niemieckim oficerem, a zakochał się pan w dziewczynie o wątpliwym pochodzeniu. Co prawda, biegle mówi po niemiecku, ale intuicyjnie wyczuwam, że ma w sobie rosyjską lub żydowską krew.

— Fräulein Dowger jest czystej krwi aryjką, panie reichskomisarzu — uprzejmie odpowiedział Siebert. — Jej ojca, człowieka oddanego führerowi i Wielkim Niemcom zabili partyzanci. Znałem go osobiście. Czy jego córka zasłużyła, by ojczyzna traktowała ją w tak okrutny sposób?

— W porządku, w porządku — Koch niechętnie machnął ręką.

Zasłużony oficer, posiadacz Krzyży Żelaznych chciał w jakiś sposób wzbudzić w reichskomisarzu litość. Gorączkowo myślał i wybierał najróżniejsze kombinacje, żeby w najlepszy sposób wykorzystać nieoczekiwane zmiany nastroju Kocha. Wrzała w nim nienawiść do tego okrutnego kata i wielką siłą woli powstrzymywał się od wyjęcia pistoletu.

— Siebert, czy jest pan członkiem partii narodowosocjalistycznej?

— Od 1937 roku, panie reichskomisarzu!

— Skąd pan pochodzi, oberleutnancie? — ciągnął dalej Koch.

— Z Prus Wschodnich, panie reichskomisarzu! Z Królewca.

— Z Prus Wschodnich? Więc jesteśmy rodakami, to mój okręg. Kim są pana rodzice? — nagle nastrój Kocha polepszył się.

— Ojciec mój dawno umarł. Był zarządcą majątku księcia Schlobietena w pobliżu Elbląga, panie reichskomisarzu. Aż do mobilizacji byłem pomocnikiem nowego zarządcy.

— Chwileczkę, chwileczkę — zamyślił się Koch z wyrazem zadowolenia na twarzy. — Wydaje mi się, że przypominam sobie pana. Tak, przypominam sobie! W trzydziestym piątym roku byłem w tych stronach na polowaniu i jadłem kolację u Schlobietena. Ach, nigdy tego nie zapomnę: myśliwski szyncel z białym winem! Ach, jakie to były czasy! Tak, przypominam sobie, rozmawiałem wtedy z zarządcą i jego pomocnikiem. Więc to był pan?

— Tak, panie reichskomisarzu, to byłem ja — skromnie przyznał Kuzniecow. I dodał: — Wielki to dla mnie honor, że zapamiętał pan to zdarzenie. Ma pan doskonałą pamięć.

Rozweselony gauleiter zaczął rozmawiać z oberleutnantem serdeczniej. Poczęstował go egipskimi papierosami, a nawet podarował mu jedną paczkę.

Koch w dalszym ciągu indagował:

— Gdzie pan zdobył Krzyże Żelazne?

— Pierwszy za wyprawę na Francję, drugi w Rosji.

— Co pan teraz robi?

— Byłem ranny i tymczasowo służę w Wirtschaftskommando, panie reichskomisarzu. Oczekuję powrotu na front do swoich żołnierzy.

— A gdzie jest teraz pana jednostka?

— Pod Kurskiem, panie reichskomisarzu.

— Ach, tam. Niech pan zdrowieje szybciej, mój drogi, odważny rodaku. Führer przygotowuje bolszewikom niespodziankę właśnie pod Kurskiem. Zadamy taki cios, który złamie im kręgosłup. Nadchodzą wydarzenia, które rzucą Rosję na kolana. Pod Kurskiem znajdzie pan satysfakcję za swoje rany, mój drogi rodaku!

Kuzniecow miał przed sobą nazistę o zimnym spojrzeniu, przesiąkniętego nienawiścią i pogardą do niewidocznego przeciwnika. Zaciskał zęby i czasami, wytrącony z równowagi, uderzał nogą o podłogę, wróżąc straszny koniec wszystkim, którzy przeciwstawiają się Wielkim Niemcom.

Dramatyczny zwrot w rozmowie wprawił Kuzniecowa w osłupienie. Reichskomisarz zapowiadał wielkie wydarzenia, których znaczenie radziecki wywiadowca tylko przeczuwał.

— Są ludzie — ryczał Koch — którzy zaczęli okazywać niezadowolenie po Stalingradzie! Pojawiły się pogłoski o drugim froncie, o tym, że zgodzimy się na zawieszenie broni. Ale Niemcami od dawna nie rządzi cesarz Wilhelm, lecz wielki führer. Jego geniusz, dalekowzroczność i upór nie dopuściły do uczynienia takiego głupstwa. Nie będzie, mój rodaku, drugiego frontu w tym roku, nie będzie go w przyszłości, nigdy go nie będzie. Może pan tak powiedzieć oficerom i żołnierzom na froncie wschodnim! Słowiańska rasa nie będzie więcej miała swego Czudzkiego Jeziora ani Kulikowego Pola. Krach pod Kurskiem będzie końcem słowiańskiej ekspansji!

Czy miał pan do czynienia z rosyjskimi czołgami, oberleutnancie?

— Niestety, tak. I muszę przyznać, że ich „trzydziestki czwórki" są bardzo kłopotliwe, ale nie są nie do pokonania.

Kocha ogarnęła złowieszcza nienawiść. Esesmani z ochrony patrzyli na niego w osłupieniu. Nawet wilczury zapomniały o nieznanym gościu i zwróciły głowę w stronę reichskomisarza, nadstawiając uszu, jakby to do nich wygłaszał mowę.

Kuzniecow postanowił nie strzelać i zrezygnować z zamachu, ponieważ szalony gauleiter zaczął odsłaniać tajemnice o pierwszorzędnym znaczeniu. Trzeba było je przekazać do „Centrum".

— Za półtora miesiąca poznają nasze nowe „tygrysy" i „pantery". Nie ma takiego granatu, bomby czy pocisku, który mógłby przebić ich gruby pancerz.

Koch w czasie audiencji był trochę podpity. W pewnej chwili podszedł do wielkiej mapy ściennej, twarz mu nabiegła krwią, oczy miotały błyskawice. Krzyczał:

— Führer przygotowuje bolszewikom piękną niespodziankę. Nie taką, jak pod Moskwą, i nie taką, jak nad Wołgą. O, nie! To będzie coś innego, wielkiego. Będzie to ostatnie uderzenie, od którego pójdą do diabła i drugi front, i bolszewizm, i jego agendy w okupowanych krajach. O, znów przekonaliśmy się o jego geniuszu, kiedy wybrał Kursk i Orzeł. Zrobimy wyłom, zmiażdżymy bolszewizm, wyciągniemy Armię Czerwoną z umocnionych miast w bezkresne stepy i już nikt nie będzie mógł zatrzymać lawiny niezwyciężonego Wehrmachtu!

Kuzniecow z wrażenia ledwo utrzymał się na krześle. Przyboczny doradca Hitlera, Erich Koch, w przypadkowej rozmowie z jakimś oberleutnantem, wprawdzie „znajomym" i „rodakiem", wygadał, będąc nieco pod wpływem alkoholu, największą tajemnicę państwową — przygotowanie potężnej bitwy pod Kurskiem i Orłem.

Reichskomisarz trochę się uspokoił i zwycięskim wzrokiem przebiegł po zachwyconych twarzach słuchaczy. Zapanowała cisza.

Koch przysunął do siebie podanie Wali i na odwrocie napisał: „Unieważnia się decyzję o wysłaniu do Niemiec Walentyny Dowger. W/w przyjąć jako urzędniczkę administracji do oddziału gospodarczego Reichskomisariatu. Wykorzystać jej znajomość języka niemieckiego, rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego. Reichskomisarz Erich Koch".

Wprowadzenie radzieckiej agentki do administracji Kocha miało dalekosiężne następstwa w walce pomiędzy wywiadami Związku Radzieckiego i Trzeciej Rzeszy.

Erich Koch nie mógł nawet przypuszczać, że jego rozmowa z pewnym zwykłym, ale pofunie poleconym interesantem tego samego wieczoru co do słowa będzie przekazana drogą radiową do Moskwy.

* * *

Po przyjęciu raportu Kuzniecowa od razu zebrał się sztab radzieckiego Naczelnego Dowództwa. Jednocześnie z innych źródeł nadeszły potwierdzenia, że Niemcy przygotowują wielką, decydującą bitwę w centralnej i południowej Rosji. To umożliwiło Armii Czerwonej na czas podjąć odpowiednie środki i przeciwdziałać niemieckim przygotowaniom.

Informacje wywiadowcy mogą rzeczywiście zawierać tajemnice wojskowe, polityczne, gospodarcze i inne zamierzenia przeciwnika lub też są mu sprytnie podsuwane, by oszukać stronę przeciwną. W kamuflowaniu swoich zamiarów i oszukiwaniu Niemcy w II wojnie światowej byli niezrównanymi mistrzami. Dlatego wiele raportów z ich tyłów przyjmowano w Moskwie ostrożnie i z rezerwą, wielostronnie sprawdzano i porównywano je z innymi danymi pośrednimi, z ogólną sytuacją i możliwościami realizacji.

Wiele zależy też od tego, kto wysyła raport, z jakich źródeł pochodzą dane i czy agent, w konkretnym przypadku, był w stanie dostrzec rangę problemu i wyciągnąć rzeczy najbardziej istotne. Żaden wywiadowca, nawet najbardziej utalentowany, nie może zadecydować o losie bitwy, a tym bardziej o losie wojny. W dużym stopniu jednak może on przyczynić się do sukcesu lub porażki, może mieć wpływ na zaktywizowanie w porę wszystkich istniejących potencjałów i skierowanie ich do określonych sektorów w celu udaremnienia planów drugiej strony. Oczywiście, należy znać wcześniej, choćby w zarysach, strategiczne i taktyczne plany nieprzyjacielskiego dowództwa, daty i miejsca przygotowywania wojskowych akcji i ofensyw, ale to wszystko nie wystarcza. Trzeba jeszcze wiele razy dodatkowo sprawdzić i definitywnie potwierdzić informacje, żeby można było podjąć kontrdziałania.

Wielu byłych generałów Hitlera publikowało po wojnie obszerne pamiętniki o bitwie pod Kurskiem. Wspomnienia szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych Wehrmachtu, generała Kurta Zeitzlera, wskazują, że Niemcy już w 1943 roku zrozumieli, iż ktoś zdradził Rosjanom tajemnicę operacji „Cytadela" (kryptonim bitwy pod Kurskiem) dużo wcześniej, niż się ona zaczęła. Niemieccy historycy byli później zdumieni, gdy ze źródeł radzieckich dowiedzieli się, że tajemnicę zdradził nie kto inny, tylko Erich Koch, wówczas trochę podchmielony, jak to przynajmniej wynika z jego pedantycznie prowadzonego dziennika.

Dla historii II wojny światowej o wiele większe znaczenie miał raport Kuzniecowa do „Centrum" w Moskwie, niż gdyby 31 maja dokonał on zamachu na Ericha Kocha. Radzieccy historycy podkreślają ogromną zasługę Kuzniecowa, który w odpowiednim czasie, z autorytatywnego niemieckiego źródła dowiedział się, że Wehrmacht przygotowuje bitwę pod Kurskiem i Orłem. Sygnał o planach strategicznych Niemców umożliwił nie tylko zyskanie na czasie, lecz również uratowanie życia setkom tysięcy żołnierzy radzieckich i przygotowanie zwycięskiej kontrofensywy.

Bitwa pod Kurskiem trwała od 5 lipca do 23 sierpnia 1943 roku. W stepach centralnej i południowej Rosji starło się po obu stronach ponad 4 mln żołnierzy, około 70 tys. dział i moździerzy, ponad 13 tys. czołgów i około 12 tys. samolotów. Niemcy w różnych fazach bitwy zaangażowali ponad 100 dywizji, z których 30 zniszczono lub wzięto do niewoli. Obie walczące strony miały do dyspozycji zbliżoną ilość żołnierzy, chociaż w pierwszej fazie bitwy oddziały Wehrmachtu były nieco liczebniejsze.

Hitler miał nadzieję obrócić na swoją korzyść przebieg wojny na Wschodzie. Potrzebował rewanżu za Stalingrad. Potrzebował efektownego zwycięstwa, by podnieść morale wojska, prestiż Niemiec i zastraszyć swoich satelitów.

Niemiecka ofensywa rozpoczęta 5 lipca spotkała się z silnym, głębokim systemem obiektów obronnych. Pierwszego dnia bitwy faszyści stracili 586 czołgów i 203 samoloty. Najbardziej zaciekła potyczka toczyła się 12 lipca pod wsią Prochorowka, gdzie na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych starło się 1200 czołgów radzieckiego generała Pawła Rotmistrowa i niemieckiego generała Hermanna Hotha. Ruchliwe radzieckie „trzydziestki czwórki" (czoł-

gi T-34) rozbiły i zmiażdżyły faszystowskie stalowe twierdze, ciężkie i powolne „tygrysy" i „pantery".

Nie dając czasu nieprzyjacielowi na zebranie sił, oddziały radzieckie, którymi dowodzili marszałkowie: Żukow, Wasilewski, Rokossowski, Koniew, Tołbuchin i generał Watutin, przeszły do przeciwnatarcia i wyzwoliły Orzeł, Biełgorod, a później także Charków, goniąc za armiami von Mansteina, von Klugego, Guderiana i Modla.

W bitwie pod Kurskiem Wehrmacht doznał najcięższej porażki w II wojnie światowej. Niemieckie dowództwo było zmuszone ostatecznie przyjąć strategię obronną na całym froncie radziecko-niemieckim.

Salon hrabiny Lisowskiej

Łączność radiowa na linii Kętrzyn—Berlin—Równe—Moskwa stawała się coraz bardziej ożywiona. W Równem wzbierała na sile walka wywiadów. Wysokie anteny radiopelengatorów nie były w stanie wykryć kilku sprytnie ukrytych nadajników radiowych grupy Kuzniecowa. Niemcom nie udało się również rozszyfrować kilku przechwyconych meldunków. W polowaniu na nieuchwytnych „grajków" uczestniczyły dziesiątki wozów i agentów wyposażonych w specjalne aparaty radiogoniometryczne.

Dwa razy odwiedzili Równe szef Abwehry, Canaris, i zastępca Hitlera, Müller i bezpośrednio dali instrukcje, by nadal prowadzić obławę. Abwehra nawet specjalnie zamówiła w firmie „Löwe Opta" kieszonkowe radiogoniometry i dziesiątki agentów wyposażonych w nowe aparaty krążyło po ulicach miasta. Do rozszyfrowania przejętych meldunków radiowych naziści włączyli znanego berlińskiego matematyka, Wilhelma Fauka, lecz Orłow, Szesterniewa, Osmołowa i inni radiotelegrafiści wciąż przechytrzali Niemców. Według instrukcji Kuzniecowa, małe radiostacje były ciągle przenoszone z jednej kryjówki do drugiej, często też zmieniano czas nadawania.

Na rozkaz doktora Jorgensa, szefa gestapo w Równem, do pracy wywiadowczej należało włączyć dwie niezwykle piękne młode kobiety, siostry cioteczne, Lidię Lisowską i Maję Mikotę. Lidia była szefową restauracji w hotelu „Deutschehof", a Maja w kawiarni opatrzonej szyldem *Nur für Deutsche*.

Lidia Lisowska (pani Lela, jak ją nazywali Niemcy) miała dwadzieścia sześć lat i od czterech lat była wdową. Na początku wojny pracowała jako pielęgniarka w polskiej armii, a jej mąż, oficer polski, został wzięty do niewoli w bitwie o Warszawę i później rozstrzelany.

O urodzie młodej Polki hrabiowskiego pochodzenia krążyły legendy. Ta zgrabna, pełna wdzięku kobieta o figurze gimnastyczki

i wielkich szarych oczach, oczarowywała niemieckich oficerów. Jej bujne włosy koloru dojrzałego zboża, wytworne maniery i nienaganny sposób bycia przyciągały uwagę bywalców restauracji. Lidia ukończyła szkołę baletową i konserwatorium, uprawiała sport i zdobywała znaczące trofea w strzelectwie i jeździectwie. Ze względu na jej wyjątkową urodę kilka razy (przed wojną) proponowano jej wyjazd do Hollywood, ale młoda hrabianka przedłożyła małżeństwo z przystojnym oficerem, członkiem Komunistycznej Partii Polski, nad błyskotliwą karierę aktorki.

Wszystko to, z wyjątkiem nie znanych Niemcom danych o jej nieżyjącym mężu, podobało się licznym wielbicielom Lidii, których ona nie odrzucała, ale umiała ich trzymać na dystans. Nikt nie mógł pochwalić się jakimś znaczącym sukcesem u niej, nawet graf Gaan, który rozpowiadał swoim przyjaciołom, jakoby pani Lela zgodziła się wyjść za niego. Wydaje się, że graf Gaan właśnie z powodu Lisowskiej nie dostał w swoim czasie nadzwyczajnego awansu na generała mimo szczególnych zasług dla führera i Wielkich Niemiec. W miłosnym zaślepieniu zrobił jeden zupełnie nie przemyślany krok, co umożliwiło Kuzniecowowi wzięcie go do niewoli i rozstrzelanie.

Pani Lela, mimo zachowywania koniecznego dystansu, pozwalała kilku stałym bywalcom hotelu odwiedzać się, a czasami, za jej zgodą, mogli przyprowadzać co znaczniejszych gości, których zawierucha wojenna przygnała do Równego. Do „śmietanki" zbierającej się w jej mieszkaniu na ulicy Legionów 15 należeli pułkownik Adam Schuhmacher, major Paul von Dippen, inżynier Leon Metko i inni.

Wspaniałe wieczorki i bankiety z piosenkami i zabawą, na które goście sami przynosili alkohol i jedzenie, toczyły się przy akompaniamencie gry pani Leli na pianinie. Wszystko na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie nieco frywolnych igraszek, ale w istocie Lisowska nie pozwalała na zbyt dużą swobodę.

Lidia przyjaźniła się tylko ze swoją siostrą Mają i dzieliła z nią wyjątkowo wytworną i drogą garderobę, łącznie z futrem z soboli, lakierowanymi botkami i modnymi kapeluszami. Z obsługą hotelu nie utrzymywała bliższych stosunków. Odnosiła się do tych ludzi z rezerwą, podkreślając tym swoje arystokratyczne pochodzenie. Niemieccy oficerowie obsypywali ją różnymi prezentami — złoty-

mi bransoletkami, brylantowymi pierścieniami, bursztynowymi koralami, szwajcarskimi zegarkami i różnymi zagrabionymi ozdobami i kosztownościami. Nigdy nie odmówiła przyjęcia prezentu, ale propozycje innego rodzaju subtelnie, prawie niezauważalnie, zbywała i topiła w dobranych miłych słowach i uwodzicielskim uśmiechu, za którym, jak się wydawało, kryło się pewne niedopowiedzenie.

— Jest pan bardzo miłym człowiekiem — zwykła mówić w takich sytuacjach pani Lela — pana prezent jest mi niezwykle miły, ale sam pan wie, że wiele bym straciła w panach oczach, gdybym w tym burzliwym czasie stała się nocną „handlarką" miłości. Przyjdą spokojniejsze czasy, nigdy nie jest za późno...

Mieszkańcy Równego nienawidzili sióstr Polek i pogardzali nimi, ponieważ, ich zdaniem, flirtowały z gestapowcami, pyszniły się swoją wspaniałą garderobą i drogocenną biżuterią i nie stroniły od przyjęć i pijaństw z tymi, którzy każdego dnia wysyłali na śmierć tysiące ludzi. Konspiratorzy planowali, by w czasie jakiejś zabawy wrzucić przez okno do mieszkania Lidii Lisowskiej bombę.

Siostry wyczuwały pogardę otoczenia i obawiały się zemsty mieszkańców miasta. Nadal jednak zapraszały i zabawiały niemieckich oficerów.

Od jeńca, Władimira Graznicha, który przez pewien czas pracował w kuchni hotelowej restauracji, Kuzniecow dowiedział się, że Lidia nienawidzi okupantów, ale sprytnie to ukrywa. Włączenie do siatki współpracowników osoby z jej zaletami i kontaktami mogłoby bardzo pomóc służbie wywiadowczej, nawet gdyby pracowała ona na dwa fronty — rozważali w oddziale.

Nikołaj Hnediuk (Jan Bagiński, zwany też panem Jankiem) otrzymał zadanie poznania bliżej Lisowskiej.

Kiedy już się zaprzyjaźnili, Hnediuk postanowił powiedzieć jej, że jest partyzantem. Lisowska była zaskoczona, zwłaszcza że przez cały czas czuła obawę przed bystrym i zręcznym spekulantem, panem Jankiem, o którym Leon Metko powiedział, że współpracuje z gestapo. Wiele razy przecież widywał Janka w towarzystwie agentów tajnej policji.

Lisowska opowiedziała mu, że Niemcy zabili całą jej rodzinę, a ona i jej siostra wprawdzie uwodzą niemieckich oficerów, ale z całego serca nienawidzą ich i gotowe są natychmiast otruć każdego, jeśli oddział tego zażąda.

— Wszystkie te znajomości ratują mnie przed wysłaniem na przymusowe roboty do Niemiec. Potrzebne są mi też z innego powodu...

Ten „inny powód", o którym Lidia tak mimochodem wspomniała, zwrócił szczególną uwagę doświadczonego wywiadowcy. Od razu poinformowano „Centrum" w Moskwie, sugerując, że Lisowska, być może, współpracuje z jakąś polską organizacją za granicą lub z angielską Intelligence Service. Hnediuk zaczął przejmować dane od Lidii i Mai. Zachowywał jednak wobec nich pewien dystans, bo dokładnie nie było wiadomo, kim jest w istocie hrabina Lisowska.

Kilka dni później w „Centrum" znaleziono całe *dossier* pięknej Polki. Ona i jej nieżyjący mąż już w 1938 roku zostali współpracownikami radzieckiego wywiadu. Dawne hasło do kontaktu z nią brzmiało: „Pozdrowienia od Popowa".

W istniejących okolicznościach Lisowskiej trudno było utrzymywać łączność z Moskwą, ponieważ wiodła ona przez kanał w Warszawie, z którym kontakty były niesystematyczne, a w pewnym momencie, w styczniu 1943 roku, zostały całkowicie przerwane z powodów, których hrabina mogła się tylko domyślać, lecz nigdy ich nie poznała. Później ustalono, że szef punktu warszawskiego, razem z najbliższymi współpracownikami, zginął w jakiejś potyczce z gestapo.

Według nowego polecenia, które nadeszło z „Centrum", Siebert miał wejść w kontakt z Lisowską, lecz nie mógł odkryć przed nią swej tożsamości aż do całkowitego wyjaśnienia wszystkich okoliczności. Oberleutnanta Paula Sieberta wprowadził do salonu pani Leli inżynier Leon Metko i przedstawił go jako swego dobrego przyjaciela.

— Siebert pochodzi z szanowanej niemieckiej rodziny. Godnie reprezentował żołnierskie cnoty Prusaków i od wielkiego führera dostał Krzyże Żelazne I i II klasy!

Siebert w podziękowaniu skłonił się i dalej przedstawiał się pozostałym zaproszonym gościom. Gdy to robił, Leon Metko szepnął dyskretnie Lisowskiej, że oberleutnant został ranny i teraz pracuje w jednostce rekwizycyjnej i ma bardzo dużo pieniędzy.

Lisowska z niewymuszonym uśmiechem powiedziała, iż oberleutnant podoba jej się nie tylko z powodu rycerskich zasług, lecz również dlatego, że ma takie same oczy jak ona. Wszyscy roześmieli

się, ale można było wyczuć zazdrość o nowego gościa w salonie pani Leli, który z miejsca zdobył jej sympatię.

Inżynier Metko planował zabrać Lisowską ze sobą do Niemiec, lecz w ostatnim czasie wydawało mu się, że na drodze stanął mu przystojny kapitan Ludwig Speer przeniesiony z Francji. Metko wiedział, że Siebert ma narzeczoną zatrudnioną w Reichskomisariacie, prowadzi koczowniczy tryb życia ze względu na charakter swojej służby i ciągle jest w ruchu, tak więc nie widział w nim niebezpiecznego rywala.

— Oberleutnant jest kulturalnym, układnym i bardzo szczodrym człowiekiem — powiedział do Lisowskiej. — Ciągle jest w drodze. Do Równego wpada tylko na kilka dni w miesiącu i ciężko jest mu tułać się po hotelach i podejrzanych mieszkaniach. Potrzebuje gdzieś na stałe uwić sobie gniazdko. Zapewniam, że nie będzie pani żałować, jeśli wynajmie mu jeden pokój.

Lisowska zgodziła się, tym bardziej że niemiecka komendantura mogła w każdej chwili umieścić jakiegoś oficera w jej trzypokojowym mieszkaniu.

Siebert szybko stał się swoim człowiekiem w domu przy ulicy Legionów. Miał tu, na wszelki wypadek, jeszcze jedno wygodne schronienie. Mimo to on i Hnediuk kilka razy wszechstronnie sprawdzili Lisowską. Siebert parę razy udawał pijanego i opowiadał Lidii o określonych tajnych przedsięwzięciach władz. Lisowska absolutnie wszystko, co słyszała od niego, przekazywała Hnediukowi. Pewnego razu ukradła mu nawet pokaźną sumę pieniędzy i oddała Hnediukowi na potrzeby partyzantów.

Według instrukcji z oddziału, siostry nadal współpracowały z gestapo i Abwehrą. Informacje oczywiście były zakamuflowane tak, by przynieść inny skutek, niż tego oczekiwali naziści. A w towarzystwie interesujących kobiet, przy muzyce, winie i koniaku panom oficerom rozwiązywały się języki.

W salonie hrabiny Lisowskiej chętnie spędzali swój wolny czas oficerowie i wysocy urzędnicy. Nie tylko pili, jedli i tańczyli. Także mówili, jedni mniej, drudzy więcej. Zdobywano tu najróżniejsze informacje wojskowe, polityczne i ekonomiczne. Krążyły plotki o kolegach z pracy, opowiadano zdarzenia z frontu, chwalono się sukcesami, narzekano na dowództwo, wspominano o sprawach związanych z radzieckimi „terrorystami", odkrywano różne przypadki

z życia członków Wehrmachtu, mówiło się o przeniesieniach, o nowej tajnej broni, która całkowicie zmieni przebieg wojny na korzyść Niemiec, o nastrojach żołnierzy, ruchu wojsk i przygotowywaniu nowych ofensyw, obławach i ekspedycjach karnych przeciwko partyzantom.

— Rosja to jednak dziki kraj — ze smutkiem powiedział kapitan Ludwig Speer. — O, oczywiście — skłonił się z galanterią — są tu przepiękne kobiety, ale trafić tu z Paryża to więcej niż straszne.

— Pan tu za karę? — zapytał zjadliwie Metko.

— Jaka tam kara, panie inżynierze! Przyszedł rozkaz dla wszystkich. Gdy o przeniesieniu dowiedział się dowódca mego batalionu, major Kuhn, tak się upił, że wypadł z samochodu. Złamał biedak trzy żebra i nogę. Jeszcze jest w szpitalu.

— Gdzie się pan tak opalił? — zapytała Maja majora czołgistę, któremu jaśniały tylko włosy i zęby. — Prawdopodobnie wypoczywał pan gdzieś nad morzem?

— Nie można ukryć ognia w kieszeni, fräulein Maja — zaśmiał się Ludwig. — Wszyscy mnie z pewną zazdrością o to pytają. A chciałbym, żeby oni tak odpoczywali i prażyli się w afrykańskim słońcu, na pustyniach. Nie wiem, po co nam rozpalone piaski Afryki! To nie dla nas, Europejczyków. Chwała Bogu, cała moja dywizja została przeniesiona na front wschodni, ale mówią, że tu można szybciej stracić głowę.

— Każdy ma swoje bolączki — z rezygnacją powiedział major Franz Kluge. — Ktoś musi zamienić Równe na Orzeł. Nie jest to miłe, panowie, chociaż jestem przekonany, że wrócę stamtąd z Dębowymi Liśćmi. Mam nowy samolot, szybki jak strzała.

— Z góry panu zazdroszczę — wtrącił się Siebert. — Czy istnieje dla prawdziwego Niemca większe szczęście i honor, mój majorze?

Siebert objął Klugego i pił z nim szampana na bruderszaft. W salonie rozległ się spontaniczny aplauz. Maja podeszła i pocałowała Klugego, życząc mu nowego podniebnego zwycięstwa.

Wieczorki i przyjęcia w salonie hrabiny Lisowskiej były znaczącym źródłem informacji dla radzieckiej służby wywiadowczej. Niemieccy autorzy podkreślają, że wśród niemieckich oficerów, którzy tam przychodzili, byli również współpracownicy Intelligence Ser-

vice. Ustalono także, że Anglicy od czasu do czasu zdobywali określone wiadomości z ukraińskiej stolicy poprzez organizację współpracującą z polskim rządem emigracyjnym w Londynie.

Poznanie Lisowskiej i Mai znacznie rozszerzyło możliwości Sieberta, tym bardziej że mógł teraz swobodnie, według własnego wyboru, zapraszać gości do domu cieszącego się przychylnością i dobrą opinią w Abwehrze i gestapo. Tutaj, wśród oficerów wysokiego szczebla, wszystko szło naturalnym tokiem i niewymuszenie. Nikogo nie trzeba było ciągnąć za język ani naprowadzać na określone tematy. Wesołe towarzystwo, piękne kobiety i wino robiły swoje.

„Pozdrowienia od Popowa"

W salonie Lidii Lisowskiej pojawił się pewnego wieczoru ważny gość — Grabner, naczelnik wydziału politycznego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przybył do Reichskomisariatu w sprawie przygotowania nowego transportu. Na ulicę Legionów przyprowadził go jego kolega z dawnych lat, pułkownik Albert Frank, lubujący się w rozmowach na tematy filozoficzne w „małym Heidelbergu", jak nazywał mieszkanie pani Leli.

Chcąc przypodobać się Grabnerowi, pułkownik Albert Frank zaczął opowiadać najnowsze dowcipy.

— W pewnym obozie profilaktyki rasowo-politycznej wsadzono do komory gazowej grupę Żydów i Rosjan. Nagle ktoś z całej siły zaczął walić w szybę komory: „Otwórzcie, szybko, mam wam coś ważnego do powiedzenia!" Dyżurujący otworzył szybę i wysunęła się stamtąd głowa starego Żyda: „Otwórz nam, człowieku, komorę, wewnątrz nie ma powietrza, udusimy się".

Rozległ się śmiech.

— Nie powinno się naszych uroczych gospodyń zanudzać takimi prozaicznymi rzeczami — powiedział Grabner mentorskim tonem, wypominając Frankowi poruszenie tematu, o którym naziści nie lubili dużo mówić. — Na tym świecie, panowie, brakuje miłości i wiary w przyszłość. W imię szczerej przyjaźni proszę panią, hrabino Lisowska, by wypiła pani ze mną szampana na bruderszaft.

Lidia zgodziła się. Eleganckim ruchem udało jej się uniknąć pocałunku człowieka, którym gardziła. Z trudnością znosiła swe podwójne życie, te sztuczne uśmiechy do okrutnych morderców. W pewnym momencie ledwie opanowała się, by nie pobiec do sypialni po ukryte bomby i wysadzić w powietrze całą tą hołotę. Pochopność mogła jednak okazać się tragiczna dla powierzonej jej misji.

— Mogę pani powiedzieć, moja droga hrabino — usiłował się przypodobać Grabner — że wszyscy moi prawdziwi przyjaciele z

Reichskomisariatu wynosili panią pod niebiosa jako najpromienniejszą gwiazdę i, muszę przyznać, mieli całkowitą rację.

— Czy gwiazdy muszą być wynoszone pod niebiosa? — kokieteryjnie zapytała Lisowska.

— Podziwiam pani niezwykłą duszę, hrabino! Jest w pani jakaś pociągająca tajemniczość, którą można odkryć dopiero poprzez słodkie męki. A odkrywanie tajemnic jest podstawową właściwością niemieckiego geniuszu.

— Tylko rasa germańska zna tajemnicę światowego porządku, jaki nadejdzie — patetycznie wykrzyknął oberleutnant Müller.

— Tajna broń stworzona przez niemieckiego geniusza zrówna z ziemią wszystkie te Moskwy, Leningrady i inne stolice. Wznoszę kieliszek, panowie, za nasze przyszłe zwycięstwa! — dodał major Kluge.

— Ma pan całkowitą rację — poważnym tonem wtrącił się do rozmowy oberleutnant Siebert. — Wiem, że wkrótce cała nasza armia dostanie nową broń — od pistoletów aż do samolotów i dział. Mógłbym to zilustrować jednym przykładem, niby mało znaczącym, ale charakterystycznym. Niedawno, w czasie służbowej podróży do Berlina, otrzymałem w prezencie pistolet całkowicie oryginalnej konstrukcji. Takich rewolwerów nie ma nikt na świecie. Proszę sobie tylko wyobrazić: „walter" z podwójnym magazynkiem, w którym mieści się 14 naboi o wielkiej sile rażenia. Proszę go obejrzeć, panowie oficerowie.

— Niech pan nie będzie taki ważny, oberleutnancie! — powiedział major inżynierii, nie podzielając ciekawości pozostałych oficerów. — Jeszcze przed panem miałem takiego „waltera". To już stary typ. Wkrótce będą to mieli wszyscy. Ale mój rewolwer zaginął w dość tragicznych okolicznościach. Niech was Bóg broni przed czymś takim...

— Pan tak zajmująco opowiada. Zawsze słucham pana z największym zadowoleniem i sympatią, panie majorze! — z żarem zachęcała Lidia do kontynuowania opowieści.

— Majorze, proszę opowiedzieć! — krzyczeli również inni.

Major podparł się prawą ręką, westchnął, pokręcił głową i kontynuował:

— W tym nieszczęśliwym dniu, jak panowie sobie przypominają, straciło życie dwóch wybitnych synów Trzeciej Rzeszy — podpuł-

kownik von Reis i graf Gaan, który w trybie nadzwyczajnym awansowany był na generała, zdaje się, w dzień swojej śmierci. Wracaliśmy w trójkę opancerzonym pojazdem z Winnicy, oczywiście z obstawą. Ale bandyci znienacka napadli na nasz samochód. Miałem wtedy w kieszeni takiego samego „waltera", jakiego teraz pokazuje oberleutnant Siebert. Strzelałem z niego i chyba kogoś zabiłem lub zraniłem, ale sam również zostałem trafiony w prawą rękę. Popatrzcie — major podciągnął rękawy bluzy i koszuli, pokazując na ramieniu bliznę po zarosłej ranie. — Było zimno. Śnieg do kolan. Jednak Bóg pomógł mi się wygramolić z wozu i ukryć w lesie przy drodze, zanim nadbiegli partyzanci. Nigdy nie zapomnę numeru tego pistoletu — 46710.

„Spaprałem robotę — pomyślał Kuzniecow — ale stało się". Spojrzał na pistolet, który ciągle trzymał na dłoni. Zobaczył wyraźnie wygrawerowane cyfry — 46710. „Co będzie, jeśli ktoś z obecnych zechce go obejrzeć?" Kuzniecow przypomniał sobie o pistolecie maszynowym, który miał w sypialni i w pierwszej chwili pomyślał, że powinien tam pobiec. Pistolet również był nabity. Czternaście pocisków wystarczy, by zrobić sito z wszystkich obecnych, zanim się pozbierają i zrozumieją, o co chodzi. Ale to byłby koniec jego misji wywiadowczej w Równem.

W tej sytuacji Kuzniecow miał jedyne możliwe wyjście, by naprawić błąd. Powoli podniósł pistolet bliżej oczu, udał, że dopiero w tej chwili pierwszy raz go dokładnie ogląda i zapytał:

— Jaki był numer pańskiego „waltera"?

— 46710 — odparł major.

— W takim razie poddaję się — z dobrodusznym uśmiechem, jakby uznając wyższość majora powiedział Siebert. — Numer mojego jest wyższy. Więc pan rzeczywiście miał tę śliczną rzecz przede mną... — dodał i spokojnie włożył broń do kabury.

Lisowska zauważyła, jak Siebert zmienił się na twarzy i zaniepokoił się, gdy major opowiadał o „walterze". Sama również odczuwała dziwne napięcie i zależało jej, aby oberleutnant zgasił zarozumiałego majora. Ten niezwykły Siebert (wtedy 32-letni), syn pruskiego szlachcica, człowiek bogaty, wesoły, towarzyski i dobrze wykształcony wywoływał w hrabinie sprzeczne uczucia.

Swym wyglądem, eleganckimi manierami, zachowaniem i kulturą przyciągał uwagę Lisowskiej, ale ona szczególnie nienawidziła

właśnie faszystowskiej elity intelektualnej, usiłującej pod filozoficznym płaszczykiem ukryć najobrzydliwsze zbrodnie.

— Oberleutnant Siebert ma głos słowika, a szpony jastrzębia! — mówiła w zaufaniu do Hnediuka. — Nigdy nie mogę pozbyć się myśli, że ten elegancki nazista swoje wysokie odznaczenia otrzymał właśnie za to, że niemiłosiernie zabijał Polaków i Rosjan... O, wypije on kielich trucizny, jak nic!

— Zrobiłaby pani fatalny błąd — powiedział Hnediuk. — Niemcy odkryliby, kim pani jest i z kim współpracuje, nastałby większy terror w mieście, znacznie zawężyłyby się możliwości pracy konspiracyjnej. W żadnym razie nie może pani tego zrobić, dowództwo oddziału nie zgadza się na to.

— Proszę mi wierzyć, Janku, jakoś łatwiej mi jest na duszy, gdy mam do czynienia z głupimi, zdeklarowanymi nazistami, ale nie znoszę wykształconych i eleganckich w obejściu kanalii! Otruję go!

Lidia podsycała w sobie nienawiść do Sieberta. Była osobą niełatwo rezygnującą ze swych planów. Kuzniecow martwił się. Z Moskwy przyszła wiadomość, by przy sprzyjającej okazji ujawnił się, używając dawnego hasła służącego kiedyś do nawiązywania z nią kontaktu: „Pozdrowienia od Popowa".

Na wszelki wypadek Kuzniecow wyjechał z Równego. Wrócił, gdy urzędniczka Reichskomisariatu, Wala Dowger, poinformowała, że do ukraińskiej stolicy ma przybyć minister Rzeszy i teoretyk ruchu faszystowskiego, Alfred Rosenberg.

Zabicie Rosenberga w przeddzień bitwy pod Kurskiem miałoby duży oddźwięk w świecie. Zdeprymowałoby wojska Wehrmachtu, a dodałoby odwagi żołnierzom Armii Czerwonej. Ponadto, z pewnością zaniepokoiłoby niemieckie władze. Dlatego „Centrum" powierzyło Kuzniecowowi przygotowanie zamachu na jedną z czołowych osobistości w nazistowskiej hierarchii.

Na bezpośrednich wykonawców akcji wyznaczono Michaiła Szewczuka i Piotra Jerszowa. Pomocnikiem Kuzniecowa miał był student wychowania fizycznego, Walentin Siemionow, doskonale przygotowany do zadań dywersyjnych. W Równem zjawił się jako Władimir Kriestnow.

Jednak do oczekiwanego przejazdu Rosenberga przez Równe nie doszło, chociaż program przewidywał to. Zasiedział się na naradzie

z oficerami politycznymi armii, dywizji i pułków, usiłując podnieść ich zachwiane morale, obiecując przyszłe zwycięstwa.

Pełen werwy Siemionow ulokował się w mieszkaniu Lisowskiej, a ona przedstawiła go oberleutnantowi Siebertowi jako swego krewnego, nie podejrzewając, że, zgodnie z rozkazem, przybył do miasta w niemieckim mundurze razem z Kuzniecowem.

Kiedy Siemionow wyszedł, by na miejscu zbadać pewne szczegóły planowanej akcji, Paul Siebert wszedł do pokoju Lidii i powiedział:

— Lidio, zupełnie zapomniałem, że proszono mnie o przekazanie pozdrowień dla pani. Proszę mi wybaczyć, dawno powinienem to zrobić.

Lisowska wzruszyła ramionami.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to interesuje. Na większość pańskich przyjaciół nie mogę patrzeć.

— Ja przynoszę pani pozdrowienia od człowieka, do którego na pewno nie czuje pani nienawiści, Lidio! — Kuzniecow skrzyżował ręce, uśmiechnął się i patrząc prosto w oczy Lisowskiej, wyraźnie powiedział: — Pozdrowienia od Popowa.

Hrabina osłupiała. Ostatnie słowa Siebert wypowiedział czysto po rosyjsku, chociaż cała rozmowa toczyła się po niemiecku.

* * *

Lidia w zamyśleniu oparła głowę na rękach. Była zmęczona, zakłopotana, przybita wielkim smutkiem. Od wielu godzin męczyło ją pytanie, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Być może rozwiązanie tego dylematu gruntownie zmieniłoby jej los. Czy gestapo i Abwehra wpadli na jej trop? Czy szarooki oberleutnant celowo został podstawiony, żeby umocnić lub rozwiać podejrzenia w stosunku do niej? Czy jest on Niemcem, czy jakimś Graczowem?

Późnym wieczorem Lidia weszła do pokoju Walentina Siemionowa. Usiadła na kanapie i cicho zapytała:

— Wołodia, czy wiesz, kim jest Graczow?

— Oczywiście — odpowiedział Siemionow, zdziwiony niepokojem i przygnębieniem swojej gospodyni. — Graczow jest nasz! Rosjanin!

Lisowska patrzyła na niego szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

— Nasz? Graczow jest nasz? — do oczu nabiegły jej łzy.

Lisowska wstała, smutno westchnęła i niepewnym krokiem opuściła pokój.

— A więc on jest nasz! Czułam jakąś sympatię do niego, ale przestraszyłam się... Nie ma nic gorszego niż czysty strach... Chciałam go zabić, bo bałam się samej siebie. Bałam się, że nie opanuję swoich uczuć do nazisty. A on jest nasz! Jest nasz — nieważne, czy to Rosjanin, czy Niemiec.

Dziewczyna znad pięknego, modrego Dunaju

— Niech pan zrozumie, doktorze, noszenie niemieckiego munduru nie jest ani trochę interesujące. Nie sprawia mi to żadnej satysfakcji. Cały czas żyję jak nieprzyjaciel wśród nieprzyjaciół. Nawet kiedy spotykam się z miejscowymi, radzieckimi ludźmi, jestem dla nich tylko *herr* oficer, *herr* Siebert — nieprzyjaciel. I nie mam prawa zdradzić im, kim jestem. Nikomu nie mogę się zwierzyć — ani swoim, ani obcym! We wszystko muszę wątpić, wszystko muszę sprawdzać. Nerwy by mi nie wytrzymały, gdybym nie miał od czasu do czasu paru dni odpoczynku w oddziale, między swoimi, kiedy zrzucam z siebie tę nieufność i żyję z otwartą duszą — żalił się Kuzniecow doktorowi Albertowi Cesarskiemu.

Nigdy nie zapominał, iż hitlerowcy podejrzewają, a czasami zdobywają dowody, że w mieście działają radzieccy agenci, których ciągle i systematycznie poszukiwali. W gestapo i Abwehrze pracowali przecież doświadczeni profesjonaliści.

Reżim policyjny w Równem był ostry. Radziecki wywiad miał tu ciężkie warunki pracy, pomimo dużej pomocy ludności. Dlatego szczególną uwagę zwracano na dokumenty agentów.

Gestapowcy, Abwehra, żandarmi i patrole wojskowe sprawdzały papiery wywiadowców Kuzniecowa ponad 400 razy.

Wiele razy sprawdzano również dokumenty Paula Wilhelma Sieberta, włącznie z kontrolą, jaką przeprowadziła osobista ochrona reichskomisarza Kocha. „Centrum" szczególnie pedantycznie i uważnie troszczyło się o dane w jego książeczce wojskowej. Było w niej wiele różnych zapisów o odznaczeniach, postanowieniach, przeniesieniach służbowych, o awansie — najpierw do stopnia oberleutnanta, a później hauptmanna.

Dwa dni przed rozpoczęciem bitwy pod Kurskiem, 3 lipca 1943 roku, Kuzniecow był legitymowany trzy razy. Dwa razy spraw-

dzały mu papiery patrole oficerskie. Trzeci raz zatrzymał go pułkownik piechoty. Uważnie obejrzawszy jego dokumenty, zapytał nieoczekiwanie:

— Gdzie pan się stołuje, oberleutnancie?

Siebert wymienił kilka miejsc.

— Dziwne, znam z widzenia wszystkich oficerów w garnizonie, a pana widzę pierwszy raz.

Siebert uprzejmie wyjaśnił, że ze względu na służbę nie przebywa w mieście na stałe, przyjeżdża tylko od czasu do czasu, w zależności od zadań służbowych.

Kuzniecow zaniepokoił się, chociaż dokumenty miał bez zarzutu. Trzykrotne sprawdzanie w ciągu jednego tylko dnia mogło być przypadkowe, ale też mógł być ku temu inny powód. Na wszelki wypadek w oddziale postanowiono, że Kuzniecow przez kilka dni nie może pojawić się w mieście.

Tego samego wieczoru Kuzniecow spotkał się z Walą Dowger, która powiedziała mu, że rano przybył potajemnie do Równego Alfred Rosenberg i z tego powodu na głównych ulicach legitymowano wszystkich bez wyjątku. Oprócz tego, powiedziała Wala, w Reichskomisariacie panuje podniecenie, nieustannie pracują połączenia telefoniczne z frontem i Berlinem. Urzędnicy na odpowiedzialnych stanowiskach nie wychodzą z kancelarii. Przez pałac Kocha w ostatnich dniach przedefilowało wyjątkowo wielu generałów i wyższych oficerów.

— Niemcy czekają na coś wielkiego. Zanosi się na znaczące wydarzenie — podsumowała Wala.

Oczywiście tego samego dnia te ważne dane zostały przekazane drogą radiową do Moskwy, gdzie robiono odpowiednie analizy, wyciągano niezbędne wnioski i podejmowano określone decyzje.

Kuzniecow, oprócz dokumentów, miał jeszcze specjalną przepustkę Abwehry i oryginalny znaczek gestapo nr 4885 przysłany dla niego z Moskwy. Dawały one bardzo duże uprawnienia, ale wykorzystał je tylko kilka razy w wyjątkowych przypadkach.

Mimo stosowanych środków zapobiegawczych musiał być zawsze czujny, ponieważ nie był w Równem zameldowany. Nie pozwalała na to sytuacja Sieberta, który nie istniał w żadnym spisie osobowym Wehrmachtu. Nawet najbardziej powierzchowna kontrola wykazałaby, że nie jest oficerem armii niemieckiej.

Prowadził koczowniczy tryb życia, ciągle był w ruchu, zmieniał mieszkania i miejsca pobytu. Stał się o wiele bardziej aktywny, gdy wpadł na pomysł, by w przeprowadzanych akcjach korzystać z samochodów „pożyczonych" lub ukradzionych z garażów Reichskomisariatu, komendy miasta i innych niemieckich instytucji. W niektórych przypadkach pojazdy potrzebne na krótko wykorzystywano bez zmiany rejestracji. W Równem i w okolicznych miastach w różnym czasie ukradziono wiele samochodów, którym później przyczepiano fałszywe tablice rejestracyjne.

Kierowcą i współpracownikiem Kuzniecowa był Nikołaj Strutyński. Kuzniecow miał w samochodzie zawsze dość pieniędzy i miłych drobiazgów, które szarmanckiemu oberleutnantowi pomagały w delikatnych sytuacjach. Dzięki nim zawierał pożądane znajomości i zyskiwał sympatię kobiet: jedwabne pończochy, piękne pudderniczki i tabakierki, zapalniczki, perfumy, czekolady, wieczne pióra, broszki.

Pewnego popołudnia Paul Siebert „przypadkowo" poznał na poczcie młodą, ładną Niemkę, Lottę Heine, i pożyczył jej wieczne pióro do zaadresowania paczki. Niby mimochodem popatrzył na przesyłkę i z radością wykrzyknął:

— Do Tuttlingen? Nad pięknym, modrym Dunajem! Jesteśmy, jak się zdaje, rodakami? — powiedział Kuzniecow radośnie. — Jak pani, z tego raju na ziemi, dotarła na tę rosyjską pustynię, fräulein?

— Czy pan oberleutnant jest także z Tuttlingen? — zapytała słodkim głosem dziewczyna.

— Oboje jesteśmy znad pięknego, modrego Dunaju, pochodzę z Ulm. Proszę mi wierzyć, tęsknota za moją ojczyzną po prostu mnie zżera. Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, lecz kto by przepuścił okazję? Jestem szczęśliwy, że w tym parnym dniu, na tej ponurej równinie odkryłem naszą alpejską szarotkę... Nie powiem, że ją zerwałem! — Kuzniecow podniósł palec wskazujący i śmiejąc się powoli poruszał nim w lewo i w prawo. — Uchowaj Boże! Ale, nie znaczy to, że...

Młoda Niemka interesowała Kuzniecowa z wielu względów. Była bowiem urzędniczką w sztabie dowódcy rezerwy najsilniejszej niemieckiej armii „Południe", generała lotnictwa, Kitzingera. Po drugie, Lotta mogłaby ewentualnie zapewnić mu bezpieczne mieszka-

nie na okresowe wizyty w Równem. Po trzecie, „rodaczka" Sieberta na pewno poznałaby go ze swymi znajomymi oficerami.

— Fräulein Lotta, uczyni mi pani wielki zaszczyt, przyjmując na pamiątkę naszego poznania skromny prezent — wieczne pióro, które pani trzyma w ręce, bo bez niego nie miałbym szczęścia poznać pani — powiedział patetycznym tonem Kuzniecow.

Fräulein, oczywiście, bardzo chętnie przyjęła upominek.

Spacerując, rozmawiali o wszystkim po trochu, szczególnie zaś o Alpach, które Kuzniecow świetnie znał z książek, fotografii i filmów, ale nigdy ich nie widział. Trochę zalecał się do swojej „rodaczki", ona także odrobinę flirtowała z nim. Przy rozstaniu umówili się na spotkanie następnego dnia o ósmej wieczorem na skwerze przy Deutschestrasse.

Kuzniecow z miejsca stwierdził, że ta elokwentna i wytworna blondynka nie da się tak łatwo zwieść. W sztabie nie wykonywała, jak sądził, zwyczajnych prac administracyjnych. A jeżeli tak, to na spotkanie nie przyjdzie sama. Wykorzysta okazję, by, z wielu względów, sprawdzić „rodaka znad modrego Dunaju". Ale nie musiało tak być. Przychylając się do drugiego wariantu, Kuzniecow przyszedł na spotkanie dziesięć minut wcześniej i zobaczył Lottę czekającą na chodniku przed skwerem. Nieco dalej od niej spacerowało trzech esesmanów, dwóch cywili stało na rogu przy wielkim czarnym samochodzie, podczas gdy trzeci siedział na ławce i czytał gazetę.

W tej sytuacji Kuzniecow nie miał odwrotu. Pomyślał, żeby zawrócić, ale to dopiero mogło wywołać podejrzenia. Esesmani stojący na chodniku już go taksowali wzrokiem, a być może ktoś także szedł za nim. Kuzniecow z zimną krwią przeszedł obok Lotty, która nie poznała go. Pogoda była deszczowa, więc owinął się ciemną oficerską peleryną zasłaniającą dystynkcje, odznaczenia i inne znaki szczególne. Oddał honory sturmbannführerowi i szybko umknął w pobliską, słabo oświetloną ulicę.

Cała sprawa była potem szczegółowo analizowana w sztabie oddziału i w „Centrum". Rozpatrywano najróżniejsze możliwości. Przeważył pogląd, że Lotta z rutynowej przezorności zabrała obstawę lub też wszystko było dziełem przypadku, ponieważ w następnych dniach oberleutnant Siebert nie zauważył, żeby ktoś go śledził.

Zdarzenie z Lottą Heine zostało nie wyjaśnione, a późniejsze wypadki pokazały, że w owym czasie faszystowska służba bezpieczeństwa nie miała Kuzniecowa w swoim rejestrze, mimo jego dużej aktywności.

Wkrótce potem inne zdarzenie uaktualniło problem Lotty Heine. Szewczuk, poprzez własne kontakty, dowiedział się, że gestapo wprowadziło do oddziału swojego agenta Pitanina, który Łukinowi i Miedwiediewowi przedstawił się jako były jeniec wojenny, uciekinier z niemieckiej niewoli. Zauważywszy, że wzbudził pewne podejrzenia, wieloletni faszystowski agent zdołał uciec, lecz w pobliżu Równego czekali na niego wywiadowcy z grupy Kuzniecowa — Nikołaj Kulikow, Wasilij Galuzo, Dmitrij Lisejkin i Dmitrij Balaniuk — i zabili go.

W zaszyfrowanych notatkach znalezionych w jego wojskowej torbie znajdował się szczegółowy rysopis Nikołaja Kuzniecowa. Współpracownik gestapo miał tylko jeden dylemat: czy szarooki oberleutnant zachodzący do restauracji „Deutschehof" i do kasyna oficerskiego jest radzieckim, czy niemieckim agentem? W każdym razie misja Paula Sieberta skończyłaby się tragicznie, gdyby Pitaninowi udało się powiadomić faszystowskich szefów o tym, co widział i słyszał.

Zniszczenie mostu

Zdołbunow był ważnym węzłem kolejowym. Krzyżowały się tu linie z zachodu do Kijowa, Kurska, na południe Rosji, w kierunku Morza Czarnego i w inne strony. Łączył Niemcy z frontem wschodnim. Po magistralach Lwów—Kijów, Kowel—Łuck—Kijów, Mińsk—Sarny—Kijów przez Zdołbunow w obu kierunkach — z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód — kursowały niemieckie pociągi.

W Zdołbunowie, oddalonym od Równego o 13 km, Kuzniecow i Miedwiediew zorganizowali grupę wywiadowczą i dywersyjną. Jednym z jej przywódców był przedwojenny funkcjonariusz milicji kolejowej, trzydziestoletni Dmitrij Krasnogolowec. Pozostawiono go w Zdołbunowie celowo, ponieważ „rozczarował go bolszewizm". Postanowił więc zająć się „krawiectwem". Do grupy należeli: Nikołaj Mieliniczenko, Aleksander Digorian, Konstantin Sochorow, Aleksander Popkow, Wiktor Azarow, Dmitrij Skorodyński, Siergiej Jaremczuk, Piotr Bojko, bracia Michaił i Siergiej Szmeregowie oraz żona Michaiła, Anastazja. Dom tego małżeństwa był bazą konspiracyjną agentów przybywających z oddziału.

Kuzniecow często pomieszkiwał w Zdołbunowie, jeśli wymagały tego względy bezpieczeństwa lub interesy przyszłych operacji. W wirze przygotowań do bitwy pod Kurskiem bezpośrednio dowodził wieloma akcjami dywersyjnymi i sabotażowymi przeciwko niemieckim pociągom zdążającym na Wschód.

Dywersje na kolei zwykle składały się z kilku etapów. Najpierw w Zdołbunowie i innych miejscach ustalano zawartość i kierunek jazdy pociągów, potem informowano oddział i „Centrum" w Moskwie. Później następowały akcje niszczenia — minowanie szyn i mostów, uszkadzanie lokomotyw, napady z powietrza. Pedanteria Niemców obróciła się przeciwko nim samym. Wywiadowcy przepisywali po prostu kartki umocowane na każdym wagonie towaro-

wym. Zawierały one informację, co znajduje się wewnątrz, nazwę stacji wyjściowej i końcowej. Treść dokumentów przewozowych tłumaczono z niemieckiego w oddziale.

Krasnogolowec, za zgodą Kuzniecowa, zaangażował do współpracy byłego nauczyciela, Awrama Iwanowa. W pierwszych dniach wojny, jako żołnierz, dostał się do niewoli. Okazał się „posłuszny" i dlatego w Zdołbunowie pracował przy czyszczeniu szyn. „Centrum" powiadomiło Kuzniecowa, że sekretarz kolaboranckich władz Zdołbunowa, Paweł Niwerczuk, był w rzeczywistości agentem, z którym należało nawiązać kontakt.

Później Niwerczuk, poprzez Iwanowa, zaopatrywał oddział w różne dokumenty i przekazywał ważne informacje otrzymywane od szwagra, Władimira Sekacza, sekretarza zdołbunowskiego Gebietskomisariatu.

Nie wiadomo dokładnie, jak Kuzniecow, poprzez swoich ludzi, Iwanowa i Niwerczuka, nawiązał kontakt z młodym sierżantem Józefem, Niemcem po ojcu, Czechem po matce. Pracował on w zdołbunowskim węźle kolejowym właśnie przy przygotowywaniu raportów o przejeździe pociągów wojskowych przez miasto. Z racji wyjątkowo ważnej pracy, jaką wykonywał, przed jego kancelarią stała zawsze podwójna straż.

Dowódca każdego pociągu musiał złożyć Józefowi pisemny raport o przewożonych ludziach i ładunku, podczas gdy podstawowe dane o składach, które nie zatrzymywały się w Zdołbunowie, przekazywane były w biegu, na peronie, oficerowi dyżurnemu stacji. Pod koniec dnia Józef przygotowywał obszerny raport. Jeden jego egzemplarz wysyłano dowódcy kolei Wehrmachtu, a drugi przechowywano w specjalnym sejfie komendanta stacji.

Na polecenie Iwanowa Józef sporządzał jeszcze jedną kopię, którą przekazywał radzieckim wywiadowcom. Dane te były do tego stopnia cenne i liczne, że z Moskwy samolotem wysłano do oddziału jeszcze pięciu radiotelegrafistów, którzy prawie całą dobę donosili „Centrum", jaka broń i jakie jednostki jadą w rejon Kurska, Orła, Biełgoroda, Charkowa i inne rejony, gdzie przygotowywana była wielka bitwa.

System „Józef—Iwanow" funkcjonował bez zarzutu i ani razu nie zawiódł. Radzieckie dowództwo i oddziały partyzanckie tego rejonu zawsze wiedziały, na jaki skład czekają, gdzie on jedzie

i kiedy należy na niego napaść. Szczególnie dogodne do wysadzania w powietrze były wagony-cysterny z ropą naftową i benzyną jadące z Rumunii. Ze względu na znikome zużycie materiałów wybuchowych i krótki czas akcji ich niszczenie było najbardziej opłacalne, a brak paliwa doprowadzał do rozpaczy faszystowskie dowództwo na Wschodzie.

Wprawdzie liczne wojskowe oddziały ochronne, ciągłe dyżurowanie pancernych, dobrze uzbrojonych pociągów i zaangażowanie silnej ochrony sprawiły, że większość niemieckich pociągów dotarła na front, ale sierżant Józef swoimi szczegółowymi raportami spowodował, że duża ich część została zniszczona.

* * *

Niemcy systematycznie i do najdrobniejszych szczegółów organizowali obronę punktów o istotnym znaczeniu, takich jak mosty czy różne umocnienia głównych dróg komunikacyjnych. Most z dwoma torami na Horyniu, między Szepietowką i Zdołbunowem, był pod bezpośrednią kontrolą dowódcy Sztabu Generalnego Sił Lądowych Wehrmachtu, generała Kurta Zeitzlera. System i obiekty jego zabezpieczenia były arcydziełami techniki inżynieryjnej. Pieczę nad nim sprawował batalion składający się z gestapowców, członków Abwehry, żołnierzy piechoty, jednego oddziału artylerii przeciwlotniczej i jednego artylerii przeciwczołgowej, jak również plutonów zwiadowców, inżynierów i strzelców wyborowych.

Z obu stron mostu groźnie sterczały lufy dział przeciwlotniczych. Wywiadowcy wykryli także kilka sprytnie zamaskowanych baterii moździerzy i dwadzieścia gniazd karabinów maszynowych. Od zmierzchu aż do świtu nad mostem i jego okolicą co kilka minut leciały w niebo rakiety świetlne rozpryskujące się przy spadaniu i oświetlające ziemię.

Umocnienia obronne miały dwie specjalne radiostacje i połączenie telefoniczne z dowództwem w Równem, Zdołbunowie, Szepietowce, Kętrzynie i Berlinie. Obrona nie pozwalała podejść do mostu z jakiejkolwiek strony, włącznie z drogą wodną. Zburzenie lub choćby czasowe wyłączenie go z użytku (prowadził przezeń główny szlak zaopatrzenia wojsk Wehrmachtu na froncie wschodnim), znacząco zaważyłoby na losie niemieckich jednostek.

W połowie lipca 1943 roku z Moskwy nadeszło kategoryczne żądanie: „Za wszelką cenę natychmiast zniszczyć lub uszkodzić most!". Wkrótce przybyli samolotem specjaliści od minowania i dywersji. Wraz z wywiadowcami łamali sobie głowy nad rozwiązaniem problemu, jak skutecznie wykonać rozkaz Naczelnego Dowództwa? Kuzniecow zaproponował, by most zburzyć lub uszkodzić rzuceniem miny z pociągu.

Inżynierowie wyliczyli, że mina musiałaby ważyć 40—50 kilogramów. Wykonanie jej nie było wielkim problemem.

Nikołaj Hnediuk wpadł na pomysł przeprowadzenia akcji przy pomocy zdołbunowskich wywiadowców mających dobre układy w kolaboranckich organach władzy. W skład grupy konspiracyjnej wchodziło kilku Polaków.

Jeden z nich, Żukotyński, zaproponował Kuzniecowowi i Hnediukowi, żeby wykorzystać okoliczność, iż w jego krewnej, Wandzie, był zakochany Gienek Jaśniewski, współpracownik specjalnego wydziału gestapo do kontroli zabezpieczenia obiektów kolejowych.

Hnediuk przedstawił się Jaśniewskiemu jako pan Bagiński, handlowiec i stryjeczny brat Wandy. W zręcznie prowadzonej rozmowie przy wódce pochlebiał i „zachwycał się" czynami gestapowca, który w pewnej chwili zwierzył się Bagińskiemu:

— Po pierwsze, powiem panu, że nie bardzo przepadam za frycami. Jestem tak samo dobrym katolikiem i Polakiem jak pan. Ale z czegoś trzeba żyć. Gestapo uczciwie płaci. Ale oni nie dają pieniędzy za darmo, trzeba na nie zapracować. Miałem taką służbę, że w czasie jednego partyzanckiego napadu ledwie uratowałem łepetynę. Chwała Bogu, teraz jestem bezpieczniejszy — od czasu jak zostałem ranny, służę na stacji kolejowej.

— Pozwoli pan, że go odprowadzę? — powiedział przy rozstaniu Hnediuk i wziął pod rękę ociężałego i podpitego szpicla.

Przy bramie Jaśniewski szepnął na ucho Hnediukowi coś, czego z pewnością nie powiedziałby na trzeźwo:

— Muszę panu powiedzieć, że niezbyt mądrzy są ci partyzanci. Ja na ich miejscu zadałbym frycom bobu...

Wykorzystując miłość Gienka do Wandy i jego żądzę pieniędzy, Kuzniecow, Miedwiediew i Hnediuk postanowili wyciągnąć z niego jak najwięcej korzyści. Powodowany miłością, zgodził się dostarczać różne informacje, oczywiście nie za darmo. Przystąpienie do

współpracy Jaśniewski potraktował jako swego rodzaju odkupienie własnych win wobec Polski, ponieważ sądził, że Hnediuk pracuje dla rządu emigracyjnego w Londynie.

Nowym niewidocznym kanałem popłynął strumień informacji. Zawierały one daty łapanek, dane o rozmieszczeniu tajnych straży, imiona i adresy agentów i donosicieli, hasła do poruszania się nocą. A potem, kiedy Jaśniewski nie miał już odwrotu, zażądano od niego pomocy przy wysadzeniu w powietrze mostu na Horyniu.

Przestraszony i szantażowany zgodził się włączyć do akcji pod warunkiem, że w raporcie do Londynu wymienione będzie jego nazwisko jako „głównego organizatora" tej dywersji. Oczywiście w tak wielką sprawę „trzeba było włożyć duże pieniądze, bo nikt za darmo nie zechce ryzykować głową i pracą". Ale on, Jaśniewski, zrobił to „z czystych pobudek patriotycznych".

— Wiem, kto mógłby to wykonać. Mój przyjaciel, volksdeutsch, Michaił Chodakowski. Ciągnie jak smok, a nigdy nie ma złamanego grosza. Za pieniądze sprzedałby nawet rodzoną matkę, nie zawaha się przed niczym.

Jaśniewski umówił się z Chodakowskim, który pracował jako kierownik pociągu, że rzuci on minę ze swego wagonu przy przejeździe składu przez most na Horyniu. Miał dostać za to 5000 marek niemieckich, z czego 2500 z góry.

Później stwierdzono, że „wierny patriota Rzeczpospolitej", Jaśniewski, wziął od Hnediuka aż 10 000 marek i tylko 2500 dał swemu współpracownikowi, Chodakowskiemu. Jaśniewski i Wanda przekazali volksdeutschowi, razem z pieniędzmi, również walizkę z ciężką miną dostarczoną z Moskwy.

Na czas przeprowadzania tej operacji Kuzniecow ze swoją grupą wyjechał do pobliskiego „zielonego światła", bo istniało niebezpieczeństwo, że cała sprawa przepadnie, jeśli jej bezpośredni wykonawca się upije.

— Jego pijaństwo to nie problem — przekonywał ich pan Jaśniewski — Chodakowski lepiej myśli, gdy jest trochę pod gazem.

Volksdeutsch spełnił obietnicę 12 sierpnia 1943 roku, kiedy jego pociąg przejeżdżał przez most na Horyniu.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Mina po kilku sekundach eksplodowała. Końcowe wagony z hukiem zleciały do rzeki razem z żołnierzami, czołgami i działami. Trzech strażników mostu

eksplozja rozniosła na strzępy, a czwarty został ciężko ranny. Nie wiadomo, dlaczego o podłożenie miny oskarżył pluton kolaboranckich żołnierzy, którzy również pilnowali mostu, ale przestraszeni eksplozją rozbiegli się w różne strony. Niektórych z nich odnaleziono i rozstrzelano.

Pół godziny później w Zdołbunowie wybuchła panika. Po dworcu biegali ochrypli od wrzeszczenia gestapowcy i żandarmi. W stronę mostu podążały ekipy remontowe, przeraźliwie wyły syreny, pojawiły się też niemieckie samoloty zwiadowcze.

Wehrmacht potrzebował dwóch tygodni, by usunąć gruzy, zniszczone wagony i ponownie włączyć most do komunikacji. Dowódca wojsk do walki z partyzantami na Wschodzie, obergruppenführer SS, Bach-Zelewski, dostał rozkaz od generała Jodla, naczelnika sztabu operacyjnego dowództwa Wehrmachtu, odciągnięcia sił nieprzyjaciela od głównych magistrali kolejowych, wzmocnienia zabezpieczenia mostu oraz ulokowania przy każdym dworcu i stacji specjalnych oddziałów wojskowych. Trzeba było również szybko zbudować bunkry z załogą o liczebności drużyny lub plutonu, a wzdłuż torów, co 200—300 metrów, postawić posterunki liczące 2—3 żołnierzy. W sektorach między tymi umocnieniami patrolowały grupy żołnierzy uzbrojone w karabiny maszynowe. Niemcy, aby zamknąć partyzantom ukryte podejścia do torów kolejowych, wycięli lub spalili szerokie pasy lasów, wznieśli ogrodzenia z drutu kolczastego i zaminowali dostęp do nich.

Wprawdzie partyzantom utrudniło to znacznie działalność, ale mosty, umocnienia i tory w dalszym ciągu wylatywały w powietrze.

Gestapo, prowadząc śledztwo w sprawie zburzenia mostu, przypadkowo trafiło na trop prawdziwego sprawcy. Chodakowski w wyniku eksplozji doznał znacznych poparzeń ciała i urazu głowy. Znalazł się w szpitalu. Inny chory zaproponował mu sznapsa. Pijakowi nie trzeba było dużo. Zaczął się chwalić, jak to wysadził w powietrze most, a minę przyniósł mu „Gienek z ulicy Kościelnej". Zapewnił, że „oszusta Gienka wysadzi w powietrze", ponieważ on „uczciwie spełnił swój obowiązek", a Gienek gwizdnął mu 2500 „krwawo zarobionych" marek.

O tej pijackiej gadaninie od razu doniesiono gestapo. Tego samego wieczoru do mieszkania Jaśniewskiego wpadli gestapowcy. Tam jednak nie było nikogo. Gdy tylko spostrzegł zamieszanie i usły-

szał o zniszczeniu mostu, wyszedł z domu Wandy i uciekł. Przeklinając swoją miłość, londyński rząd, partyzantów i własną głupotę, najpierw ukrył się w piwnicy jakiegoś zburzonego domu, a potem znalazł schronienie w starej cmentarnej kaplicy. Tu, po sześciu dniach, półżywego ze strachu i głodu, znaleźli go radzieccy wywiadowcy i zabrali ze sobą.

Gestapo likwiduje gestapowców

Reichskomisarz Erich Koch przebywał przeważnie w Berlinie lub w Królewcu, gdzie miał własne fabryki i dobra ziemskie. Natomiast zastępca komisarza Rzeszy na Ukrainę, regierungspräsident Paul Dargel stale mieszkał w Równem i tylko od czasu do czasu wyjeżdżał do Berlina, Kijowa, Nikołajewa, Dniepropietrowska i innych miast, żeby na miejscu skontrolować pracę swoich podwładnych. Z jego i Kocha rozkazów w Równem w czasie wojny rozstrzelano 102 tys. radzieckich obywateli.

Z „Centrum" nadeszło żądanie, by Dargla ukarać. Do wykonania tej operacji wyznaczono Nikołaja Graczowa, Nikołaja Strutyńskiego i Iwana Kalinina. Przed wykonaniem tego zadania Kuzniecow zostawił list, a na kopercie napisał: „Otworzyć po mojej śmierci".

W liście krótko przedstawił swoją drogę życiową, przekonując potomnych, że poświęcił życie dla ojczyzny.

„Kocham życie, ale nie mogę nie myśleć o losie mojego narodu, o łzach naszych matek i braci cierpiących niemieckie jarzmo..." — pisał.

Urzędniczka Reichskomisariatu, Wala Dowger, otrzymała zadanie ustalenia dziennego rozkładu zajęć generała Dargla: kiedy przychodzi do pracy, kiedy wychodzi, kto mu towarzyszy, itp. „Narzeczona" Kuzniecowa wykonała zadanie pedantycznie.

Wywiadowcy dowiedzieli się, że generał każdego dnia o 14.30 idzie do swego pałacyku na ulicy Schlosstrasse, przy której mieszkali generałowie i wysocy faszystowscy funkcjonariusze, a towarzyszy mu adiutant, major z czerwoną teczką.

Kuzniecow dotychczas tylko raz widział Dargla. Wydawało mu się, że dobrze go zapamiętał. Zazwyczaj generał poruszał się po mieście długim, czarnym oplem, chodził tylko na obiad do swego pałacyku. Spacer Dargla miał swój rytuał. Najpierw na ulicy pojawiała się ochrona osobista — barczysty sierżant i gestapowiec w cywilu. Uważnie obserwowali Schlosstrasse, sprawdzając, czy nie

ma tam podejrzanych osób. Dopiero gdy stwierdzili, że wszystko jest w porządku, zjawiał się generał. Szedł wyniośle, miarowym krokiem, bez pośpiechu, nie zwracając uwagi na salutowanie podwładnych.

Dwa kroki za generałem kroczył adiutant, a przed nimi szło dwóch esesmanów w cywilu. Od Reichskomisariatu do pałacyku Dargla było około 300 metrów.

Iwan Kalinin, uczestniczący w zamachu, pracował jako osobisty szofer rówieńskiego gebietskomisarza, doktora Beera. Miał dostęp do garażu Gebietskomisariatu jako szofer i „własowiec". 20 września 1943 roku ukradł prywatny samochód gebietskomisarza — najnowszy typ opla. Operacja miała kryptonim „Posterunek".

O godzinie 14.27 Strutyński zatrzymał samochód w pobliskiej poprzecznej ulicy, by móc obserwować drzwi Reichskomisariatu. Czekanie na Dargla bezpośrednio na Schlosstrasse było zbyt ryzykowne. Kierowca miał na sobie niemiecki mundur.

Dargel, wraz ze swym adiutantem, wyszedł punktualnie o 14.30.

— Są — powiedział Kuzniecow. — Kola, dodaj gazu!

Opel szybko zbliżył się do obu Niemców. Kuzniecow wysiadł, uważnie rozejrzał się wokoło i z pistoletem w ręku szedł za Darglem i jego adiutantem. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Generał odwrócił się, a wtedy Kuzniecow z zimną krwią wystrzelił trzy kule do niego i adiutanta. Gdy obaj upadli, rozległ się jeszcze jeden strzał.

Kuzniecow niemal wleciał do samochodu. Strutyński natychmiast ruszył.

Wszystko trwało najwyżej półtorej minuty. Opel zniknął bez śladu.

Kilka dni później okazało się, że Kuzniecow pomylił się, ponieważ zamiast Dargla tego krytycznego dnia z Reichskomisariatu wyszedł radca Ministerstwa Finansów Rzeszy, doktor Hans Hell w towarzystwie majora Wintera. W nazistowskiej hierarchii Hell zajmował dużo ważniejsze stanowisko niż Dargel, a dzień wcześniej przyjechał z Berlina w sprawie nowej rekwizycji na Ukrainie. Dargel zaprosił go na obiad, oddając mu do ochrony swego adiutanta. W ten sposób doszło do pomyłki.

Kuzniecow przebywał już w oddziale, gdy wywiadowcy przynieśli kolaborancką gazetę „Wołyń" z 26 września 1943 roku. Na

pierwszej stronie wielkimi literami wydrukowano wiadomość o zabiciu doktora Hella i majora Wintera.

Kuzniecow szalał.

— Następnym razem sprawdzę dokumenty, zanim strzelę w serce — powiedział.

Jednak w oddziale i w „Centrum" w Moskwie z wielkim zadowoleniem przyjęto wiadomość o zamachu na Hella, któremu Hitler pośmiertnie nadał Krzyż Żelazny i publicznie zganił szefów gestapo, Himmlera i Müllera, za nieudolność w poskramianiu rosnącego „bandytyzmu w okupowanych miastach".

Gestapowcy w miejscu zamachu znaleźli nowy portfel zrobiony w znanym berlińskim zakładzie galanteryjnym. Strutyński lub Kuzniecow specjalnie „zgubili" portfel. Zdobyto go kilka dni wcześniej od pewnego emisariusza ukraińskich nacjonalistów, który właśnie wrócił z Berlina. W portfelu znajdował się paszport z pozwoleniem poruszania się po okupowanym terytorium, karta członkowska berlińskiej organizacji ukraińskich nacjonalistów i jej dyrektywy dla filii w Zachodniej Ukrainie. Zawartość portfela uzupełniono pieniędzmi. Włożono doń 140 marek niemieckich, trochę dolarów amerykańskich, 5 funtów szterlingów, kilka banknotów radzieckich, 3 złote carskie monety dziesięciotysięczne i garść złotych koron, które „banderowcy" zwykle rabowali ludziom.

Dyrektywę z Berliną zastąpiono nową, umiejętnie sfałszowaną. Miała teraz inną treść:

„Drogi przyjacielu! Jesteśmy bardzo zdziwieni, że do tej pory nie wypełniłeś naszego polecenia. Niemcy przegrali wojnę, to jest teraz zupełnie jasne. Musimy szybko zmienić orientację, ponieważ skompromitowaliśmy się współpracą z Hitlerem. Batko nie wątpi, że wykonasz zadanie w najbliższym czasie. Czyn ten będzie sygnałem do dalszych akcji przeciwko Szwabom".

Cios zadano bardzo umiejętnie. Gestapo i Abwehra dotychczas bardzo nieufnie odnosili się do nacjonalistów, którzy byli gotowi, podobnie jak i inni kolaboranci w okupowanej Europie, sprzedać się byle komu. W tym czasie nacjonaliści mieli już określone kontakty ze swym proangielskim skrzydłem w Londynie. Niemieckie pisma podały nawet wiadomość, że ich kontrwywiad wpadł na trop zabójców doktora Hella.

Gestapo błyskawicznie przystąpiło do akcji. Do końca dnia złapano 33 nacjonalistów, wśród których byli też współpracownicy gestapo i Abwehry. Wszystkich rozstrzelano na miejscu. Nie pomogło powoływanie się na zasługi w walce przeciwko komunistom i na wierność führerowi i Wielkim Niemcom. Nacjonalistyczną policję zastąpiono niemiecką.

W mowie pożegnalnej na pogrzebie Hella regierungspräsident Dargel gniewnie zaatakował „panów atamanów", oskarżając ich o niewdzięczność wobec Niemiec, które ich „karmią, ubierają i dają środki na walkę z bolszewizmem". Na pogrzebie byli obecni Bormann, Goebbels, Koch, Kaltenbrunner, Müller i inni wielcy dostojnicy faszystowscy.

Kuzniecow postanowił, że 8 października dokona zamachu na Dargla o tej samej porze i w tym samym miejscu. Miedwiediew, Łukin i Stiechow długo wahali się, czy zaakceptować jego decyzję. Począwszy od 20 września w Równem zaktywizowano wszystkie siły ochrony. W pobliżu Reichskomisariatu i wzdłuż całej Schlosstrasse dzień i noc dyżurowali esesmani na motocyklach i w odkrytych samochodach z zainstalowanymi karabinami maszynowymi. Miasto i jego okolice ciągle patrolowały oddziały policji. Sytuacja była dramatyczna. W pierwszych dniach października do miasta przyjechali Müller i Kaltenbrunner.

Kuzniecow jednak był nieubłagany:

— Zobowiązałem się zrobić porządek z Darglem i nikt mnie nie może od tego odwieść.

Tym razem Kuzniecowowi towarzyszył tylko Strutyński. Prowadził tego samego opla — przemalowano go na kolor zielony i zmieniono rejestrację. Wywiadowcy czekali na Dargla w tym samym miejscu. Strutyński zatrzymał samochód, podniósł maskę i pochylił się nad silnikiem.

— Pan Dargel? — zapytał Kuzniecow.

— Tak — odwrócił się regierungspräsident.

Kuzniecow błyskawicznie odbezpieczył i rzucił bombę, którą wykonał specjalista z oddziału, Hiszpan Rivas.

Dargel i jego adiutant upadli. Bomba zraniła Kuzniecowa w lewą rękę. Zdążył jednak wskoczyć do samochodu.

Tym razem jednak pojawiła się nieprzewidziana przeszkoda. W pobliżu dyżurował pojazd gestapo, pick-up, obok którego zama-

chowcy musieli przejechać. Na szczęście przestraszony, zbity z tropu szofer niemiecki dopiero po chwili zdołał uruchomić silnik. Opel już zniknął.

Zaczął się dramatyczny pościg. Na peryferiach miasta Kuzniecow znów zobaczył zbliżający się samochód gestapo.

— Skręć w lewo! — krzyknął do Strutyńskiego, widząc, że przed nimi pędzi taki sam zielony opel.

Strutyński postanowił zmylić ścigających. Skręcił w lewo, potem w prawo, znowu w lewo i wreszcie pojechał w stronę przeciwnego końca miasta, skąd wjazd do lasu był o wiele łatwiejszy.

Gestapowcy ścigali opla, lecz nie był to ten samochód, którym poruszali się zamachowcy. Tuż za miastem Niemcy zrobili obławę na dywersantów. Otworzyli ogień, zranili szofera i niemal podziurawili samochód, który zatoczył się i zwalił do przydrożnego rowu. Rozwścieczeni prześladowcy wyciągnęli z samochodu rannego i półprzytomnego ze strachu majora Luftwaffe, skatowali go i zabrali do gestapo.

Tam okazało się, że major jest siostrzeńcem reichskomisarza Kocha. Ten zaś rozkazał złapać i surowo ukarać całą dyżurującą ekipę pick-upa.

Kuzniecow dopiero na „zielonym świetle" zobaczył, że jest ranny w rękę. Ostry odłamek granatu zranił go w ramię przy samej tętnicy. Najmniejszy nieostrożny ruch mógł spowodować śmiertelny krwotok. Konieczna była szybka interwencja doktora Cesarskiego.

Przed zabiegiem doktor przygotował zastrzyk przeciwbólowy, lecz Kuzniecow był stanowczy:

— Doktorze, proszę ciąć bez zastrzyku.

— Dlaczego? To przecież będzie bardzo bolało. Muszę ciąć do samej kości! Nowokainy mam dość.

— Muszę sprawdzić siebie. Chcę wiedzieć, jaki ból i męczarnie mógłbym wytrzymać, gdybym wpadł w łapy gestapo. Na to również muszę być przygotowany.

Niestety, później okazało się, że i tym razem Dargel nie został zabity. Bomba wybuchła obok niego, uderzyła o krawędź chodnika i odskoczyła tak, że siła eksplozji poszła w bok, w kierunku muru wielkiego budynku.

Zginęli natomiast adiutant Dargla i jakiś podpułkownik, który w tym momencie przechodził przeciwną stroną ulicy. Dargel był

ciężko ranny i specjalnym samolotem odtransportowano go do Berlina. Tak skończyła się jego polityczna kariera.

Przed utratą przytomności Dargel zdążył powiedzieć:

— Oberleutnant! Oberleutnant z Krzyżem Żelaznym na pier...

O tym wszystkim powiadomiła oddział w obszernym liście Wala Dowger.

Rozgniewany reichsführer Heinrich Himmler rozkazał, by zmieniono dowódców gestapo i żandarmerii w Równem. Dotychczasowi zostali zdegradowani i wysłani na front. Na stanowisko szefa gestapo na Ukrainę powołano hauptsturmführera SS Hankego, który do Równego przybył prosto z Żytomierza, gdzie znajdowała się wysunięta komendantura Himmlera.

Hanke natychmiast rozkazał sporządzić spis mieszkańców Równego. Na drzwiach każdego domu przylepiono listy z imionami i nazwiskami wszystkich lokatorów. Ostatnie nazwisko było podkreślone grubą linią, poniżej widniała pieczęć i własnoręczny podpis hauptsturmführera. Żadnego nowego nazwiska nie można było włączyć do spisu.

Następnie całe miasto oblepiono plakatami z ostrzeżeniem, że wszyscy mieszkańcy domu będą rozstrzelani, jeśli po godzinie policyjnej ktoś, kogo nie ma w spisie lokatorów danego budynku, znajdzie się w cudzym mieszkaniu.

Celem Hankego było zneutralizowanie pracy radzieckiego wywiadu i zastraszenie mieszkańców stolicy poprzez wprowadzenie tak żelaznej dyscypliny, ale Kuzniecow wpadł na ciekawy pomysł, dzięki któremu system hauptsturmführera wywołał przeciwny do zamierzonego skutek.

Zgodnie z instrukcją Kuzniecowa, konspiratorzy pozdejmowali listy z domów, w których mieszkali ludzie współpracujący z okupantem. Te wszystkie wykazy dostarczono do oddziału, a potem do Moskwy. Dwa dni później „Centrum" przysłało samolotem dziesiątki tysięcy identycznych kartek, na których na maszynie wypisano słowa: „Tu mieszkają". Poniżej zostawiono puste miejsce, na dole przybito „pieczęć" gestapo i „stempel" hauptsturmführera SS. Podpis Hankego został umiejętnie podrobiony.

W nocy zarzucono miasto kartkami. Przylepiano je na budynkach, rozrzucano po ulicach, w wiązkach zostawiono na poczcie, na bazarowych straganach, a kilka egzemplarzy wysłano do gestapo

i Reichskomisariatu. Każdy właściciel mieszkania mógł teraz wpisać na listę kogo tylko chciał i nie mogło być już mowy o jakiejkolwiek kontroli.

Tak nastąpił kres kariery ambitnego Hankego, którego zwolniono ze stanowiska i, podobnie jak jego poprzedników, wysłano na front, gdzie ślad po nim zaginął.

— Cieszy zła wiadomość o złym człowieku — powiedział Kuzniecow do Strutyńskiego, czytając list Wali Dowger o nowym „pogromie" gestapowców w Równem.

Filozofia von Ortla

Pod koniec września 1943 roku w Równem pojawiła się grupa wysokich funkcjonariuszy SS. Po kilku dniach wyjechali do Belgradu. W ukraińskiej stolicy pozostał tylko młody sturmbannführer Paul von Ortel. Nie wiadomo, kto 30 września przyprowadził tego dystyngowanego arystokratę na wieczorek do salonu Lidii Lisowskiej, lecz z pewnością zrobił to jakiś gestapowiec. Tam poznał go Paul Siebert. Szybko zaprzyjaźnili się.

Często bywali razem, szczególnie w kasynie, gdzie panowała dość swobodna atmosfera. Prowadzili przeważnie obojętne rozmowy, w których długo nie wspominano o żadnych służbowych sprawach, nie było niedyskretnych pytań. Były to ogólne rozmowy o kobietach, życiu, sztuce...

Esesman sprawiał wrażenie człowieka bystrego, wykształconego i przenikliwego, miał duże poczucie humoru, używał obrazowych porównań i robił trafne uwagi.

Kuzniecow, jeszcze w trakcie kolacji, na której poznał von Ortla, uświadomił sobie, że gra z nowym „kolegą" nie będzie łatwa. I, co ciekawe, tylko oni dwaj tego wieczoru pozostali trzeźwi, chociaż okazało się, że von Ortel w pewnych sytuacjach lubił wypić.

Von Ortel, mimo swych 28 lat, był już majorem; taki awans zawdzięczał zapewne specjalnym zasługom. Kuzniecow wiedział, że doświadczony esesman będzie uważał na każdy jego gest, każde słowo. Już po paru minutach pierwszego spotkania i banalnej rozmowy Kuzniecow był świadomy, że ma do czynienia z wyjątkowo uzdolnionym człowiekiem. Nie miał wątpliwości: von Ortel jest agentem dużego kalibru. Co robi w Równem ten wytworny, opanowany esesman o manierach człowieka dobrze urodzonego, z licznymi odznaczeniami na piersiach? Czy jest dowódcą jakiejś nowej karnej ekspedycji? O, nie! To zbyt brudne i trywialne zadanie,

które zwykle zostawia się innym. Von Ortel był zapewne człowiekiem do specjalnych poruczeń.

— Nie mam pojęcia, gdzie pracuje pan von Ortel — powiedział Lisowskiej Leon Metko. — Wiem tylko, że jest bogaczem i raczej nikogo się nie boi.

I rzeczywiście, nikt ze wspólnych znajomych nie wiedział, gdzie służy von Ortel, komu podlega, jak dotarł do Równego i czym się zajmuje. Przed jego kancelarią na Deutschestrasse całą dobę stało dwóch strażników, chociaż na metalowej tablicy można był przeczytać, że mieści się tu gabinet stomatologiczny.

Rozległością zainteresowań, erudycją i bystrością umysłu von Ortel wyraźnie różnił się od wszystkich oficerów Wehrmachtu i SS, których Kuzniecow poznał w Równem. Wspaniale znał literaturę, muzykę, lubił cytować filozofów, doskonale pamiętał wyniki zawodów sportowych.

Kuzniecowowi początkowo wydawało się, że wszyscy niemieccy oficerowie i urzędnicy są tacy sami: zadowoleni z siebie, ograniczeni, bezlitośni, fanatycznie przekonani o swojej wyższości nad wszystkimi i wszystkim, ślepo podporządkowani woli führera i rozkazom swoich dowódców. Wiedział jednak, że wśród tych poruczników, kapitanów, majorów muszą na pewno być i tacy, którzy zdają sobie sprawę ze zbrodniczego charakteru wojny prowadzonej przez Hitlera. Wiedział również, że dla takich ludzi, on, oberleutnant Siebert, posiadacz dwóch Krzyży Żelaznych i dobrze sytuowany oficer z pieniędzmi podejrzanego pochodzenia jest niebezpiecznym człowiekiem, od którego trzeba trzymać się z daleka.

Oficerów starszej generacji ujmował szacunek, jakim darzył ich Siebert. Zawsze wykazywał żywe zainteresowanie ich opowieściami o bitwach w czasie I wojny światowej. Młodszym imponowała jego reputacja walecznego żołnierza. Niektórzy oficerowie z instytucji okupacyjnych sądzili, że Siebert jest rodakiem i starym znajomym reichskomisarza Kocha (Kuzniecow oczywiście nie wyprowadzał ich z błędu). I, wreszcie, wszystkim znajomym podobały się rycerstwo i szczodrość oberleutnanta, umiejętność zdobycia o każdej porze dnia i nocy dobrego koniaku i delikatesów, a także jego stała gotowość, by w imię przyjaźni pożyczyć komuś pieniądze.

W ciągu roku Paul Siebert stał się swoim człowiekiem w różnych kręgach oficerskich i urzędniczych, był dobrze zorientowany w na-

strojach, intencjach i intrygach każdego ze swych licznych przyjaciół.

Pierwszą zagadkową postacią stał się sturmbannführer von Ortel. Z Moskwy żądano, by możliwie jak najszybciej ustalić tożsamość von Ortla i charakter jego misji w Równem. Instrukcja zalecała także, żeby wobec esesmana zachować maksymalną ostrożność i nie wdawać się w nim w żadną grę z własnej inicjatywy, pozwolić, by „przyjaźń" rozwijała się naturalnie.

Pewnego razu w kasynie oficerskim sturmbannführer zaprosił do stołu człowieka pochodzącego z tych stron, sądząc po wyglądzie i ubraniu, i zaczął rozmawiać z nim po rosyjsku (dotąd ani razu nie wspomniał, że zna ten język, a z Lidią i Mają rozmawiał wyłącznie po niemiecku). Esesman władał rosyjskim prawie tak, jak niemieckim.

— Zna pan rosyjski? — zapytał zdumiony Kuzniecow. Było to pierwsze pytanie, jakie zadał mu w czasie ich dotychczasowej znajomości.

— Od dawna go studiuję, drogi Siebert. A czy rozumie pan coś? Jest dość dźwięczny i melodyjny...

— Prawie nic. Znam tylko parę zdań z podręcznika wojskowego.

Von Ortel kiwnął głową na znak zrozumienia.

— Bez fałszywej skromności mogę się pochwalić, że rosyjskim władam doskonale. Miałem wiele razy możliwość sprawdzić, że żaden Rosjanin nie może odróżnić mnie od swego rodaka. Oczywiście, nie w tym mundurze.

Ortel zachichotał, ale w jego śmiechu była pewna ukryta złośliwość.

— Paul, sprawia pan wrażenie człowieka umiejącego dochować cudzych tajemnic — niespodziewanie poważnym tonem powiedział von Ortel. — Dlatego mogę się panu zwierzyć, że przed wojną przez jakiś czas mieszkałem w Moskwie.

— I czym się pan tam zajmował? — obojętnie spytał Siebert.

— Czym się zajmowałem? Pomagałem bolszewikom budować komunizm — esesman uśmiechnął się zagadkowo.

— A więc jest pan... — Siebert zmieszał się nieco, ale udając naiwną bezpośredniość zadał pytanie wprost: — Jest pan wywiadowcą?

— Jest pan taktowny i dobrze wychowany, mój przyjacielu — powiedział von Ortel. — Jestem przekonany, że w myśli nazwał mnie pan zupełnie inaczej — szpieg albo szpicel. Czyż nie tak?

— Jest pan jasnowidzem. Świetnie odgaduje pan cudze myśli. Nic nie można przed panem ukryć. Tak właśnie o panu pomyślałem. Proszę wybaczyć, ale u nas, w wojsku, profesja ta nie jest zbyt ceniona. Ludzie, wie pan, trochę lękają się...

Esesman był zbyt inteligentny, żeby się obrażać. Prostoduszna szczerość Sieberta zdawała się go bawić.

— Szkoda, że propaganda w armii jest na niskim poziomie, bardzo naiwna i prostacka.

W taki sposób została zdjęta pierwsza zasłona z tajemnicy „gabinetu stomatologicznego" doktora von Ortla. Ale najważniejszego trzeba się było domyślić i sprawdzić, jaką tajną misję ma do spełnienia w Równem von Ortel.

W ciągu ostatnich tygodni Kuzniecow i von Ortel spotykali się prawie każdego dnia w mieszkaniu wspólnych znajomych. Najczęściej sam na sam. Esesman polubił nieco naiwnego frontowca, nabrał do niego zaufania, znalazł w nim wdzięcznego słuchacza, a potem zupełnie przestał się hamować.

Z dnia na dzień Kuzniecow coraz bardziej przekonywał się, że za budzącą szacunek powierzchownością krył się straszny i niebezpieczny człowiek.

— Cała ta wojna prowadzona jest dla interesów, państwowych i prywatnych. Powiem szczerze: mnie interesują wyłącznie prywatne, ale mogę je urzeczywistnić tylko dzięki państwowym — mówił sturmbannführer.

Kuzniecow był zaskoczony lekceważeniem i jadowitą ironią von Ortla, gdy ów wypowiadał się o przywódcach niemieckiego faszyzmu.

— W samouwielbieniu doktor Goebbels nie ma sobie równego. A im człowiek więcej mówi o swoich zaletach, tym mniej w nie wierzymy. Jego kłamstwa są szyte grubymi nićmi. Niech pan zwróci uwagę na ironię losu — von Ortel wytarł chusteczkę pot z czoła i z pogardą i odrazą mówił dalej. — Führer wybrał tego fizycznego degenerata, żeby swoją paplaniną przekonywał świat o wyższości niemieckiej rasy! Kiedy byłem mały, ukarano mnie, gdy o tym kalece bez inwencji powiedziałem, że jest sroką z orlimi pió-

rami, a teraz chcą mnie zmusić, żebym wierzył jakiemuś tam gadaniu Goebbelsa lub ogłupiającym mowom Rosenberga. Nie ma tak! Trzeba płacić uczciwie. Niech każdy znajdzie swój rachunek i wtedy wyliczymy, czy powinniśmy ryzykować życie...

— Niech pan przestanie, tu są nasi... — niby ze zmieszaniem i zdziwieniem, byle coś powiedzieć, wymamrotał Kuzniecow.

— Coś tak ochrypł, mój bracie? Myślisz, że cię próbuję? Boisz się. Mnie nie musisz się bać. Bój się węży we frakach, one kąsają podstępnie — von Ortel przeszedł na „ty". — Kiedy razem z nimi gdzieś wejdziesz, zawsze patrz, gdzie jest wyjście. Wielu tytanów Trzeciej Rzeszy to słabi i źli ludzie, zwykli nicponie. Lepiej, żeby słaby człowiek był twoim nieprzyjacielem niż kolegą. A my otoczeni jesteśmy słabeuszami.

— Ja jednak należę do ludzi wierzących w niemiecki geniusz, który wydał jednego wyjątkowo uczciwego reichsmarszałka Göringa lub, powiedzmy, odważnego i wielkodusznego gauleitera Kocha, Bormanna... — zaczął Kuzniecow pragnąc rzekomo złagodzić ostrość ukąszeń von Ortla.

Sturmbannführer zachichotał i protekcjonalnie poklepał Sieberta po ramieniu, jakby chciał powiedzieć: „Uczciwy jesteś i naiwny, ale wytresowany jak wierny pies".

— Ech, mój drogi Siebert! Ten twój „poczciwina" Göring jest największym handlarzem na świecie i bezwzględnym spekulantem, ma najwspanialszą prywatną kolekcję dzieł sztuki zrabowanych w całej Europie. A gauleiter Koch? Lękliwy jak zając. Ten się boi nawet żabiego skoku. Jest potężny wtedy, gdy czuje się całkowicie bezpieczny, ale jak tylko atmosfera zagęszcza się, daje drapaka do Królewca. Koch okropnie boi się o swoje życie. A czy się boimy śmierci, czy nie, ona nieuchronnie przychodzi, jeśli wierzyć Goethemu, który przynajmniej w tym na pewno miał rację. Wspomniałeś tego lisa z lwią grzywą — Martina Bormanna. Ech, mój drogi! Bormann to ni pies, ni wydra — coś galaretowatego. To jest Jago na dworze Adolfa Hitlera, specjalista od półprawd. Półprawda zaś jest gorsza od czystego kłamstwa. Ale w intrygach jest niedościgły.

Von Ortel stanowił idealny model bezwzględnego cynika. W nic nie wierzył: ani w dogmaty kościelne, ani w ideologię nazistowską.

— Bóg stworzył trzy zła: księdza, diabła i reichsführera Himmlera — śmiejąc się powiedział do przerażonego Sieberta.

Przez całą noc Kuzniecow nie mógł zasnąć. Męczyła go myśl: kim jest ten gruntownie wykształcony von Ortel, dla którego nie istniały na świecie żadne świętości ani ideały? Czy von Ortel nie jest czasem zręcznie wprowadzonym agentem Intelligence Service? Być może jest Anglikiem błyskotliwie grającym sprytnie wyreżyserowaną rolę esesmana szczególnego rodzaju? Czy byłoby słuszne porwać go i samolotem odesłać do Moskwy? Kuzniecow powiadomił o swoim pomyśle „Centrum", ale poradzono mu, by czujnie śledził każdy krok sturmbannführera, by go stopniowo rozgryzał i nie podejmował żadnych ryzykownych decyzji.

* * *

Pewnej niedzieli von Ortel serdecznie przeprosił Maję Mikotę, iż pozwolił sobie w świątecznym dniu niepokoić ją tak wcześnie. W salonie oczekiwał go oberleutnant Siebert, przeglądając właśnie najnowszy numer gazety „Völkischer Beobachter" z fotografią Goebbelsa na stronie tytułowej.

— To wszystko dla motłochu — powiedział von Ortel wyniosłym i pogardliwym tonem, niedbale zerkając na gazety. — Dla mas, zdolnych do działania dopiero wtedy, gdy pobudzi je jakiś doktor Goebbels, żeby nie powiedzieć: owca, która myśli, że ma ogon ogiera.

Kuzniecow z przekonaniem odparł:

— Bez chmur nie ma deszczu, mój drogi von Ortel! Każdy wykonuje swoją robotę. Są doktorzy, którzy leczą tylko ciało, a doktor Goebbels ma szlachetniejszą misję leczenia ludzkiej duszy.

— Jesteś sympatycznym chłopcem, Siebert. Jesteś najprawdziwszym, uczciwym i prostodusznym Prusakiem. Bardzo cenię twoją szczerość, ale jednak muszę ci coś powiedzieć; istnieją lekarstwa niebezpieczniejsze od samej choroby! Nie wierzę człowiekowi, który dobrze mówi o wszystkim, co dotyczy Trzeciej Rzeszy!

— Więc dlaczego świadomie służysz führerowi i Niemcom tak jak ja, chociaż na innym polu? — nie wytrzymał Siebert również przechodząc na „ty".

— To jest już istotne pytanie — poważnie odpowiedział esesman. — Dlatego, że tylko z führerem mogę osiągnąć to, czego pragnę. Pieniądze nie spadają z nieba. Nie jestem żadnym dusigroszem, ale własny grosz jest cenniejszy niż miliardy cudzych milionów. Do własnych pieniędzy mogę dojść dzięki ideologii führera, w którą

nie wierzę, i jego metodom, w które wierzę. To znaczy, że służę, bo mam z tego korzyści.

Po chwili ciągnął dalej:

— Tchórz umiera tysiąc razy, a bohater tylko raz. W duszy człowieka tchórzliwego nie ma miejsca na szczęście! Tu całkowicie zgadzam się z Cervantesem. Oczywiście w słowach wszyscy jesteśmy gotowi skoczyć w ogień i w wodę za führera. Co prawda, świnie wolą, żeby woda była jak najbrudniejsza — zaśmiał się sturmbannführer. — Powiedz szczerze, czyż nie milszy ci jest własny majątek, twój mały kapitał, niż cała śmietanka partii nazistowskiej? Zawsze trzymam się zasady: to, co słodkie, trzeba przełknąć, a gorzkie wypluć. I to wszystko! Ale nie należy się porywać z motyką na słońce. Najśmieszniejsze jest pragnienie, żeby podobać się wszystkim. Własnej choroby nie wyleczysz cudzym zdrowiem! Gdybyś mógł pomnożyć swój kapitał dzięki tym, jak mówi lis Bormann, plutokratom, dzięki tym Amerykanom i Anglikom, czy wyrzekłbyś się tego z powodu jakichś „wyższych pobudek"? Im głowa mądrzejsza, tym rękom lżej. Lepiej, żeby ci zazdrościli, niż litowali się nad tobą. W ideały trzeba wierzyć o tyle, o ile mogą być dla ciebie pożyteczne. Oczywiście, nie znaczy to, że ty i ja gotowi jesteśmy zdradzić führera! Uchowaj, Boże!

— Albo umrę jako rycerz, albo wrócę jak rycerz! — powiedział Siebert patetycznym tonem, jakby te słowa spontanicznie mu się wyrwały na poparcie słów sturmbannführera.

— Powoli, kochaniutki! Nie należy być bardziej papieskim od papieża. Rozum człowieka jest silniejszy od jego pięści. Podstawą każdej mądrości jest cierpliwość. I dlatego bądź trochę bardziej cierpliwy, gdy mówię. Chciałem zapytać, dlaczego my dwaj nie jesteśmy gotowi zdradzić führera? Dlatego, mój drogi, że führer troszczy się o pomnażanie twojego i mojego kapitału, nie zapominając też o swoim. A o tym ci inni nie zapominają. Marszałek Rzeszy kocha cudze dzieła sztuki, a reichsführer ma więcej złota niż banki szwajcarskie! Obawiam się, że nie dorobił się go ciężką pracą! Doktor Goebbels jest miłośnikiem wspaniałych willi, a ten domowy kundel Koch, wybacz, mówią, że jest twoim ziomkiem czy jakimś krewnym, uwielbia fabryki, wielkie posiadłości i żydowskie kamienie szlachetne. Każdy ma swój interes. Uważam, że z naszym führerem możemy zrobić więcej niż z kimkolwiek innym. Dlatego

jestem mu oddany, dlatego gotów jestem skoczyć za niego w ogień i w wodę! Tu nie ma wątpliwości! Z pewnością miałeś okazję widzieć, jak łatwo umierają komuniści, jak diablo dobrze znoszą tortury! Czy przesłuchiwałeś ich kiedyś?

— No, kilka razy byłem obecny na przesłuchaniach więźniów, ale ta sprawa wydaje mi się banalna — odpowiedział Paul Siebert. — Jestem żołnierzem i lepiej radzę sobie na polu walki...

— Komuniści są fanatykami niezwykłego rodzaju. Należy uważnie badać ich życie i śmierć. Stara prawda mówi, że przeciwnika trzeba dobrze poznać. Swego czasu wiele rozmyślałem, skąd się w nich bierze, na przykład, taka pogardliwa obojętność wobec śmierci. I zrozumiałem, że to wszystko z powodu niespójności takich jednostek, a raczej z powodu ich prymitywizmu. Człowiek cywilizowany ceni życie. Prędzej rozstanie się z poczuciem obowiązku, religią niż z własnym życiem. Istnieją jednak żywi bardziej martwi od każdego nieboszczyka. Taki jest ten twój bojaźliwy rodak, Erich Koch.

Jeszcze żaden nazista nie wyjawił przed Kuzniecowem swojego kredo tak jasno i otwarcie. Ale nadal wielką tajemnicą i zagadką pozostawała misja w Równem tego nie wierzącego w nic „filozofa".

Von Ortel werbuje Paula Sieberta

— Paul, chciałbym powiedzieć ci coś ważnego — powiedział kiedyś sturmbannführer w kasynie oficerskim, gdy zostali sami. — Wokół twojej narzeczonej w ostatnim czasie kręci się major Giettel.

— Czy to możliwe? — żachnął się dotknięty Siebert. — Mam całkowite zaufanie do mojej narzeczonej. Ona jest...

— Uspokój się, Paul! Zazdrość jest wadą ograniczonego umysłu, a ty jesteś mądrym człowiekiem. Jednak nie chodzi tu o miłość. Chodzi o coś zupełnie innego. Jesteśmy kolegami i właśnie dlatego radzę, by fräulein Walentyna trzymała się jak najdalej od Giettla. Nie z powodu jego uwodzicielskich talentów. Chodzi o coś zupełnie innego. Tego chłopaka widywałem na Prinz-Albrecht-Strasse.

Na Prinz-Albrecht-Strasse 8 w Berlinie znajdował się tzw. Dom Himmlera — siedziba głównych władz gestapo i kontrwywiadu.

— A więc Giettel jest gestapowcem!

Kuzniecow, dzięki von Ortlowi, rozwiązał jeszcze jedną łamigłówkę. Dotychczas nikt nie mógł dowiedzieć się, co właściwie robi major Martin Giettel. Nie wiedzieli też tego wysocy urzędnicy Reichskomisariatu, gdzie zjawiał się, kiedy chciał, ale często wychodził stamtąd później niż inni. Jego gabinet w godzinach pracy był przeważnie zamknięty, a Giettel przechadzał się po pokojach, prowadził trywialne rozmowy i słuchał dowcipów. Nikt go nie lubił, unikali go wyżsi urzędnicy, oficerowie, generałowie.

Skromna urzędniczka, „volksdeutschka" Walentyna Dowger, także starała się być jak najdalej od nielubianego majora Giettla. Jednak pewnego razu major był do stopnia natrętny, iż nie mogła sprzeciwić się, gdy zaproponował odprowadzenie jej do domu.

— Czy pani jest wolna? — zapytał nieco zalotnie Giettel i zaraz dodał: — O, już słyszałem, fräulein ma przystojnego narzeczonego.

— Jest pan na bieżąco — zaśmiała się Wala. — To oficer, jest zazdrosny i nie byłoby dobrze, gdyby widział nas razem.

Major jednak nie przejął się słowami Wali. Okazało się, że interesuje go nie ona, lecz jej narzeczony.

— Przypadkowo widziałem was w gabinecie przyjęć reichskomisarza — powiedział Giettel. — Od tamtego czasu poczułem do pani i pani narzeczonego... przepraszam, zapomniałem jak się nazywa...

— Oberleutnant Paul Siebert.

— ... poczułem sympatię do pani i pani narzeczonego. Jeśli się nie mylę, on awansował, wtedy był tylko leutnantem. Zrobiłaby mi pani wielki zaszczyt, poznając mnie z oberleutnantem Siebertem.

Wala zgodziła się.

Tego samego wieczoru powiadomiła Kuzniecowa o treści podejrzanej rozmowy z „rudym majorem", jak wszyscy nazywali Giettla.

Kuzniecow ruszył do oddziału.

„Centrum" było w rozterce. Czy wywiad hitlerowski znalazł dobry sposób, by przez Walę „przylepić się" do oberleutnanta podejrzewając, że nie jest on tym, za kogo się podaje? Dopóki jednak działa swobodnie, można dotrzeć do jego kontaktów, siatki, a nawet współpracowników wśród niemieckich oficerów.

Istniała też druga wersja, według której Martin Giettel prowadził samodzielną grę, nikogo do niej, tymczasem, nie wciągając.

Jedno jest pewne: gestapo nie wiedziało, że oberleutnant nie jest niemieckim oficerem, ani też nie miało innych podejrzeń. Gdyby było inaczej, Kuzniecow siedziałby już w więzieniu na ulicy Pocztowej 26, skąd każdego dnia wyprowadzano na rozstrzelanie setki osób.

Zdecydowano jednak poczekać na bezpośredni kontakt do czasu, aż sprawa się wyjaśni. Jednocześnie znacznie wzmocniono ochronę Kuzniecowa.

Kilka dni później Giettel zrobił drugi krok. Wezwał Lidię Lisowską, u której Siebert formalnie mieszkał. Zrobił to, bo wcześniej sprawdził, że oberleutnanta nie było w żadnym spisie oficerów stale lub czasowo zamieszkałych w Równem. Bez tego przecież w ogóle nie miał prawa zatrzymywać się w mieście dłużej niż dwa dni.

Rozmowa z Lidią była oschła i oficjalna. „Rudy major" uprzedził Lisowską, że ich spotkanie jest ściśle tajne i ujawnienie treści rozmowy mogłoby mieć dla niej przykre skutki. Następnie zażądał,

żeby opowiedziała mu bądź napisała wszystko, co wie o swoim lokatorze.

— Zwyczajny Prusak — wzruszyła ramionami Lidia i powiedziała to, co uważała za stosowne.

— Czy w rozmowie oberleutnant mówi czasem coś o Anglii? — nieoczekiwanie zapytał Giettel.

Lidia zdziwiła się.

— O Anglii? Nigdy. Dlaczego miałby ze mną rozmawiać o Anglii? Panie majorze, czyż młodzi ludzie nie mają innych interesujących tematów do rozmowy?

„Rudy major" był jednak uparty.

— Czy czasami w rozmowie nie używa angielskich słów?

Lisowska zaśmiała się kokieteryjnie.

— Ależ ja nie znam angielskiego! O ile wiem, Paul mówi tylko po niemiecku. Umie parędziesiąt słów polskich, ukraińskich i rosyjskich. Tyle znają wszyscy służący tutaj oficerowie niemieccy.

— W pani aktach, frau, jest napisane, że dwa lata uczyła się pani angielskiego przygotowując się do wyjazdu do Hollywood. Czy tak?

— Tak, chodziłam na kurs, ale języka się nie nauczyłam. Z powodu tej przeszkody zrezygnowałam z wyjazdu do Ameryki. I nie żałuję.

— Pani wybaczy niedyskrecję, ale chciałbym coś wiedzieć: czy między panią a panem Siebertem istnieje coś, co przekracza granice układu lokator — gospodyni? Czy istnieje jakiś związek serc i dusz, chciałem powiedzieć...?

— Wyznam coś panu: Siebert ma narzeczoną, ale jest zakochany we mnie, a ja w nim. Czy teraz pan mnie lepiej rozumie?

— Ależ tak, oczywiście! Szanuję wasze wzajemne uczucia, które są zawsze najgłębsze, gdy są skryte, ale pani musi zawsze pamiętać, że w pierwszym rzędzie jest współpracownicą gestapo, a dopiero później bliską przyjaciółką oberleutnanta Sieberta. W każdym razie, czy nie wydaje się pani dziwne, że Siebert swobodnie rozporządza tak dużymi sumami pieniędzy?

— Nie zauważyłam — odpowiedziała Polka.

Giettel, uważając Lidię za kobietę swobodnych obyczajów, sądził, że była ona po prostu kochanką Sieberta i nie łączył ich jakiś głębszy związek emocjonalny.

— Proszę, by spróbowała pani w rozmowie z Siebertem użyć, niby przypadkowo, słowa „sir". Niech pani zwróci uwagę, jak oberleutnant zareaguje na taki zwrot. To dla mnie ważne.

Jeszcze jedna zagadka została rozwiązana. Przebiegły gestapowiec Martin Giettel odkrył swoje karty. Jak się okazało, przypuszczał, że Siebert jest agentem angielskiego wywiadu — Intelligence Service.

Ale rozwój wydarzeń wskazywał, że Giettel nie ma zamiaru złapać Sieberta, chociaż podejrzewał, że jest on obcym szpiegiem.

Po druzgocącej porażce Wehrmachtu pod Kurskiem nad Niemcami zebrały się czarne chmury. Przeczuwając potworną katastrofę, Giettel chciał się na czas zabezpieczyć — nawiązać kontakt i przejść na stronę angielskiego wywiadu.

Do spotkania między Siebertem i Giettlem doszło 29 października 1943 roku. Około godziny 18 Kuzniecow przyprowadził Giettla na ulicę Legionów pod pretekstem zabrania dwóch dziewcząt, z którymi mieli spędzić wieczór. Jak się okazało, samotnie i skromnie mieszkał tam Robert Glass, nie rzucający się w oczy współpracownik tzw. Paketauktion — niemieckiej instytucji specjalizującej się w wysyłaniu do Niemiec żywności i innych towarów zrabowanych na ziemiach okupowanych. Komendantem Paketauktion był znany nazista, generał Hermann Knuth, drugi zastępca Ericha Kocha. Uchodził on za jednego z największych rabusiów w faszystowskim imperium. Zachłannemu generałowi nawet nie przyszło do głowy, że jego skromny urzędnik, Robert Glass, jest w istocie antyfaszystą holenderskim. Tego wieczoru w mieszkaniu Glassa znalazł się również Iwan Korycki, pracujący w Paketauktion jako ładowacz i należący do oddziału wywiadowczego Miedwiediewa.

— Moje przyjaciółki trochę się spóźniają — Kuzniecow spojrzał na zegarek — lecz najpóźniej za trzydzieści minut tu będą. Panie majorze, proponuję, byśmy się czegoś tymczasem napili, po cóż tracić czas?

Giettel przyjął zaproszenie. Siebert demonstracyjnie zdjął szynel, pas z pistoletem w kaburze zawiesił na wieszaku, pragnąc pokazać, że czuje się pewnie i swobodnie. Chcąc nie chcąc, Giettel uczynił to samo.

Rozmawiali naturalnie, o banalnych sprawach. Każdy z nich czekał, aż przeciwnik pierwszy odkryje karty.

— Pogoda jest dziwna — zaczął Giettel — niedługo będzie listopad, a temperatura jak w czerwcu. Chyba klimat się zmienia. Brak tylko słowika, by pomyśleć, że wróciło lato. I jakiż wspaniały księżyc!

— Złodzieje nie lubią księżyca — zaśmiał się Siebert.

Stopniowo rozmowa stawała się interesująca. W stonowanych aluzjach toczyła się gra, jakby uwertura do przyszłych układów. Tak przynajmniej myślał major Giettel.

— Nikolaus — Siebert wezwał swojego szofera, „niemieckiego żołnierza" polskiego pochodzenia, Nikołaja Strutyńskiego. — Zechce pan pojechać po Annę i Irinę, już dawno powinny tu być.

— Jeszcze jest czas, panie oberleutnancie, powiedziały, że będą dopiero przed dziesiątą — wyjaśnił Strutyński łamanym niemieckim i zasiadł przy stole.

W działalności wywiadowczej nawet najmniejsze błędy mogą spowodować katastrofę. Taki właśnie błąd zrobił tym razem Strutyński, nie przeczuwając nawet jego skutków.

„Rudy major" poczerwieniał. Niemiecki żołnierz, do tego polskiej narodowości, nigdy nie mógłby sobie pozwolić usiąść przy oficerskim stole, nawet gdyby był zaproszony. Podobnego spoufalenia nie zniósłby także zawodowy oficer angielski, a nim, według Giettla, powinien być Siebert.

W oczach majora pojawiło się przerażenie. Oszustwo! „A więc Siebert nie jest agentem Intelligence Service! Co będzie, jeśli okaże się, że jest Rosjaninem?"

„Rudy major" popędził po swój pas, ale Strutyński przeszkodził mu, kopiąc go w nogę.

Już po chwili Giettel był pokonany i związany. Niespodziewanie została przerwana gra, po której oczekiwano dalekosiężnych skutków. Kuzniecow nie miał wyjścia. Odrzucił niepotrzebną maskę i zaczął przesłuchiwać przerażonego esesmana.

— Zupełnie nie przyszło mi do głowy, że jest pan radzieckim agentem — ponuro rzekł Giettel. — Myślałem, że jest pan Anglikiem lub Polakiem pracującym dla Intelligence Service. Chciałem z panem współpracować. Zgadzam się współpracować także z Rosjanami, oczywiście, jeśli mnie pan wypuści.

— To będzie zależało od pana szczerości — odpowiedział Kuzniecow. — Porównamy pana zeznania z informacjami, jakie mamy

i zdecydujemy. Dlatego ostrzegam, żeby mówił pan prawdę, tylko prawdę. O wielu rzeczach wiemy, a niektórych nie znamy. Czy jest pan pewny samego gauleitera Kocha? Czy dopuszcza pan możliwość, że on również mógłby z nami współpracować? Pan przecież dobrze wie, że Walentyna Dowger nieprzypadkowo pracuje w Reichskomisariacie.

Kuzniecow chciał na początku złamać opór majora, sugerując mu, że Koch jest „radzieckim człowiekiem". Ta sugestia wywarła na Giettlu duże wrażenie, gdyż przez cztery godziny szczegółowo opowiadał o wszystkim, co interesowało radziecki wywiad. Później wyczuł, że i tym razem został przechytrzony. Zawodziły go nerwy.

— Kim jest naprawdę sturmbannführer von Ortel? — zapytał Kuzniecow patrząc esesmanowi prosto w oczy.

— Tego nie mogę powiedzieć...

— Powtarzam panu pytanie: kim jest von Ortel? Niech pan nie kręci! — Kuzniecow podniósł głos.

— Tego naprawdę nie wiem! — histerycznie krzyknął Giettel. — Tego nikt nie wie! Zapytajcie „waszego człowieka" Kocha, niech on wam powie!

— Proszę posłuchać, majorze, ja chcę, żeby powiedział mi to pan, a nie Koch. Zapewniam, że bardzo szybko zmuszę pana nie tylko do mówienia, ale nawet do śpiewania, jeśli nadal histerią i złośliwością będzie pan sabotował śledztwo! Ostrzegam, niech pan nie igra z życiem i wykorzystuje okazję, dopóki jestem wielkoduszny. Niech pan mówi! Dobrze pan wie, co pana czeka w przeciwnym razie.

— Wiadomo jest mi tylko — zaczął Giettel bojaźliwie i szybko — że sturmbannführer ma specjalne upoważnienia z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Ma prawo osobiście nawiązać łączność telefoniczną i telegraficzną z Müllerem i Schellenbergiem.

— Aha! — Kuzniecow prawie gwizdnął.

Müller był szefem IV departamentu w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, czyli kierował gestapo. „Ho-ho, von Ortel jest grubą rybą" — pomyślał Kuzniecow.

Giettel wiedział, że von Ortel przez pewien czas przebywał w Belgradzie, lecz nie mógł nic konkretnego powiedzieć o jego misji służbowej w Równem. Dwa-trzy razy przyjeżdżały do niego jakieś osoby z Niemiec. Mówiło się, że przed kilkoma dniami pewien oficer

rozpoznał w towarzystwie sturmbannführera swego szkolnego kolegę i słynnego porywacza, Ottona Skorzennego.

— Von Ortel jest sam sobie panem. Na przykład, często zagląda do więzienia. Tam wybiera dziesięciu ludzi, gdzieś ich wywozi, a oni nigdy nie wracają. Wydaje się, że coś z nimi ćwiczy. Tutaj ma do dyspozycji trzech majorów i jednego kapitana.

Los majora Giettla nie jest do końca znany. Łukin i Zakaliuk twierdzą, że na rozkaz Kuzniecowa Strutyński zastrzelił go po trzydniowym przesłuchaniu, ponieważ zbyt ryzykowne byłoby przerzucanie go do bazy partyzanckiej. Zachodnioniemieccy historycy wysuwają jednak inne przypuszczenie. Mówią, że Giettel został odesłany samolotem do Moskwy, skąd ponoć wrócił, pod innym nazwiskiem, do NRD, ale jest to mało prawdopodobne.

Sprawa Giettla była mimo wszystko tylko epizodem w demaskowaniu osoby i misji von Ortla. Kuzniecow, nawet gdyby chciał, nie mógłby tak zwyczajnie przerwać tej znajomości. Von Ortel zbyt przyzwyczaił się do niego. Odwiedzał go i uważał za bliskiego przyjaciela. Wydawało się, że w rozmowie z nim esesman znajduje wytchnienie od wielkiego napięcia nerwowego.

Jedna z rozmów ze sturmbannführerem w hotelu „Deutschehof" przekonała Kuzniecowa, że von Ortel niezmordowanie studiował nie tylko to, co powinien wiedzieć dobrze poinformowany major, lecz również to, co powinien znać dowódca wojskowy. Czytywał wojskowe dzieła Schlieffena, Moltkego, Clausewitza, ze szczegółami znał wyprawy Cezara, Czyngis-chana, Napoleona i Fryderyka II, lecz czyniąc historyczne paralele zatracił poczucie rzeczywistości. Dziwne, że ogromnym porażkom Niemiec na froncie wschodnim i możliwemu desantowi Anglików i Amerykanów we Francji, nie przydawał decydującego znaczenia w przebiegu wojny. Większość generałów Wehrmachtu uważał za kamienne posągi, nieudaczników i głupców. Z lekką ironią komentował nadzieje na zwycięstwo na polu bitwy. Historia uczy, twierdził von Ortel, że wielkie wydarzenia następują w wyniku gwałtownych zmian przy sterze państwa, a te najczęściej przeprowadzają dywersanci i spiskowcy.

Wysączywszy kolejny kieliszek likieru, esesman nalał następny i protekcjonalnym tonem zapytał Kuzniecowa:

— Siebert, jaki jest twój stosunek do tego „kurskiego przypadku" i w ogóle do faktu, że Rosjanie prą do przodu?

Samo pytanie świadczyło już o zaufaniu, ponieważ Stalingrad i Kursk można było wspominać tylko w towarzystwie człowieka, którego się dobrze zna i nie obawia się go.

— W każdym razie inne niż większości — odpowiedział Siebert. — Niewątpliwie te wydarzenia mają w sobie wiele tragizmu. Ale ja nie lubię narzekać. Nie jestem politykiem, nie znam się na tych sprawach, ale powiem ci coś, w co niewzruszenie wierzę. Być może mnie wyśmiejesz, ale skoro już zapytałeś, pragnę ci szczerze odpowiedzieć. Sądzę, że istnieją takie chwile, kiedy porażki ważniejsze są od zwycięstw. Uśmiechasz się? Poczekaj, nie skończyłem myśli. Co może zmusić ludzi do rozmyślań w chwili zwycięstwa? Nic. Od zwycięstwa można dostać zawrotu głowy, człowiek staje się zarozumiały. A porażki? One nawet mnie skłaniają do rozmyślań — Siebert uśmiechnął się. — Niemcom potrzebny jest trzeźwy i twardy duch, a jedno i drugie osiąga się nie tylko zwycięstwami, ale i porażkami.

— Brawo! — przytaknął mu von Ortel. — Z ciebie mógłby być wspaniały teoretyk. Dopóki nie jest za późno, pokaż się Alfredowi Rosenbergowi, który za dwa—trzy dni znowu przyjeżdża. Przedstaw mu swoje poglądy, a weźmie cię na pomocnika. On lubi inżynierów ludzkich dusz. Przypomnij mu jeszcze i to, że pochodzicie z tych samych stron, chociaż byłoby bliższe prawdy, gdybym ja to powiedział. Mówiąc jednak otwarcie, nie chcę, żeby mnie cokolwiek wiązało z tą glistą.

— Wybacz, proszę, lecz uważam Rosenberga za wielką osobistość Trzeciej Rzeszy...

— Ach, daj spokój tym bzdurom! Zwykła wypalona fajka tytoniu. Mówią, że jest jakimś germańsko-tatarskim mieszańcem. Kto sprowadził tu tego głupca, żeby nam prał mózgi? Ty chyba nie wiesz, że Rosenbergowie przybyli do Prus gdzieś znad Wołgi. Tam jeszcze caryca Katarzyna osiedliła wielką kolonię Niemców.

— Ciekawe.

— Przeciwnie, smutna prawda.

— Nazwałeś siebie osadnikiem z Rosji. Czy to znaczy...

— Jesteś dość domyślny — przerwał mu major. — Rozmawialiśmy o Kursku... Powiedz otwarcie: dostałeś już dwie kule, a od führera dwa krzyże — czy w dalszym ciągu chce ci się iść na front? Tam wprawdzie oferują żelazne krzyże, ale najczęściej do-

staje się drewniane — ironicznie zaśmiał się von Ortel. — Przynajmniej tak twierdzi ten bolszewicki pisarz Ilja Erenburg, trzeba przyznać — dowcipnie.

Siebert nagle wcisnął się głębiej w fotel. Głos jego stał się oschły i surowy.

— Jestem żołnierzem, mój drogi sturmbannführer, i moim obowiązkiem jest bić się za führera, naród niemiecki i Trzecią Rzeszę.

„Taki szczery zapaleniec jest mi potrzebny" — pomyślał esesman, lecz, rozłożywszy ręce, z przekorą powiedział coś zupełnie innego.

— Cudownie! Tylko dlaczego, Paul, jesteś taki oficjalny i teatralny? Dlaczego myślisz, że walka z naszymi przeciwnikami toczy się tylko na froncie?

Siebert spojrzał w sufit i skrzywił się z obrzydzeniem.

— Mówiąc szczerze, z całego serca nienawidzę dekowników. Oni często wymyślają przeciwników, żeby zwrócić na siebie uwagę i osiągnąć jakąś pozycję. Tutaj, w Równem, jest pełno takich „bojowników", którzy rozprawiają się z dziewczynami, kobietami i inwalidami, przekonując nas, że za nimi kryją się bolszewiccy dywersanci! Czegoś takiego uczciwy żołnierz nie może znieść! A poza tym — wojowanie jest przecież zajęciem rycerskim!

Von Ortel zamyślił się, kiwnął głową i powiedział:

— Nie bądź taki lekkomyślny, Siebert. Partyzanci stanowią duże niebezpieczeństwo. Zostawmy ich jednak, do diabła z nimi. Niech sobie nimi zawracają głowę ci, którzy nie są w stanie wykonywać poważniejszych zadań.

Von Ortel zamilkł. Zamyślił się. Siebert czuł, że stopniowo rośnie stawka w grze, którą prowadził na ostrzu noża. Zapalili.

— Takiemu człowiekowi jak ty, Siebert, potrzebni są przyjaciele zdolni ocenić i nagrodzić twoje umiejętności — wyważonym tonem zaczął von Ortel. —Paul, ciekawi mnie, co byś powiedział, gdybym ci zaproponował zmianę zajęcia?

— Nie rób sobie ze mnie żartów, nie nadaję się na wywiadowcę — odpowiedział Kuzniecow, przekonany, że w zaistniałej sytuacji udawanie byłoby naiwnością.

— Ha, ha! Ale ja zrobię z ciebie dobrego! Przysięgam ci na Boga, że nie nudziłbyś się tam tak, jak tutaj. Zresztą, chcę, byś wkrótce poznał mojego kolegę, Ottona Skorzennego!

— Skorzennego?! — wykrzyknął Siebert.

Sturmbannführer umiał ucieszyć rozmówcę. Zrozumiał, że tego wieczoru powiedział zbyt wiele temu twardemu, godnego zaufania i pełnemu inwencji frontowcowi, umiejącemu dochować tajemnicy.

Kuzniecowowi, oczywiście, nazwisko słynnego Ottona Skorzennego było dobrze znane. Całymi miesiącami nie schodziło ono ze stron faszystowskiej prasy. Sturmbannführer SS Skorzenny miał za sobą niemało dywersji i krwawych operacji. Zabicie w 1934 roku austriackiego kanclerza Dollfussa, schwytanie w czasie Anschlussu Austrii prezydenta Miklasa i kanclerza Schuschnigga, bestialskie obrachunki z mieszkańcami Belgradu, Kopenhagi, Warszawy, Rygi i Kijowa — wszystko to było dziełem bandy Skorzennego.

Skorzenny cieszył się przychylnością Hitlera i szybko piął się po służbowej drabinie. W 1943 roku został szefem esesmańskich terrorystów i dywersantów w VI departamencie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Szczególnym zaufaniem darzył go krwawy kat, Kaltenbrunner.

Otto Skorzenny przeprowadził na rozkaz Hitlera jedną z najbardziej zuchwałych operacji dywersyjnych podczas II wojny światowej — porwanie Mussoliniego. Kiedy 25 lipca 1943 roku upadł we Włoszech faszystowski reżim, Mussolini został internowany w kuracyjnej miejscowości Gran Sasso w Abruzzach (Środkowe Włochy). Hotel „Campo Imperatore", w którym przebywał, znajdował się na trudno dostępnym szczycie. Nowy premier rządu, marszałek Pietro Badoglio, wyraził gotowość przeprowadzenia rozmów z Anglikami i Amerykanami o wycofaniu się Włoch z wojny. To rozzłościło Hitlera i postanowił on porwać Mussoliniego z niewoli, żeby zmusić Włochów do dalszego oporu, przynajmniej w północnych rejonach kraju. Do hotelu „Campo Imperatore" można się było dostać tylko kolejką linową. Skorzenny zaproponował, żeby operację „Eiche" (Dąb) przeprowadzić za pomocą desantu z powietrza. 12 września szybowce transportujące żołnierzy wylądowały tuż obok hotelu. Bez trudu rozbrojono zaskoczonych strażników. Następnie samolotem przewieziono Mussoliniego do Wiednia, stamtąd zaś do Monachium. Po spotkaniu z rodziną odleciał do kwatery Hitlera w Wilczej Jamie. Goebbelsowska propaganda z tej operacji wycisnęła wszystko, co mogła. Skorzenny został otoczony aureolą, uznano go za cudotwórcę. Sławiony był jako bożyszcze rasy germańskiej i symbol jej wyższości.

Po powrocie ze spotkania z von Ortlem Kuzniecow postanowił możliwie szybko dostać się do oddziału, ponieważ nie wiedział, jak postąpić wobec tak oszałamiającej propozycji ciągle jeszcze zagadkowego esesmana. Ostatnia rozmowa z nim mogła być decydująca. Może po prostu von Ortel stwierdził, że tajemniczy oberleutnant jest osobą, którą należy zdemaskować?

„Spróbuj wyjaśnić, w co konkretnie chce cię wciągnąć von Ortel. Pamiętaj, że to może być prowokacja. Bądź bardzo ostrożny, nie przesadzaj w uczynności" — brzmiała instrukcja z Moskwy.

Po powrocie do Równego, trzeciego dnia po rozmowie w kasynie, Kuzniecow, jak to było ustalone, spotkał się z von Ortlem w tym samym miejscu. Esesman ucieszył się.

Rozmowa dotyczyła nie polityki, lecz siostry Lidii Lisowskiej, pięknej Mai. Ta z pozoru trzpiotowata młoda dziewczyna od dawna była tajną współpracownicą gestapo; miała kryptonim „Siedemnaście".

Maja miała stałe kontakty z wieloma oficerami, urzędnikami, handlowcami, artystami. Niektórzy składali jej oferty małżeńskie. Ten właśnie fakt zwrócił uwagę hitlerowskiej służby bezpieczeństwa na tę piękną kobietę. Kiedy von Ortel pojawił się w Równem, dano mu do dyspozycji agentkę „Siedemnaście". Nie tylko po to, by sturmbannführer mógł miło spędzać wolny czas, lecz by dzięki niej rozszerzył możliwość realizacji tajnych zadań. Esesman stwierdził, że jest ona bardzo utalentowaną dziewczyną i zaczął stopniowo uczyć ją sposobów i metod szpiegowskiego fachu.

Jako agent gestapo Maja regularnie spotykała się z von Ortlem w tajnych pomieszczeniach służby wywiadowczej. Była jednocześnie jednym z najlepszych radzieckich agentów w Równem. Kuzniecow i dowództwo oddziału otrzymywali od niej szczegółowe sprawozdania z każdego spotkania z von Ortlem.

Sturmbannführer wierzył Mai bardziej niż komukolwiek. Pewnego razu, trochę podpity, powiedział jej, że on, von Ortel, dwa razy wysyłał na tyły radzieckie dywersantów, żeby zabili dwóch niemieckich generałów, między innymi również generała Seidlitza wziętego do niewoli pod Stalingradem. Seidlitz przez radio oskarżył Hitlera, że prowadzi Niemcy do narodowej katastrofy.

Niemieccy historycy twierdzą, że sturmbannführer Paul von Ortel dowodził operacją, której celem było porwanie z niewoli feld-

marszałka von Paulusa. Próba nie powiodła się, gdyż Rosjanom udało się wprowadzić w szeregi dywersantów ludzi z grupy wywiadowczej Nikołaja Kuzniecowa.

Chociaż Kuzniecow w pewnym stopniu uczestniczył w udaremnieniu tej niemieckiej dywersji, to nie ma jednak dowodów, że w całą sprawę zaplątany był również von Ortel. Po pierwsze, tę operację przeprowadzono w lutym 1943 roku, a von Ortel pojawił się w Równem dopiero jesienią. Po drugie, porwanie przygotowywała Abwehra.

Powróćmy do „zielonookiej bogini", jak nazywał Maję von Ortel. Esesman niepostrzeżenie zakochał się w swojej „współpracownicy", a czekało go, jak mówił, „dłuższe i niewiadome" rozstanie z nią. To go męczyło, czyniło nerwowym, zazdrosnym o innych zalotników Mai, których było tak wielu, że nie mógł ich wszystkich usunąć.

Von Ortel zwierzył się Kuzniecowowi, że „sprzeniewierzył się sam sobie" i pozwolił sobie „śmiertelnie się zakochać" w Mai, ale nie wie, co będzie dalej. W ostatnich dniach stał się bardzo nerwowy, pełen niepokoju.

— No, kolego, namyśliłeś się? — zapytał esesman z uśmiechem.

Rozmawiali w mieszkaniu Lidii. Kuzniecow postanowił, że tym razem nie będzie udawał naiwnego frontowca nie rozumiejącego aluzji i zachęty do dyskusji i od razu przyjął styl sturmbannführera.

— Do czegoś takiego trzeba mieć pewną wiedzę wstępną, talent...

— I ty to masz, przekonałem się o tym. Lubisz dobrze żyć, lubisz radości naszego krótkiego życia. A co byś powiedział, gdyby cię führer ozłocił? Zapamiętaj, führer bardziej ceni jednego utalentowanego dywersanta niż pięćdziesięciu jakichś tam feldmarszałków lub nudziarzy, takich jak Rosenberg, Goebbels czy Koch. Pomyśl, podaruje ci, powiedzmy, Wołyń lub coś jeszcze lepszego — posiadłości i plantacje gdzieś nad Morzem Śródziemnym, na Krecie czy Cyprze. Obsypie cię podarunkami. Co byś powiedział na to?

— Chwileczkę — a co miałbym za to zrobić?

— Po pierwsze, będziesz się mnie słuchał. Reszta jest już w połowie sprawą załatwioną.

— Nic nie rozumiem.

— Masz zrobić niewiele, naprawdę mało. Masz być odważny, zdecydowany i umieć narażać życie.

— Tylko tyle? — Kuzniecow parsknął śmiechem. — Ortel, żartujesz chyba. A więc muszę walczyć. Ale z kim i jak? Na końskiej głowie rogi nie rosną...

— Po co tygrysowi rogi, gdy ma ostre zęby? — zręcznie odparował sturmbannführer.

— Nie jestem tchórzem. Narażałem życie wiele razy, lecz nic za to nie dostałem oprócz tych płytek na piersi.

— Problem polega na tym, gdzie i jak się narażać. Teraz führerowi potrzebna jest nasza pomoc. Tak, Paul, przyszły czasy, kiedy trzeba führerowi ofiarować pomoc, nie zapominając bynajmniej o sobie. Zapamiętaj: odwaga opłaca się po tysiąckroć! Jak to mówi Fichte: „Niech mnie opuszczą wszyscy, bylebym tylko zachował odwagę".

Siebert, milcząc, słuchał. Von Ortel stopniowo wpadał w ekstazę, upojony przyszłą, dobrze opłacaną sławą. Nalał kolejny kieliszek i majestatycznie wstał z krzesła, zrobił kilka kroków i, popatrzywszy Siebertowi prosto w oczy, zdecydowanie powiedział:

— Gotowy jestem iść tam, gdzie dzieją się najważniejsze rzeczy, na decydujący sektor frontu!

„Gdzie znajduje się ten «decydujący sektor» — pomyślał Kuzniecow. Pewnie w Moskwie? A może trzeba gdzieś skakać na spadochronie?"

— Siebert, za coś takiego — esesman mówił dalej — dostałbyś jeszcze jeden żelazny krzyżyk. Nie, mój kochaniutki, decydujący front nie jest tam, gdzie myślisz. Tam nie trzeba skakać na spadochronie, lecz przyjechać komfortową limuzyną i, co jest szczególnie ważne, w cywilnym ubraniu.

— Nie rozumiem cię. Mówisz bardzo enigmatycznie, Ortel — w głosie Kuzniecowa była ironia. — Więc gdzie jest ten twój „decydujący sektor"?

— W Teheranie — z uśmiechem powiedział von Ortel.

— W Teheranie? — zapytał osłupiały Siebert. — Ależ to Iran!

— Właśnie. Tam w listopadzie spotka się „Wielka Trójka": Stalin, Churchill i Roosevelt. Powtórzymy skok z Abruzzów! Tylko to będzie daleki skok. Zlikwidujemy „Wielką Trójkę" i odwrócimy tok wojny. Spróbujemy porwać Roosevelta, by führerowi łatwiej

się było porozumieć z Amerykanami, a Stalina i Churchilla zabijemy! Oczywiście, nikomu o tym ani słowa! Sam rozumiesz...

Von Ortel opowiedział o swej niedawnej wizycie w Berlinie, gdzie przyjęli go osobiście Müller i Schellenberg. Dostał od nich bardzo nęcącą obietnicę, której istotę Siebert prawdopodobnie przeczuwa. Zresztą, może mu to też powiedzieć otwarcie. Von Ortel uśmiechnął się wyrachowanie:

— Będziemy szczodrze nagrodzeni, jeśli pomyślnie zlikwidujemy dwójkę plutokratów i jednego bolszewickiego dyktatora. W Kopenhadze są szkoleni w tym celu specjalni ludzie, którzy polecą do Iranu w kilku grupach. Lotniska w Belgradzie i Sofii od dawna są gotowe — to są punkty wyjściowe. Rozumiesz mnie teraz?

— Rozumiem — kiwnął głową zamyślony Siebert. — Ale czy wierzysz, że ja mógłbym włączyć się do tej sprawy?

— Dziwne pytanie! — sturmbannführer wziął z talerza na stole cienki plasterek szynki, podniósł do ust, a potem odłożył. — Ty najpierw musisz wiedzieć, do kogo należy jedna z głównych ról w całej operacji.

— Do kogo?

— Do mnie! — wykrzyknął z zadowoleniem esesman. — Poproszę panią Lelę, żeby przyniosła nam butelkę szampana. Znudził mi się likier. Nie jest odpowiedni na uroczyste okazje.

„Ledwie powstrzymywałem się, by nie zabić go tego wieczoru" — przekazywał Moskwie dwie godziny później Kuzniecow, proponując, że w trybie pilnym zlikwiduje ulubieńca Müllera i jedną z ostatnich nadziei Hitlera, majora Paula von Ortla.

„Nie!" — brzmiała odpowiedź z Moskwy. „Wy w Równem możecie zabić tylko von Ortla, a do Teheranu pojadą ci, których nie znacie i nie będziecie znać. Pilnie przygotujcie plan porwania von Ortla".

— *Aequam memento rebus in arduis servare mentem* — powiedział cicho Kuzniecow, powtrzymując wybuch gniewu. Był wściekły, że przełożeni nie pozwalają mu wysłać na tamten świat cynicznego i groźnego esesmana.

„Samobójstwo"

Nieoczekiwanie von Ortlowi przydarzyło się coś ważnego. Być może w ostatniej chwili intuicja wywiadowcy podpowiedziała mu, że przeholował z werbowaniem Paula Sieberta. Z pewnością zbił go z tropu i zaniepokoił fakt, iż oberleutnant nie przyszedł na umówione spotkanie do mieszkania Lidii Lisowskiej.

Co prawda, Maja Mikota powiedziała mu, że Siebert musiał na kilka dni służbowo wyjechać z Równego, lecz takie nieoczekiwane manewry zwykle stosuje się w pracy wywiadowczej. Siebert mógł przecież znaleźć sposób, żeby przed wyjazdem spotkać się ze sturmbannführerem, zwłaszcza, że von Ortel bardzo zainteresował go planowanym zamachem na „Wielką Trójkę" i związaną z tym wielką nagrodą. Co więcej, Siebert musiał wiedzieć, że w przypadku niezdecydowania od razu zostanie zlikwidowany, ponieważ poznał tajemnicę przygotowania zamachu. A ten, kto o tym wiedział, mógł się uratować tylko poprzez bezpośredni udział w nim.

Wiele wskazuje na to, że von Ortel po prostu odczuwał potrzebę zwierzenia się, dzielenia się z kimś tajemnicami, które trzymały go w maksymalnym napięciu, a w ostatnich dniach był bardzo rozmowny nie tylko w towarzystwie Sieberta, lecz również Mai i Lidii.

Maja Mikota opowiadała Kuzniecowowi, że jej wielbiciel był w ostatnich dniach bardzo zadowolony. Mówił, że uczyniono mu wielki zaszczyt, że chodzi o „olbrzymią sprawę, która wzburzy świat".

— Kiedyś mi powiedział, że przywiezie mi z podróży perskie dywany. Traktowałam to jako żart, ale też przypuszczałam, że esesman przywiezie mi dywany zrabowane w którymś z okupowanych krajów. „Za opowiadanie o tym wszystkim można stracić głowę" — zwierzył mi się.

* * *

Wieczorem 20 listopada 1943 roku Maja Mikota powiadomiła Kuzniecowa, że dostała wiadomość, iż von Ortel zabił się w swoim biurze w pomieszczeniach „gabinetu stomatologicznego" na Deutschestrasse.

Kuzniecow dobrze wiedział, że tak się nie stało. Dopuszczał wprawdzie możliwość, że naziści zainscenizowali fałszywy uroczysty pogrzeb. Ale bardziej niepokoiło go coś innego: dlaczego von Ortel tak nieoczekiwanie opuścił Równe?

Mogły być tylko dwa powody rozpowszechniania wersji o samobójstwie: nieoczekiwane wezwanie do Berlina lub niepokój po okazaniu zbytniej szczerości w rozmowie. W drugim przypadku Siebertowi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Sturmbannführer mógł się zatroszczyć, by natychmiast zlikwidowano świadka, który był dla niego bardzo niewygodny.

Na przedostatnim spotkaniu von Ortel powiedział Siebertowi, że są mu potrzebni przyjaciele umiejący docenić jego umiejętności. Obiecał za kilka dni poznać go z człowiekiem, w którego rękach leży zbawienie Trzeciej Rzeszy. Nie uczynił tego. Dlaczego?

W książce *Teheran 1943* ówczesny sekretarz i tłumacz Stalina, Walentin Bieriežkow, potwierdza, że von Ortel rzeczywiście myślał o Ottonie Skorzennym, którego miał zastąpić w przeprowadzaniu tej „zbawczej" operacji *.

Skorzenny cieszył się dużym autorytetem. Czuł przed nim respekt nawet szef VI departamentu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, brigadeführer SS, Walter Schellenberg, ponieważ słynny porywacz był ulubieńcem Hitlera. Wszystko wskazuje na to, że Skorzenny 21 listopada czekał na von Ortla na lotnisku w Batajnicy, w pobliżu Belgradu, które było jednym z punktów startowych lotu do Teheranu.

Przygotowania do akcji „Daleki skok" (taki kryptonim Niemcy nadali operacji zlikwidowania „Wielkiej Trójki") odbywały się w pięciu miastach: Berlinie, Kopenhadze, Równem, Belgradzie i Sofii. Głównym dowódcą operacji był Otto Skorzenny, a bezpośrednim von Ortel. Kontrolę przebiegu „Dalekiego skoku" powierzono Walterowi Schellenbergowi.

* W. Bieriežkow, *Tegeran 1943*, Moskwa 1973.

Roosevelt dziękuje Kuzniecowowi

Sofia, 24 listopada 1943 roku. Późna, zimowa noc. Na lotnisku ląduje ogromny szary bombowiec. Do samolotu zbliża się czarny mercedes. Bez żadnych ceremonii zabiera nie rzucającego się w oczy człowieka wyglądającego na skromnego urzędnika. Do Sofii przybył szef VI departamentu w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, brigadeführer SS, Walter Schellenberg.

Dwóch ludzi szło mu naprzeciw. Nie byli tak owiani legendą jak porywacz Mussoliniego, Otto Skorzenny, lecz w węższych kręgach elity nazistowskiej byli nie mniej znani. Sturmbannführer Julius Berthold Schluze uczynił Hitlerowi pierwszą przysługę jeszcze podczas „nocy długich noży". Wtedy pomógł mu uwolnić się od konkurentów — Röhma i Schleichera. Wiele mógłby opowiedzieć również drugi człowiek, obersturmbannführer SS, Willy März.

W pobliżu samolotu znajdowało się jeszcze sześciu ludzi ze spadochronami na plecach. Jakkolwiek zakończyłaby się operacja, ta szóstka już nigdy nie miała wrócić, lecz oni jeszcze o tym nie wiedzieli.

Młody, wytworny sturmbannführer został w mercedesie. Złożył raport Schellenbergowi, a potem z plecakiem i spadochronem na plecach skierował się do bombowca. Powierzono mu faktyczne dowództwo nad przeprowadzeniem zamachu bez precedensu w historii. Bombowiec odleciał w daleką drogę. Lotnisko opustoszało.

Dowódca ekspedycji zamachowców, Paul von Ortel, został awansowany bezpośrednio przed lotem do stopnia pułkownika. Z zadowoleniem rozłożył przed sobą mapę. Czerwonym ołówkiem zakreślił cel podróży — miasto Sziraz w Iranie.

Czarny mercedes pędził w kierunku miasta. Rozparty na miękkim skórzanym siedzeniu brigadeführer Schellenberg szybko kreślił radiogram: „Berlin, Prinz-Albrecht-Strasse 8. Tajemnica państwowa. Do reichsführera SS Himmlera. Operacja «Daleki skok» rozpoczęta".

Otto Skorzenny został na belgradzkim lotnisku. W ostatniej chwili nazistowskie kierownictwo zdecydowało, że operacją w Teheranie będzie dowodzić von Ortel, gdyż osoba i czyny Skorzennego dobrze już były znane w świecie. Podejrzewano, że aliancki wywiad mógł śledzić go tajemnymi kanałami, tak że nawet mimo przebrania łatwo zostałby rozpoznany w irańskiej stolicy.

W tym czasie w Teheranie przebywało wielu uchodźców z przeoranej wojną Europy. Większość z nich stanowili majętni ludzie usiłujący uchronić się przed ograniczeniami i niedostatkiem, a szczególnie przed niebezpieczeństwami wojny.

Wśród uciekinierów było wielu hitlerowskich szpiegów. Poparcie rządu szacha Rezy Pahlaviego, w ostatnich latach otwarcie sympatyzującego z Hitlerem, stworzyło bardzo sprzyjające warunki niemieckim handlowcom i przedsiębiorcom. W dużym stopniu korzystała z tego także niemiecka siatka szpiegowska, która zalała Iran swoimi agentami.

Iran odgrywał w wojnie ważną rolę, ponieważ przez jego terytorium Anglicy i Amerykanie wysyłali posiłki Związkowi Radzieckiemu dźwigającemu główny ciężar wojny. Gdy na mocy dawnego układu radziecko-irańskiego z 1921 roku wojska ZSRR zajęły północny Iran (latem 1941 roku), łącznie z Teheranem, Reza Pahlavi abdykował i wyjechał do Ameryki Południowej. W tych warunkach zostały nawiązane przyjacielskie stosunki między Iranem i członkami koalicji antyhitlerowskiej.

Jednak dla niemieckiego wywiadu sytuacja nie zmieniła się znacząco. Jego agentura nadal potajemnie działała w Iranie, rozbudowując siatkę szpiegowską i rozszerzając swoje wpływy. Dowodził nią doświadczony oficer wywiadu, Schluze Holtus. Formalnie pełnił on obowiązki niemieckiego konsula generalnego w mieście Tebriz, starej stolicy irańskiej części Azerbejdżanu, chociaż faktycznie był człowiekiem Abwehry.

Kiedy rząd irański wydał decyzję o wydaleniu z kraju przedstawicieli hitlerowskich Niemiec, Schluze Holtus nie wyjechał razem z innymi niemieckimi dyplomatami. Ukrywał się i przez kilka lat mieszkał tam nielegalnie. Zapuścił brodę, zmienił kolor włosów, przywdział ubranie hodży. W takim przebraniu wędrował po Iranie i werbował agentów spośród miejscowych reakcjonistów.

Latem 1943 roku, kiedy zadomowił się u plemion kaszkajskich

w rejonie Isfahanu, do pomocy przybyła mu grupa agentów z Niemiec. Wylądowali na spadochronach i przywieźli ze sobą radiostację dużego zasięgu. Byli to ludzie ze specjalnej kopenhaskiej szkoły Ottona Skorzennego. Oprócz tego niemieccy szpiedzy dysponowali dużą ilością broni i materiałów wybuchowych, sztabami złota i pieniędzy do przekupywania agentów.

Schulze Holtus utrzymywał kontakty z tajnym przedstawicielem gestapo, Meierem, pracującym w okolicy Teheranu. Meier zszedł do podziemia w tym samym czasie, co i Schluze Holtus, lecz trzy miesiące ukrywał się na ormiańskim cmentarzu w Teheranie. Wcielił się w irańskiego parobka, a nieco później został grabarzem.

Warto dodać, że agenci niemieccy, podczas II wojny światowej rozsiani po całym świecie, często przebierali się za grabarzy, księży, zakonników i hodżów, ponieważ na te osoby służba bezpieczeństwa nie zwracała specjalnej uwagi.

Meier stworzył całą siatkę szpiegowską w Teheranie i jego okolicy. Podżegał koczownicze plemiona Iranu do separatystycznego powstania przeciwko władzy centralnej, organizował dywersje i sabotaże. Utrzymywał stały kontkat radiowy z Berlinem.

Właśnie do bazy Meiera w okolicy Teheranu leciał niemiecki bombowiec z zamachowcami pod dowództwem nowo mianowanego pułkownika von Ortla. Dzień później wyruszyła druga grupa niemieckich dywersantów składająca się z doświadczonych członków Abwehry i gestapo. Miała ona wylądować u Schulze Holtusa w bazie Abwehry, 100 kilometrów na wschód od Teheranu. Grupą dowodził sturmbannführer SS, Willy März, który poczuł się głęboko dotknięty, że Schellenberg i Skorzenny nie jemu powierzyli wiodącą rolę w przeprowadzeniu całej operacji.

W Iranie w ciągu trzech nocy zrzucono pięć grup dywersantów, a ich działalność jednoczył dowódca spisku, pułkownik von Ortel.

Naziści szczegółowo opracowali plan: Stalin i Churchill mieli zostać zabici podczas przejazdu teherańskimi ulicami, a Roosevelt porwany, by łatwiej było im się dogadywać z Amerykanami. Gdyby nie udało się porwanie, Roosevelt miał zostać zabity. W Berlinie wierzono, że zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku bieg historii zmieniłby się na korzyść Niemiec.

Moskwa śledziła niemieckie przygotowania do zamachu. Generał NKWD kierujący tą sprawą pozostał nie znany. Niektórzy history-

cy twierdzą, że chodzi o generała Sierowa, lecz radzieccy autorzy ani nie dementują tego, ani nie potwierdzają.

W wielkim, szarym budynku w centrum Moskwy młody kapitan z kędzierzawą czupryną położył na stole generała rozszyfrowany radiogram od Nikołaja Kuzniecowa.

— A więc to tak — powiedział po przeczytaniu — zanosi się na ciekawe wydarzenia.

Wstał z krzesła, przekręcił szyfrowy zamek i otworzył ciężkie drzwi sejfu wbudowanego w ścianę gabinetu. Wyciągnął stamtąd ciężkie teczki, wziął z nich dwie kartki i uważnie kilka razy przeczytał. Skąpe słowa kilku radiogramów ukazywały obraz wypadków z ostatnich dni.

— Jewgieniju Spiridonowiczu — zwrócił się generał cichym głosem do kapitana zamierzającego właśnie opuścić gabinet. — Do godziny 10 nawiążcie łączność radiową z majorem Grigoriewem lub kapitanem Dowżenko.

Władimir Grigoriew dowodził specjalną brygadą NKWD, którą 21 listopada 1943 roku samolotem transportowym przerzucono do irańskiej stolicy z zadaniem udaremnienia planów nazistów i zlikwidowania ekspedycji dowodzonej przez pułkownika von Ortla.

Do niezwykłych wydarzeń w Teheranie doszło 26 listopada 1943 roku, na dzień przed przyjazdem „Wielkiej Trójki". Jeden za drugim znikali mieszkający tam Niemcy. W ciągu nocy w różnych dzielnicach miasta znienacka doszło do wielkiej strzelaniny z karabinów maszynowych. Czasami ciszę mącił tylko pojedynczy strzał z pistoletu. Muzułmanie, zaniepokojeni, kręcili siwe brody. Teheran stał się niebezpiecznym miastem.

W jednym z budynków na ulicy prowadzącej na lotnisko policja irańska odkryła zwłoki dwóch młodych ludzi nie znanej narodowości, ale żaden z Irańczyków nie zainteresował się tym specjalnie. Na ciałach ich zauważono tylko dziwne znaki pod pachą lewej ręki. Policjanci teherańscy nie wiedzieli, że określają one grupę krwi, a tatuowano je tylko na skórze oficerów SS.

Oddział majora Grigoriewa 26 listopada urządził niemieckiej siatce wywiadowczej „noc św. Bartłomieja". Zniszczono dziewięć zasadzek wzdłuż ulicy, którą następnego dnia mieli przejeżdżać liderzy antyhitlerowskiej koalicji, a niektórych szpiegów zaskoczono w czasie snu.

Zwłoki nie znanych nazistów szybko przewieziono radzieckimi samolotami do Moskwy. Pewne źródła wskazują, że trzy dni później do radzieckiej stolicy przyjechał również Kuzniecow i wśród innych ciał rozpoznał podziurawione zwłoki pułkownika SS, Paula von Ortla, wielkiej nadziei führera.

Według innej wersji, Kuzniecowowi dostarczono samolotem do oddziału fotografię zwłok i na tej podstawie zidentyfikował ciało swego „przyjaciela".

Dokumenty ze skonfiskowanych archiwów gestapo potwierdzają, że pułkownik von Ortel dowodził operacją „Daleki skok" i stracił życie w czasie niespodziewanego napadu specjalnego oddziału majora Władimira Grigoriewa.

Otto Skorzenny po wojnie znalazł schronienie we frankistowskiej Hiszpanii. W rozmowie z korespondentem paryskiej gazety „L'Express", przeprowadzonej w 1964 roku, oświadczył: „(...) ze wszystkich zabawnych opowieści krążących o mnie, najzabawniejsza jest ta, którą napisali historycy. Oni twierdzą, że ja, ze swoją ekipą, chciałem porwać Roosevelta w czasie konferencji w Jałcie. To zwykła bzdura. Powiem panu prawdę: Hitler rzeczywiście rozkazał mi porwać Roosevelta, ale podczas poprzedniej konferencji, tej, która się odbyła w Teheranie. Ale cóż! Z różnych powodów operacja nie została przeprowadzona skutecznie".

Na procesie faszystowskich zbrodniarzy wojennych w Norymberdze szef sztabu dowodzenia w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu, generał Alfred Jodl, oznajmił, że począwszy od lata 1942 roku „Sowieci wiedzieli o wszystkich przyszłych wielkich operacjach Wehrmachtu i niemieckiego wywiadu". Feldmarszałek Keitel na tym samym procesie powiedział, że „Hitlera ogarniało szaleństwo i panika, ponieważ Rosjanie z łatwością docierali do pilnie strzeżonych tajemnic wojskowych, takich jak operacja «Cytadela» i operacja «Daleki skok»".

Przywódcy Trzeciej Rzeszy podejrzewali zdradę w najwyższym kierownictwie Wehrmachtu, Abwehry lub gestapo. W tajnych dokumentach niemieckiego wywiadu człowiek, który odkrył plan bitwy pod Kurskiem i przygotowania do zamachu w Teheranie, zlikwidował i porwał wielu niemieckich dygnitarzy i generałów, figurował jako „Wróg nr 1 Trzeciej Rzeszy". W tym czasie mało kto wiedział, że najważniejsze dane o planowanym zamachu na sze-

fów koalicji antyhitlerowskiej dotarły z dalekich lasów w okolicy Równego, gdzie na tyłach nieprzyjaciela działał agent Nikołaj Kuzniecow.

Jak „Wielka Trójka" przyjęła wiadomość o przygotowywaniu zamachu i w jakim stopniu wpłynęło to na jej pracę i charakter konferencji teherańskiej?

Olbrzymi samolot C-54 z prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Franklinem Rooseveltem, powracającym z konferencji kairskiej (22—26 XI), wylądował 27 listopada na teherańskim lotnisku, które ubezpieczał cały pułk radzieckiego wojska. Zmęczony, i już wtedy śmiertelnie chory, prezydent pojechał do ambasady amerykańskiej oddalonej o dwa kilometry od miasta. Z Rooseveltem podróżowali jego doradcy i grupa najwybitniejszych amerykańskich generałów.

Na krótko przed nim do Teheranu przybyli Józef Stalin i Winston Churchill w towarzystwie swoich ministrów, doradców, marszałków i generałów.

Następnego ranka, w niedzielę 28 listopada, do pokoju Roosevelta wszedł podniecony William Averell Harriman, ambasador amerykański w Moskwie, w towarzystwie dowódcy ochrony prezydenta, Michaela Reilly'ego.

Harriman poinformował prezydenta, że Rosjanie właśnie powiadomili go, iż miasto pełne jest agentów niemieckich. Akcje podjęte przeciwko nim były bardzo efektywne, lecz może dojść do „nieprzyjemnych incydentów, a nawet do tego najgorszego" (Harriman celowo unikał słów „zamach" czy „porwanie").

— Rosjanie proponują panu przeprowadzenie się do ich ambasady, gdzie gwarantują panu całkowite bezpieczeństwo — zakończył swój raport Harriman.

— A co pan powie, Michael? — Roosevelt zwrócił się do dowódcy swej ochrony.

Zasępiony Reilly zgodził się, że trzeba przyjąć sugestię Rosjan.

Po południu prezydent i jego najbliżsi współpracownicy przenieśli się do ambasady radzieckiej w centrum Teheranu. Pozostałe osoby ze świty prezydenta zamieszkały w Camp-Park, gdzie znajdował się sztab amerykańskich jednostek stacjonujących w rejonie Zatoki Perskiej.

Ambasada brytyjska, w której mieszkał Winston Churchill, znajdowała się w pobliżu radzieckiej i ją także zabezpieczały jednostki Armii Czerwonej.

Konferencja teherańska trwała cztery dni. Podjęto na niej szczególne decyzje w sprawie dalszego prowadzenia wojny przeciwko Niemcom, Japonii i ich satelitom.

Mniej więcej w miesiąc po spotkaniu w Teheranie do lasów pod Równem dotarła z opóźnieniem prasa moskiewska. Pułkownik Miedwiediew z zadowoleniem pokazał Nikołajowi Kuzniecowowi „Prawdę" z 19 grudnia 1943 roku. Na pierwszej stronie opublikowano wyjątkowo ważne oświadczenie:

„Londyn, 17 grudnia (TASS).

Korespondent agencji Reutera z Waszyngtonu podaje, że prezydent Roosevelt zwołał konferencję prasową. Prezydent poinformował, że podczas konferencji teherańskiej mieszkał w radzieckiej, a nie amerykańskiej ambasadzie. Marszałek Stalin ostrzegł go bowiem przed niemieckim spiskiem.

Stalin powiedział prezydentowi, że może dojść do zamachu na życie wszystkich uczestników konferencji i poprosił go o przeniesienie się do ambasady radzieckiej, by uniknąć przejazdów przez miasto. Stalin oznajmił, że w Teheranie i okolicy znajdują się prawdopodobnie setki niemieckich szpiegów. «Dla Niemców byłoby bardzo korzystne, gdyby mogli policzyć się z marszałkiem Stalinem, Churchillem i ze mną w chwili, kiedy przejeżdżalibyśmy przez teherańskie ulice» — powiedział prezydent".

Roosevelt i Churchill poprosili Stalina, żeby przekazał wyrazy ich wyjątkowej wdzięczności radzieckim wywiadowcom, którzy pomogli wykryć i udaremnić niemiecki spisek.

— Maja Mikota nie dostanie perskich dywanów — śmiejąc się skomentował Kuzniecow wiadomość agencji Reutera.

Za odkrycie planów zamachu na Stalina, Roosevelta i Churchilla Prezydium Rady Najwyższej ZSRR 26 grudnia 1943 roku odznaczyło Nikołaja Kuzniecowa Orderem Lenina.

W biały dzień

20 kwietnia 1943 roku w Równem Wala Dowger i Nikołaj Kuzniecow widzieli generała Hermanna Knutha, jak z trybuny honorowej oglądał paradę na cześć urodzin Adolfa Hitlera. Był ważną osobistością — dowodził Paketauktion, a jego główną specjalnością był rabunek.

Sam generał wielokrotnie kierował swoją uwagę na magazyny Paketauktion. Każdej rzeczy, która mu się podobała, dotykał palcem. Jego pomocnicy dobrze wiedzieli, co znaczy gest ich chciwego dowódcy. Wskazane przedmioty przekazywano do jego prywatnego magazynu.

Zarząd Paketauktion znajdował się na ulicy Legionów, niedaleko dworca kolejowego. 10 listopada 1943 roku o godzinie 17 czarny opel zatrzymał się blisko kancelarii generała Hermanna Knutha. Nikołaj Kuzniecow, Holender Robert Glass, komsomolec Iwan Korycki i Nikołaj Strutyński, wszyscy w niemieckich mundurach, wyciągnęli karabiny maszynowe.

Nie czekali długo. Dokładnie o godzinie 18 Knuth wyszedł ze swego biura. Korycki otworzył drzwi opla i poczekał, aż pojazd generała zbliży się do nich. On i Kuzniecow wygarnęli serię z karabinów maszynowych, a Robert Glass precyzyjnie rzucił granat. W roztrzaskanym szarym mercedesie były trzy zmasakrowane trupy — Hermanna Knutha, jego adiutanta i szofera. W czasie napadu na Knutha Paul Siebert nosił nowe, wyższe szlify hauptmanna, gdyż po zamachu na Dargla Niemcy wszędzie szukali tajemniczego oberleutnanta.

Kilka minut po zamachu w całym mieście zaczęły wyć syreny. Niemieckie patrole rzuciły się w pościg we wszystkich kierunkach. Ulice były pełne wojska.

Przed sztabem generała Kitzingera opla z grupą hauptmanna zatrzymała straż.

— *Halt!* Dokumenty proszę!

Siebert podał dokumenty swoje i samochodu. Zostali przepuszczeni, ale gdy dotarli do nowego rejonu (gestapo podzieliło Równe na kilka rejonów), znów ich zatrzymano.

— *Halt!* Proszę dokumenty!

— Ależ w tej chwili byliśmy sprawdzani!

— Panie hauptmannie, proszę się nie niepokoić. Dzisiaj kontrole będą na każdym kroku. Gonimy bandytów ubranych w niemieckie mundury, którzy zabili generała Knutha — cicho wyjaśnił policjant i zwróciwszy dokumenty Kuzniecowowi, dodał: — Proszę jechać.

— Złapią nas — pokręcił głową Kuzniecow. — Kola, skręć w pierwszą poprzeczną ulicę i zatrzymaj się przed skrzyżowaniem.

— Tylko nie tam — zaniepokoił się Strutyński — na skrzyżowaniu na pewno jest kontrola, będą podejrzewać...

— Nie sądzę, żeby zdążyli przed nami. Stań i o nic się nie martw.

Strutyński skręcił w prawo, zatrzymał się i wysiadł z opla.

— Wy trzej obserwujcie ulicę, a ja będę „pomagać" Niemcom! — pospiesznie rzucił Kuzniecow.

Kilka minut później zatrzymał nadjeżdżający pojazd.

— *Halt!* Proszę dokumenty!

Sprawdził i przepuścił jadących. Potem zobaczył drugi samochód. Podniół rękę. Samochód zatrzymał się.

— Panie hauptmannie, byliśmy już trzy razy kontrolowani! Co to wszystko znaczy? Dlaczego wyją syreny? Czyżby Rosjanie wdarli się do miasta? — zapytał któryś z pasażerów.

— Proszę wybaczyć, lecz dzisiaj kontrole będą na każdym kroku. Gonimy rosyjskich bandytów w niemieckich mundurach.

Nadjeżdżał trzeci samochód. Czarny mercedes, nabity gestapowcami, pędził na sygnale. Szofer gestem poprosił Kuzniecowa, żeby ich nie zatrzymywał, lecz hauptmann energicznym ruchem nakazał kierowcy zatrzymać się.

— *Halt!* Proszę dokumenty! — powiedział Kuzniecow poważnym tonem.

— Proszę się nie obawiać — odparł oficer w czarnym mundurze, pokazując gestapowską odznakę. — My także polujemy na bandytów w niemieckich mundurach.

I uśmiechnął się zjadliwie:

— Ze strachu braciszek nawet swoich nie poznaje. Jedziemy dalej!

Przez dwie godziny Kuzniecow sprawdzał dokumenty, dopóki mu Kola Strutyński nie powiedział, że z innych ulic zdjęto już patrole. Tymczasem Niemcy zablokowali miasto.

— Jedź do bazy konspiracyjnej. Tu się rozchodzimy. Ja idę do Lisowskiej. Dwudniowa przerwa — powiedział Kuzniecow.

Doradcę Hitlera do spraw finansowych, wiceministra Hella, faszyści pochowali z pompą, z wieńcami i przemówieniami. Zamach na generała Dargla wzmógł podejrzenia i niepokój, wywołał wrzawę. Po śmierci Knutha gazety nie napisły ani słowa. Niemcy postanowili milczeć, ponieważ sami w końcu doszli do wniosku, że poważnie zachwialiby swój autorytet i prestiż. Bo cóż to za „niezwyciężona potęga", której ministrów i generałów w biały dzień zabijają jacyś „bandyci i dywersanci pokonanej Armii Czerwonej?"

Tym razem wrzawę i groźby zastąpiła zmowa milczenia.

Śmierć „Mistrza Śmierci"

Hrabina Lidia Lisowska miała nowego wielbiciela. Był nim generał von Ilgen, dowódca wojsk specjalnych, w których skład wchodziła również dywizja ROA — Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii, jak pompatycznie nazywali siebie nacjonaliści-własowcy.

Oddziały Wschodnie Maxa von Ilgena składały się z niemieckich dywizji oraz wyspecjalizowanych i pomocniczych jednostek. Ich zadaniem było zabezpieczanie okupowanych ziem od Bałtyku do Morza Czarnego, przeciwdziałanie ewentualnemu desantowi Armii Czerwonej, walka z partyzantami na Ukrainie, Białorusi, w centralnej i południowej części ZSRR, w republikach nadbałtyckich i w Mołdawii. Sztab generała von Ilgena znajdował się w Równem.

Generał, człowiek w średnim wieku, postawny, rzeczowy, odsunął wszystkich adoratorów Lidii. Nie interesowały go przypadkowe romantyczne schadzki. Młoda Polka oczarowała go urodą, arystokratycznym pochodzeniem i doskonałymi manierami. Von Ilgen złożył Lidii wielce pochlebną ofertę. Zaproponował jej, by zrezygnowała z nieodpowiedniej dla młodej kobiety funkcji szefowej sali w restauracji hotelu „Deutschehof" i została gospodynią w jego rezydencji.

Zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że życzenie generała podzielali także szefowie gestapo w Równem, którzy nie wierzyli nikomu, nawet generałom Wehrmachtu. Lidia była ich współpracownicą i w interesie służby bezpieczeństwa leżało ulokowanie jej możliwie blisko dowódcy Oddziałów Wschodnich.

Był to jedyny przypadek, kiedy całkowicie pokryły się interesy i życzenia dowódcy wojsk specjalnych, niemieckiej służby bezpieczeństwa i radzieckiego wywiadu.

Max von Ilgen mieszkał na ulicy Młynarskiej 3. Spotkania służbowe, w wąskim kręgu swoich podwładnych, zwykł urządzać w domu. Odwiedzali go również goście wysokiej rangi. W listopadzie 1943 roku, po ważnej naradzie na temat walki z partyzantami, von

Ilgen zaprosił na kolację feldmarszałków Keitla i von Mansteina i generałów Jodla, Prützmana, Pieppera, Kernera i Bacha-Zelewskiego. Honory pani domu robiła Lidia Lisowska.

Pani Lela swoim wyglądem, zachowaniem i manierami ujmowała ważnych gości. Śpiewała z nimi stare niemieckie piosenki, zatańczyła walca z generałem Jodlem przy fortepianowym akompaniamencie feldmarszałka Keitla, z humorem opowiadała najnowsze dowcipy, flirtowała z feldmarszałkiem von Mansteinem i wznosiła toasty za jego przyszłe zwycięstwa.

Tego wieczoru wyniosły Wilhelm Keitel zapomniał o kłopotach Trzeciej Rzeszy i tarapatach swoich oddziałów, był odprężony, rozczulony, wpadł w uniesienie i wlewał w siebie, kieliszek za kieliszkiem szampana. Von Ilgen promieniał. Doskonały nastrój najwyższych dowódców Wehrmachtu, radosna, swobodna atmosfera spotkania, a także zachwyt, jaki budziła pani Lela, czyniły go bezgranicznie szczęśliwym.

— Pana najbłyskotliwszym zwycięstwem w tej wojnie jest zdobycie *frau* Leli, której doskonałej twarzy nie byłby w stanie wyrzeźbić nawet wielki Michał Anioł! — zwrócił się von Manstein do von Ilgena w patetycznym stylu właściwym nazistowskim dowódcom wojskowym.

— Od urodzin führera nie bawiłem się tak słodko! *Frau* Lela jest rzeczywiście wspaniałą kreatorką duchowych przeżyć — zdejmując monokl powiedział Keitel.

Von Ilgen nie powiedział Lidii, że na bankiet zaprosił „śmietankę" Wehrmachtu, nie mogła więc powiadomić Kuzniecowa o gościach swojego protektora. Tego wieczoru wszystkie dojazdy do ulicy Młynarskiej były zablokowane, a generalskie spotkanie ubezpieczał cały batalion wojska w czarnych mundurach.

Do Moskwy już następnego dnia zaczęły docierać interesujące wiadomości o rozmowach toczonych w mieszkaniu von Ilgena i o „żołnierskim słowie honoru", jakie generał Prützman dał Keitlowi zapewniając, że do końca roku zlikwiduje ruch partyzancki na Ukrainie i Białorusi.

Miedwiediew i Kuzniecow dobrze wiedzieli, że jedną z najważniejszych instytucji w Równem był sztab polizeiführera Ukrainy i obergruppenführera SS, Hansa Adolfa Prützmana. Tego samego, którego Hitler w ostatnich miesiącach wojny mianował dowódcą

Werwolfu — podziemnej organizacji nazistowskiej, prowadzącej działalność terrorystyczną na tyłach frontu radzieckiego.

Okrutny polizeiführer Ukrainy stale mieszkał w Berlinie, a do Równego zaglądał tylko od czasu do czasu w towarzystwie licznej świty. Radzieccy agenci nie spuszczali oka z mieszkania generała Prützmana. Dzięki Wali Dowger i Lidii Lisowskiej dowiedzieli się, że w początkach listopada odbyła się u niego narada, o której wyjątkowym znaczeniu świadczyła obecność Keitla, Jodla, von Mansteina, Kitzingera, jego zastępcy, generała Moltzera, von Ilgena i człowieka nowego w Równem, generała Pieppera. Prowadził on wiele ekspedycji karnych w okupowanych państwach europejskich. Z powodu bestialstwa i okrucieństwa nazwano go „Mistrzem Śmierci" (*Meister der Tod*).

Na naradzie w mieszkaniu generała Pützmana była jeszcze jedna znacząca osobistość: obergruppenführer SS, Erich von Bach-Zelewski, który specjalnie przybył z Berlina.

Kilka dni później u generała odbyła się kolejna narada, tym razem bez Keitla, von Mansteina i Jodla, ponieważ dyskutowano o wprowadzeniu w życie już przyjętych postanowień ogólnych.

— Panowie generałowie — zaczął basem von Ilgen — nasze okryte sławą bohaterskie wojska wprowadzają właśnie w pewnych sektorach poprawki linii frontu według rozkazu führera. Dlatego w tej chwili szczególne znaczenie ma silne i pewne zaplecze frontu wschodniego. Niestety, na tym zapleczu działają teraz aktywnie bandyci, partyzanci, powodując poważne trudności na froncie. Przed trzema dniami führer osobiście rozkazał nam pilnie zlikwidować i sparaliżować aktywność wszystkich partyzanckich oddziałów na Ukrainie i Białorusi. Wobec tego szczególnie aktualna staje się dyrektywa feldmarszałka Keitla „O walce z bandytami", zobowiązująca nasze wojska, by zastosowały wszystkie możliwe środki, także w stosunku do kobiet i dzieci. Panowie generałowie, szczególną uwagę należy zwrócić na jedną ważną sprawę. Otóż niektórzy nasi oficerowie, niedostatecznie licząc się z moralnością i pochodzeniem kobiet, z którymi wchodzą w bliższe stosunki, stają się ofiarami bolszewickich bandytów. Takich nieszczęsnych przykładów jest coraz więcej. Wczoraj otrzymaliśmy wiadomość z Łucka, że pewnego majora z komendy miasta już od dłuższego czasu uwodziła dziewczyna niearyjskiego pochodzenia i w końcu został on porwany.

Von Ilgen zapowiedział szybkie, energiczne i bezlitosne działanie. Walka przeciwko partyzantom na Ukrainie rozpocznie się od niszczenia oddziałów partyzanckich w lasach wołyńskich i równieńskich. Począwszy od 8 listopada ekspedycjami karnymi przeciwko partyzantom dowodzić będą generałowie Bach-Zelewski i Piepper.

Lidia Lisowska, na żądanie von Ilgena, kilka razy wchodziła do pokoju, gdzie odbywało się spotkanie, częstując gości kawą, sokami i alkoholem. Lidia chciała jak najszybciej powiadomić Kuzniecowa lub Hnediuka o nowym niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad partyzantami, lecz czuła, że jest pod stałą obserwacją i przez pewien czas w ogóle nie wychodziła z domu.

Kilka dni później Szewczuk zupełnie przypadkiem dowiedział się od swoich przyjaciół z policji, że w pierwszej dekadzie listopada gestapo przeprowadziło w Równem pedantyczną i rozległą kontrolę wszystkich swoich współpracowników: Polaków, Ukraińców i Rosjan. Intuicja Lidii Lisowskiej i tym razem nie zawiodła. O niemieckiej operacji przeciwko partyzantom, nazwanej kryptonimem „Polowanie na niedźwiedzia", dowiedziała się, na szczęście, również Walentyna Dowger. Powiadomiła Kuzniecowa. Źródłem informacji był jej szef, wielki gaduła, doktor Kriegel.

— Wkrótce będzie pani miała zasłużoną satysfakcję za zabicie pani ojca. O północy 8 listopada wyrusza wielka ekspedycja karna, żeby oczyścić z bandytów pobliskie lasy. Tym razem musi się powieść. Ekspedycją będą dowodzili osobiście generałowie Bach-Zelewski i Piepper.

Doktor Kriegel okazywał Wali szczególne zaufanie, bo wiedział, że w Reichskomisariacie zatrudnił ją osobiście gauleiter Koch.

Wielka niemiecka akcja przeciwko partyzantom zaczęła się jednocześnie w lasach wokół Równego, Żytomierza, Zdołbunowa, Winnicy i Lwowa. Już o świcie 8 listopada do ataku ruszyły trzy wyspecjalizowane dywizje, a w ciągu następnych dwóch dni dołączyły do nich nowe jednostki, tak że już około 11 listopada w ofensywie uczestniczyło dziewięć niemieckich dywizji. Oddziały partyzanckie pod dowództwem Sidora Kowpaka zręcznymi manewrami unikały frontalnego starcia z silnym ugrupowaniem generała Bacha-Zelewskiego i stopniowo niszczyły niemiecką ekspedycję zwodniczymi posunięciami i niespodziewanymi atakami. W ciągu pierwszych dziesięciu dni jednostki Bacha-Zelewskiego nie miały żadnego więk-

szego starcia z partyzantami. Znękane, rozbite, w poczuciu klęski zaczęły palić wioski, których mieszkańcy na czas schronili się w lesie. Gdy Niemcy myśleli, że partyzanci zostali przepędzeni z tego terenu, zdarzyło się coś nieoczekiwanego: trzy rozciągnięte dywizje generała Bacha-Zelewskiego znalazły się w zwartym okrążeniu. Oddziałom Kowpaka przybyły na pomoc liczne partyzanckie jednostki generała Aleksandra Saburowa i błyskawicznie rozgromiły niemiecką ekspedycję karną. Główne starcie miało miejsce nocą, kiedy niemożliwa była interwencja Luftwaffe, a przestraszonych i zmarzniętych żołnierzy niemieckich, często bez butów i szyneli, partyzanci przez wiele jeszcze dni znajdowali ukrytych w leśnej gęstwinie. Sam dowódca ekspedycji uratował się niechlubnie: dwóch nacjonalistów z okolic Żytomierza przeprowadziło go w tajemnicy górską ścieżką do najbliższego niemieckiego garnizonu.

Gorszy jeszcze los spotkał „Mistrza Śmierci", generała Pieppera. Jego zadaniem było rozbicie i zniszczenie wywiadowczego oddziału „Zwycięzcy". Piepper zaangażował do walki 14 dywizję grenadierów SS „Galizien", 1 i 2 berliński pułk policyjny, 2 brygadę pościgową SS pod dowództwem „przyjaciela" Sieberta, pułkownika Dirlewangera, jak również pułk lotniczy stacjonujący w Równem.

Faszyści użyli czołgów, artylerii i lotnictwa. Była to jedna z najcięższych bitew, jaką do tej pory stoczył oddział pułkownika Miedwiediewa. Tu również partyzanci zastosowali taktykę unikania starć bezpośrednich, żeby potem szybkimi napadami zaskakiwać pojedyncze oddziały ekspedycji karnej. W południe, 14 listopada, na pomoc przybyło im radzieckie lotnictwo, które całkowicie sparaliżowało nie zamaskowaną niemiecką artylerię.

Organizując ofensywę, generał von Ilgen nie spodziewał się ataku z powietrza, dlatego ekspedycja karna nie dysponowała ochroną przeciwlotniczą. Tuż po ataku radzieckiego lotnictwa oddział Miedwiediewa, wzmocniony jednostkami generała Saburowa, zaczął systematycznie niszczyć oddziały generała Pieppera.

Uczestnicy tych wydarzeń: Miedwiediew, Łukin, Cesarski, Sarnow i inni, jak również historycy opisujący później szczegółowo ruch partyzancki na Ukrainie mówią, że walka ta została zanotowana w historii Wielkiej Wojny Narodowej jako wyjątkowa. Nigdy wcześniej ani później nie zdarzyło się, żeby oddział złożony z ośmiuset ludzi zmiażdżył wyspecjalizowane oddziały niemieckie w

sile dwóch dywizji. Hitlerowcy zostali rozbici. Uciekali, zostawiając sprzęt wojskowy, zabitych i rannych. Generał Piepper został ciężko ranny i wzięty do niewoli. Zdobyto ogromną ilość dział artyleryjskich, karabinów maszynowych, pistoletów, amunicji i innego sprzętu wojskowego.

Aby uniknąć kolejnej bitwy z jeszcze potężniejszymi siłami przeciwnika, oddział zmienił miejsce pobytu.

Kuzniecow każdego dnia precyzyjnie informował „Centrum", ono zaś oddział Miedwiediewa, o wszystkich rozkazach i planach, jakie otrzymywał generał Piepper w ciągu trwania akcji, oraz o zamiarach, o których szef ekspedycji karnej powiadamiał von Ilgena. Do dzisiaj nie ustalono dokładnie, w jaki sposób wywiadowca docierał do tych danych. Zapewne zdobywał je osobiście od niemieckich oficerów lub przekazywały je siostry Lisowska i Mikota poprzez generała von Ilgena. Czy tak rzeczywiście było, pozostanie nie rozwikłaną tajemnicą.

Po klęsce Niemców, „Centrum" postanowiło przedsięwziąć kilka akcji w Równem.

Należało za wszelką cenę dotrzeć do niemieckich planów angażowania Oddziałów Wschodnich generała von Ilgena w spodziewanej niemieckiej kampanii przeciwko Armii Czerwonej i oddziałom partyzanckim. Pierwszorzędne znaczenie miało przede wszystkim szczegółowe poznanie treści rozmów toczonych w Równem przez Keitla, von Mansteina i Jodla, jak również instrukcji i planów będących ich wynikiem.

Propozycja Kuzniecowa, by porwać generała von Ilgena wywołała w Moskwie duże zdziwienie. Ale, zdaniem Kuzniecowa, porwanie dowódcy Ostentruppen było pewniejsze, niż zdobycie papierów ukrytych w grubych sejfach sztabów niemieckich.

„Centrum" nie zaakceptowało tak ryzykownego przedsięwzięcia, lecz Graczow był uparty i w ostatniej chwili prawie wymusił zmianę stanowiska. Plan porwania, wysłany drogą radiową do Moskwy, został raczej przyjęty do wiadomości niż potraktowany poważnie, ponieważ zakładano, że Kuzniecow odstąpi od niego z przyczyn obiektywnych.

Kuzniecow założył, że w porwaniu, prócz niego, będą brali udział: Lidia Lisowska, Nikołaj Strutyński, Jan Kamiński i Mieczysław Stefański.

Porwanie

Mieczysław Stefański był nowym człowiekiem w grupie Kuzniecowa. We wrześniu 1939 roku, jako polski oficer, został przez Niemców wzięty do niewoli i wysłany do obozu. Szybko jednak uciekł stamtąd i przedostał się na tereny radzieckie, gdzie na ochotnika wstąpił w szeregi Armii Czerwonej. Wtedy zaproponowano mu współpracę z radzieckim wywiadem i wysłano go do Polski. Dano mu hasło kontaktowe: „Gość z Warszawy".

Przez cały czerwiec 1941 roku Stefański informował „Centrum" o koncentracji niemieckich oddziałów na granicy Związku Radzieckiego i o ściąganiu wielkich rezerw broni i paliwa do lasów w pobliżu granicy.

Wieczorem 21 czerwca 1941 roku Stefański dowiedział się, że żołnierzom niemieckim odczytano rozkaz ataku na Związek Radziecki o świcie następnego dnia. Ponieważ w tym momencie nie miał możliwości przekazania tej informacji do „Centrum", postanowił przepłynąć graniczną rzekę Bug i powiadomić radzieckie dowództwo, że zbliża się katastrofa. Jednak wzdłuż całej rzeki, co dwadzieścia metrów, stały podwojone niemieckie straże. Stefański z dużym wysiłkiem przeczołgał się pod drutem kolczastym i aż do północy leżał ukryty w zaroślach. Następnie podkradł się i zanurzył w wodzie. Straże zauważyły go i ostrzelały. Ale ciemność umożliwiła Stefańskiemu dopłynięcie do przeciwnego brzegu Bugu.

— „Gość z Warszawy" — powiedział straży granicznej, która powitała go odbezpieczonymi karabinami.

Godzinę lub dwie później przepłynął Bug niemiecki żołnierz, komunista, i przyniósł taką samą wiadomość. Postanowiono natychmiast zawiadomić Stalina.

Wszystko dalej potoczyło się szybko, lecz niedostatecznie zdecydowanie. Sztab Generalny dał znać jednostkom granicznym, że możliwy jest napad o świcie 22 czerwca. Ogromna przestrzeń i skuteczne działanie niemieckiej siatki szpiegowskiej w rejonach przygranicznych sprawiły jednak, że wiele radzieckich jednostek do

chwili ataku nie otrzymało rozkazu Sztabu Generalnego. Niemieccy szpiedzy około północy zdołali przeciąć kable telefoniczne i silnymi aparatami zagłuszali i przeszkadzali w połączeniach radiowych, uniemożliwiając normalne komunikowanie się wielu radzieckim jednostkom. Te właśnie jednostki miały największe straty przy pierwszym niemieckim uderzeniu.

Wielką zasługą Mieczysława Stefańskiego jest to, że swoim ostrzeżeniem uratował życie tysiącom radzieckich żołnierzy z tych jednostek, które na kilka godzin wcześniej zostały powiadomione o inwazji Wehrmachtu. Uprzedzone i przygotowane stawiły czoło pierwszemu atakowi. Za te i inne zasługi Stefański został odznaczony Orderem Lenina.

Polskiego komunistę skierowano później na tyły niemieckie i pojawił się w Równem jako polski kolaborant, urzędnik komendy miasta. Przez długi czas samodzielnie wykonywał poufne zadania, a w listopadzie 1943 roku „Centrum" postanowiło powiązać go z grupą Kuzniecowa.

Rankiem 15 listopada Stefański spotkał się w swoim mieszkaniu z Kuzniecowem, Strutyńskim i Kamińskim. Rozważano ostatnie szczegóły śmiałej operacji.

Kuzniecow zlecił Wali Dowger, Lidii Lisowskiej i Mai Mikocie przygotowanie szczegółowego opisu trybu życia generała von Ilgena, jego rozkładu dnia, marszruty, przyzwyczajeń.

Dowódca Oddziałów Wschodnich lubił, tak jak generał Dargel, jeść obiad w domu — sam lub w towarzystwie gospodyni, Lidii Lisowskiej. W tym czasie w mieszkaniu znajdowali się dwaj adiutanci von Ilgena i ordynansi.

Do godziny 18 wartę przed domem pełnił jeden, a w nocy trzech strażników. Z rozpoznania wynikało, że najwłaściwsze będzie przeprowadzenie operacji najpóźniej do godziny 18. Kuzniecow postanowił, że stanie się to między godziną 13 a 14, kiedy zazwyczaj generał jadł obiad.

Właśnie w tym czasie do Niemiec wyjechali obaj adiutanci generała, ordynansi i czterech żołnierzy z jego domowej ochrony, co było sprzyjającą okolicznością. Zawieźli oni do rodziny von Ilgena zrabowane bogactwa zapakowane w dwudziestu walizkach. Dwie walizki z kosztownościami stanowiły „prezent osobisty" dla feldmarszałka Keitla. Nadchodziły ciężkie czasy i dowódca Ostentrup-

pen chciał czym prędzej wysłać w bezpieczniejsze miejsce zrabowany majątek.

Zamiast nieobecnych, generał tymczasowo wziął służbę z własowskiej dywizji ROA i dwóch podoficerów volksdeutschów, których pochodzenie było raczej podejrzane. I jeden, i drugi po ojcu byli Ukraińcami, lecz ich matki były pół-Niemkami. Wykorzystawszy znajomość języka i inne okoliczności, zdołali wykazać się jako „stuprocentowi Niemcy", a z czasem dorobili się stopni podoficerskich.

Von Ilgen był w tych dniach w dobrym nastroju. Feldmarszałek Wilhelm Keitel obiecał mu nadzwyczajny awans do stopnia generała-pułkownika. Von Ilgen obsypywał Lidię i jej siostrę drogocennymi prezentami. Dowiedziawszy się, że przed wojną Lidia była dżokejką, kupił jej konia, który został sprowadzony ze słynnej stajni w Lipizzy koło Triestu. Nie zapomniał też o Mai — z Rygi sprowadzono rodowodowego cocker-spaniela o czarnej jedwabistej sierści. Generał przygotowywał decydujący atak na „nie zdobytą dotąd twierdzę", jak mówił o Lidii.

— Trzeba zmniejszyć służbę. Czuję, że jest zbędna — mówił Lidii w ostatnich dniach.

Hrabina ze zrozumieniem potwierdzała, że taki krok jest uzasadniony i logiczny, chociaż bardzo dobrze wiedziała, do czego generał zmierza.

Lidia powiadomiła Kuzniecowa, że między 13 a 17 listopada, podczas obiadów, w domu będzie tylko ona i jeden z podoficerów volksdeutschów, a na warcie — żołnierz ROA.

Kuzniecow postanowił dokonać porwania 15 listopada. Dokładnie o godzinie 12, on, Strutyński, Stefański i Kamiński wsiedli do długiego, szarego adlera, poprzedniego dnia zręcznie przemalowanego przez doświadczonych fachowców, Wasilija Burima i Grigorija Ponomarienkę. Nowy kolor wcale nie rzucał się w oczy. Auto „wypożyczono" z garażów Gebietskomisariatu.

Ulicą Młynarską rzadko chodzili cywile. Mieszkali tutaj, podobnie jak na Schlosstrasse, niemieccy generałowie i oficerowie.

Biała, jednopiętrowa willa, w której mieszkał von Ilgen, otoczona była małym ogrodem. Pod oknami osowiały strażnik odmierzał kroki, czekając na zmianę. Gdy tylko zobaczył samochód z oficerami w niemieckich mundurach, stanął na baczność.

Kuzniecow nie zwracał uwagi na strażnika, lecz kątem oka popatrzył na okno w rogu domu. Zasłona była opuszczona. To był sygnał. Lidia dawała mu do zrozumienia, że operacja musi być z jakiegoś powodu odłożona.

— Jedź prosto — przez zęby powiedział Kuzniecow do Strutyńskiego.

Przed małym skrzyżowaniem na ulicy Kopernika Strutyński zatrzymał samochód, podniósł maskę i zaczął dłubać przy silniku. Było to umówione miejsce na spotkanie z Mają Mikotą, jeśli wyniknąłby jakiś problem.

— Nie martwcie się, nic się nie stało — powiedziała Maja przechodząc. — Generał dzwonił, że zatrzyma się w sztabie, ale na pewno przyjdzie do 16.30. Wszystko aktualne.

Dokładnie o tej godzinie adler znów zatrzymał się na ulicy Młynarskiej. Tym razem zasłona w ostatnim oknie była podniesiona do samej góry. To oznaczało, że wszystko jest w porządku i operacja może się zacząć. Wywiadowcom sprzyjało szczęście. Zaledwie dwie—trzy minuty wcześniej na schodach sąsiedniego budynku pojawił się generał Kerner, zastępca von Ilgena. Spotkanie z nim mogło przeszkodzić operacji.

— Czy generał jest w domu? — niby mimochodem zapytał Kuzniecow strażnika znieruchomiałego w postawie na baczność.

— Panie oficerze, słabo rozumiem niemiecki...

— Przybywam z Żytomierza (mieścił się tam sztab Himmlera — przyp. aut.). Przywożę pilną wiadomość dla generała von Ilgena. — Hauptmann, nie czekając na pozwolenie strażnika, ruszył ku drzwiom w towarzystwie dwóch oficerów i żołnierza.

Strutyński nie zgasił silnika, by później nie tracić ani sekundy na zapalanie. Pozostawił też otwarte wszystkie drzwi auta.

W holu willi naprzeciw nieznanemu hauptmannowi wyszedł volksdeutsch Miasnikow.

— Panie hauptmannie, jego ekscelencji nie ma w domu. Chce pan na niego zaczekać czy zostawi pan wiadomość? — spytał.

Skamieniał, ujrzawszy wycelowaną lufę „waltera".

— Ani słowa! — rozkazał Kuzniecow po rosyjsku. — Jestem radzieckim partyzantem, jasne? Jeśli chcesz uratować głowę — pomagaj. Jeśli nie — wydajesz na siebie wyrok śmierci! Jasne?!

— Jasne! Jasne! Proszę rozkazywać, panie, towarzyszu ofice... towarzyszu partyzancie! Jestem zmobilizowany na siłę — odpowiedział i położył się na podłodze na brzuchu. Obszukano go. Nie miał przy sobie broni.

Z pokoju przybiegła Lidia i Maja. Kiwnąwszy im głową, że wszystko idzie według planu, Kuzniecow wyszedł na schody i kalecząc język rosyjski, zawołał strażnika. Ten coś niezdecydowanie wymruczał o zasadach służby. Podnosząc głos, Kuzniecow powtórzył wezwanie. Własowiec pospieszył wykonać polecenie. W salonie, zanim jeszcze zrozumiał o co chodzi, został rozbrojony. Odprowadzono go do pokoju gościnnego i rozkazano położyć się obok Miasnikowa.

Zadzwonił telefon. Kuzniecow chwilę zastanowił się, po czym odwrócił się od Miasnikowa i surowo powiedział:

— Dam ci słuchawkę. Piśniesz coś — po tobie!

Telefonował generał Kerner. Pytał, czy Maja Mikota jest w domu.

— Dzisiaj jej tu nie było — krótko odpowiedział ordynans.

Szybko przeszukano mieszkanie. Kamiński wyłamał zamek w szufladzie masywnego biurka. Wyciągnięto stamtąd różne dokumenty służbowe, kopie akt osobowych oficerów niedawno przeniesionych do Ostentruppen, karty wojskowe, notatki, fotografie, prywatną korespondencję, kopie różnych meldunków od donosicieli.

Obowiązki wartownika pełnił teraz Strutyński, który na tę okazję siłą „pożyczył" szynel i karabin od związanego własowca.

Wszystko działo się błyskawicznie. Siostry, według wcześniej ustalonego planu, zajęły się własowcem i volksdeutschem.

— To jest wasza ostatnia okazja, żeby się uratować i zmyć z siebie plamę! — bezlitośnie rzucała im w twarz Maja. — Jacy z was fryce?! Czy nie wstyd wam, że płaszczycie się przed faszystowskimi generałami, którzy wydają rozkazy zabijania waszych matek, sióstr, rabowania waszego kraju? Czy wiecie, że nasi są pod Kijowem?

— My zostaliśmy zmobilizowani siłą — usprawiedliwiał się Miasnikow. — Powiedzcie, czego chcecie, zrobimy wszystko co trzeba! Od razu, teraz!

Ordynans tłumaczył się, że sprokurował dokumenty o swoim niemieckim pochodzeniu, gdyż inaczej wysłaliby go na przymusowe roboty do Niemiec.

Wartownik Łukowski gryzł dolną wargę i, zdezorientowany i zawstydzony, patrzył na Lidię i Maję. Trudno powiedzieć, co przeżył podczas tej krótkiej rozmowy z młodymi kobietami.

— Zhańbiłem rodzinę, wieś i siebie — powiedział przygnębiony. Powinniście mnie rozstrzelać. Ale, proszę was, zróbcie to trochę później. Może się zdarzyć jakiś wypadek... W każdej chwili może nadejść rozprowadzający wartę lub może przybyć generał. On mnie zna osobiście. Pozwólcie mi... drugi raz nie zdradzę...

Kuzniecow, po namyśle, zgodził się. Ryzykował, ale nie miał innego wyjścia. Łukowski znowu zajął swoje miejsce, ale, na wszelki wypadek, z magazynku jego karabinu wyjęto naboje. Strutyński z ukrycia, z pistoletem maszynowym w rękach, obserwował każdy ruch strażnika.

Gdzieś około godziny 18, z opóźnieniem niezwykłym dla pedantycznego generała, przed bramą zatrzymał się czarny mercedes. Wszyscy zajęli swoje miejsca i zamilkli w oczekiwaniu na kulminacyjny moment operacji.

Gdy tylko generał wszedł do przedpokoju, podeszła do niego Maja, ukłoniła się i pomogła mu zdjąć płaszcz. Potem pojawiła się Lidia i, ku zaskoczeniu generała, objęła go za szyję i pocałowała w podziękowaniu za wyścigowego konia.

Generał był wyraźnie zadowolony. Uszczypnął Lidię w policzek i rzucił siostrom mało subtelny komplement.

W tej chwili z drugiego pokoju wyszedł nieznajomy oficer z pistoletem w dłoni:

— Witam pana, generale — powiedział zimno — jeśli się nie mylę, wyraził pan ochotę spotkania się z Miedwiediewem? Mamy zaszczyt spełnić pańskie życzenie.

— Kim pan jest?! — zapytał von Ilgen i błyskawicznie rzucił się na radzieckiego wywiadowcę.

Na pomoc Kuzniecowowi przyskoczyli Kamiński i Stefański. Ich ciała przeplatały się w rozpaczliwych zapasach. Generał butem rozkrwawił Kamińskiemu oko. Był bardzo zwinny i umiał się bić, a furia i strach potęgowały jego siłę. Kuzniecow pomyślał o użyciu broni, ale w tym momencie do potyczki włączył się volksdeutsch, Miasnikow. Straszliwym ciosem trafił w żołądek swego zataczającego się dowódcę. Generał został pokonany i związany.

— Jeśli w dalszym ciągu będzie pan stawiał nawet najmniejszy opór, zabiję pana! — zagroził Kuzniecow wkładając mu knebel do ust.

Von Ilgen, wybałuszywszy oczy, uspokoił się. Wszystko potoczyło się szybko. Kamiński i Stefański wynieśli dwie teczki generała i stanęli obok szarego adlera. Strutyński i Miasnikow wcisnęli do bagażnika trzy, wypchane po brzegi, walizki generała. Nieco przedtem, na polecenie Kuzniecowa, Miasnikow napisał i zostawił na biurku list następującej treści:

„Dziękuję za wikt. Odchodzę do partyzantów i zabieram ze sobą generała. Śmierć niemieckim okupantom!

Jakob Miasnikow".

Takim posunięciem Kuzniecow chciał wprowadzić w błąd gestapo. Kuzniecow zjawił się na schodach ostatni, trzymając von Ilgena za łokieć. Generał miał ręce związane na plecach.

— Pospieszcie się! Zaraz będzie zmiana! — dreptał nerwowo wartownik.

Von Ilgen doskonale znał rosyjski; słowa wartownika jakby go ożywiły. Obrócił się nagle, oswobodził prawą rękę, wyciągnął knebel i wrzasnął:

— Na pomoc! Na pomoc!

Następnie silnie uderzył Kuzniecowa w twarz, a Stefańskiego kopnął w brzuch. Kuzniecow raz jeszcze „uspokoił" generała, uderzając go rączkę pistoletu w skroń, a Kamiński zarzucił mu płaszcz na głowę.

— Pościg! Niemcy! — krzyknął zaskoczony Stefański, widząc, jak czterech niemieckich oficerów pędzi ku willi von Ilgena.

Był to krytyczny punkt operacji. „Czy są to przypadkowi przechodnie, czy ktoś ich powiadomił?" — zostanawiał się Kuzniecow. I tym razem skorzystał ze swej nadzwyczajnej umiejętności: opanowania się w decydujących sytuacjach. Z nieoczekiwanych kłopotów znalazł najprostsze wyjście. Wyjął pistolet i wycelował w zbliżających się oficerów.

— Panowie, proszę zatrzymać się! — krzyknął. — Jestem z gestapo! — na potwierdzenie w jego ręce błysnęła metalowa odznaka dająca jej właścicielowi szerokie uprawnienia. — Śledziliśmy i w tej chwili złapaliśmy radzieckiego terrorystę przebranego w nasz

mundur wojskowy. Panowie również znajdują się w strefie, gdzie został dokonany akt terrorystyczny. Proszę o wasze dokumenty.

Tym posunięciem Kuzniecow zneutralizował nieoczekiwane niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad całą operacją i losem jego grupy, a ponadto chciał zyskać na czasie. Dlatego długo przeglądał dokumenty czwórki oficerów i robił jakieś notatki w swoim notesie.

Kiedy przekonał się, że ma przed sobą „płotki", jego wybór padł na hauptmanna Granaua, osobistego szofera reichskomisarza Kocha.

— Pan, panie Granau — powiedział do kapitana w skórzanym brązowym płaszczu — będzie musiał pójść ze mną do gestapo. Pana zeznania będą miały szczególną wartość. A wy, panowie, możecie odejść.

Człowiek w skórzanym płaszczu wzruszył ramionami i spokojnie, bez protestu wsiadł do samochodu. Dla niego wizyty w gestapo nie były przykrością. A dla Kuzniecowa polowanie było obfite.

W nocy Kuzniecow przesłuchiwał generała i szofera Kocha, hauptmanna Granaua. Uzyskane od nich dane były bardzo cenne dla dowództwa Armii Czerwonej i oddziałów partyzanckich. Von Ilgen bardzo szczegółowo opowiadał o atmosferze nieufności i beznadziei, jaka panowała w dowództwie Wehrmachtu.

Przesłuchiwanie jeńców prawdopodobnie potrwałoby dłużej, gdyby pościg nie był tak desperacki. Po szybkiej wymianie radiogramów z „Centrum" Kuzniecow postanowił skończyć z porwanymi hitlerowcami. Egzekutorem był Łukowski.

Niemieccy historycy nigdy jednak nie przyjęli do wiadomości faktu, że generała von Ilgena rozstrzelano 16 lub 17 listopada 1943 roku. Uważają, że został on, jako ważna osobistość, przerzucony samolotem do Moskwy, że jest więziony albo zmarł, bądź też później, pod innym nazwiskiem, wrócił do NRD. W każdym razie zastanawia to, że nazwisko generała von Ilgena znajdowało się na liście jeńców, których uwolnienia żądał od ZSRR zachodnioniemiecki rząd Konrada Adenauera w 1955 roku.

Jak porwanie von Ilgena odbiło się na losie Lidii Lisowskiej i Mai Mikoty? Dowództwo Abwehry natychmiast rozkazało schwytać siostry. One zaś przygotowały i przedstawiły wiele „niezbitych dowodów" swojej „niewinności". Szczególnie wstawił się za nimi von Ortel, znajdujący się jeszcze w tym czasie w Równem. Ze spokojem zeznał, że w krytycznej porze dnia, 15 listopada, był w towarzystwie

Mikoty i Lisowskiej. Szefowie gestapo, rywalizujący z Abwehrą, także zrobili wszystko, żeby ich „współpracownice" i podopieczne zostały wypuszczone na wolność.

Pod koniec 1943 roku Lidia i Maja niespodziewanie znikają ze sceny burzliwych wydarzeń w Równem, ponieważ bardzo zmieniła się nie tylko ich pozycja, ale również sytuacja w mieście. Wiadomo, że zaniechały swojej działalności i współpracy z Kuzniecowem, który ze zrozumiałej przezorności nie mógł widywać ich nadal. Siostry ponownie przystąpiły do pracy wywiadowczej bezpośrednio przed wyzwoleniem Równego i okolic, lecz już w całkowitej konspiracji.

Ich wkład w walkę przeciwko faszyzmowi został wysoko oceniony. Zostały odznaczone, między innymi, Orderami Wojny Narodowej I klasy.

26 października 1944 roku obie zginęły od kul banderowców, ukrywających się jeszcze w lasach Zachodniej Ukrainy.

* * *

Kiedy grupa Kuzniecowa dotarła do folwarku Walentyna Teichmanna i przywiodła ze sobą porwanego von Ilgena, zastała tam także doktora Alberta Cesarskiego. Kuzniecow, po przesłuchaniu generała, przed świtem kazał go rozstrzelać. Później długo rozmawiał z Cesarskim.

„Nigdy, przez półtora roku naszego partyzanckiego życia, nie mówił tak dużo i tak płomiennie. Nie przypominam sobie wszystkich szczegółów tej rozmowy, w której, ten na ogół milczący człowiek, otworzył przede mną duszę. Przypominam sobie, że mówił o Uralu, o swoich stronach rodzinnych, o dziewczynie, którą kochał. Mówił o Wali Dowger, której losem bardzo się przejmował. Mówił o błędach, których sobie nie mógł wybaczyć (...)

Potem długo milczał. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, powiedział jasno i dobitnie, jakby formułował jakieś matematyczne twierdzenie:

— Wojna jest rzeczą nieludzką, doktorze, i wywiad też, bo kaleczy duszę. — Uderzył się w piersi, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale tylko westchnął i odwrócił się" — wspominał po latach doktor Cesarski.

Zamach na Alfreda Funka

Po porwaniu generała Maxa von Ilgena w Równem wybuchła prawdziwa panika. Wszystkie drogi wychodzące z miasta zostały obstawione potrójnym pierścieniem nie do przebycia. Zaczęło się systematyczne przeszukiwanie miasta trwające wiele dni.

Nie wiadomo, jak w takiej sytuacji Kuzniecow, Strutyński, Stefański i Kamiński zdołali już następnego dnia, 16 listopada rano, dostać się do Równego.

W tym dniu, około godziny 9, Kuzniecow zabił Alfreda Funka. Sensacyjne wydarzenia zmieniały się z rosnącą gwałtownością. Himmler, aby uprzedzić gniew führera, oskarżył konkurencyjny wywiad Abwehry za „tragikomiczną sytuację" w Równem.

Reichsführer w rozmowie z Hitlerem wyraził pogląd, że chodzi o łańcuchowy spisek, który, jak się wydaje, osobiście inspiruje admirał Canaris, szef Abwehry. W sprawę, prawdopodobnie, zaplątani są inni generałowie Abwehry, których celem jest skompromitowanie gestapo. Oskarżenia Himmlera nie wydawały się jednak führerowi przekonywające, chociaż również uważał, że chodzi o „serię spisków" niemieckich generałów, którym przewodzi jakaś osobistość z dowództwa Wehrmachtu. W żaden sposób nie mógł dojść, kto jest tym „wrogiem nr 1 Trzeciej Rzeszy", jak nazwał w swoim raporcie nieznanego egzekutora obergruppenführer Müller.

Erich Koch ogłosił w prasie nekrolog.

Wkrótce agencja TASS opublikowała obszerny komunikat o zamachu na Funka. Wiadomość tę na pierwszych stronach podały gazety w Anglii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach koalicji antyhitlerowskiej.

Oberführer Alfred Funk był ulubieńcem Hitlera, który uhonorował go najwyższą nagrodą partyjną — złotą odznaką nazistowską i powierzył mu kilka znaczących funkcji. Funk był prezesem faszy-

stowskiego Sądu Najwyższego Ukrainy, prezesem Sądu Najwyższego Prus Wschodnich (z siedzibą w Królewcu), głównym sędzią oddziałów pościgowych grupy SS „Ostland", przewodniczącym Narodowosocjalistycznego Związku Wojskowych Niemiec.

Za tymi wszystkimi tytułami kryła się jego główna funkcja: decydowanie o mordowaniu — „w imieniu prawa" — setek tysięcy Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Polaków, Czechów, Słowaków i Żydów. Po zabiciu przez partyzantów wiceministra Hella i generała Knutha, Funk wydał rozkaz rozstrzelania wszystkich więźniów z więzienia w Równem.

Niemiecki Sąd Najwyższy w Równem znajdował się w budynku na rogu placu Defilad i ulicy Szkolnej. Jaki był przebieg zamachu na Funka, akcji, która dzięki odwadze zamachowców i sposobowi przeprowadzenia wywołała w prasie światowej i w Związku Radzieckim wiele nieprawdopodobnych przypuszczeń i domysłów?

Kuzniecow długo przygotowywał się do tej operacji. Kola Strutyński kilka razy zatrzymywał swojego adlera „pożyczonego" od Niemców przed samym budynkiem sądu i szukał odpowiedniego miejsca do zaparkowania i szybkiego wyprowadzenia samochodu. Jan Kamiński sprawdzał dojścia do zakładu fryzjerskiego, mieszczącego się naprzeciwko sądu, gdzie każdego ranka, przed rozpoczęciem pracy, golił się generał Funk. Oczywiście prezes Sądu Najwyższego nie wiedział, że skromny i cichy fryzjer Jan Anczak to były major armii polskiej, którego Kamiński zwerbował na współpracownika radzieckiego wywiadu. Kuzniecow, wyznając zasadę: „zanim wejdziesz, pomyśl, jak wyjdziesz", dwukrotnie, posługując się gestapowską odznaką, wstępował do gmachu sądu i badał układ jego pomieszczeń, korytarzy itp.

Wieczorem wywiadowcy opracowywali różne warianty planu akcji, rysowali schematy, dyskutowali. Pełen temperamentu Kamiński ponaglał Kuzniecowa i sugerował zabicie Funka w zakładzie fryzjerskim. Był to najprostszy ze wszystkich możliwych wariantów. Strutyński proponował powtórzenie schematu napadu na generała Hella i zlikwidowanie prezesa bezpośrednio na ulicy, gdy będzie wychodził od fryzjera.

Graczow jednak odrzucił oba warianty. Plan Kamińskiego zagrażał życiu fryzjera, jego żony i małych bliźniaków. Wariant Strutyńskiego był lepszy, lecz Kuzniecow chciał zbrodniarza, jakim był

Funk, ukarać właśnie w jego krwawym miejscu pracy. Widział w tym pewien symboliczny sens. Ten właśnie, najbardziej skomplikowany wariant, został przyjęty. „Centrum", pod wrażeniem nieprawdopodobnych wyczynów Kuzniecowa, pozostawiło mu wybranie sposobu zabicia Funka.

Rankiem 16 listopada około wpół do dziewiątej czarny opel (Strutyński znowu zmienił samochód) zatrzymał się w poprzecznej ulicy o pięćdziesiąt metrów od sądu. W samochodzie został Strutyński, a Kuzniecow i Kamiński minęli plac Defilad i rozeszli się w różne strony. Cała trójka była w mundurach niemieckich.

— Co czuliście i myśleliście w tamtych chwilach? — zapytał Kuzniecowa doktor Cesarski jeszcze tego samego wieczoru w bazie, w „zielonym świetle".

Na czole Kuzniecowa pojawiły się zmarszczki.

— Czułem się chyba tak, jak Pierre Bezuchow Tołstoja, kiedy z pistoletem błądził po ulicach płonącej Moskwy z zamiarem zabicia Napoleona; była to potrzeba dokonania osobistej zemsty po uświadomieniu sobie powszechnego nieszczęścia.

Jak dalej przebiegała operacja? Kuzniecow wiedział, że Funk pojawi się za piętnaście minut. Wszedł do gmachu sądu, powiedział kilka zdawkowych komplementów sekretarce, ze swobodą rzucił jakiś dowcip i rzekł do niej niby w zaufaniu:

— Przy pani uprzejmej pomocy będę musiał poprosić pana prezesa o naprawienie jednej, mam nadzieję, nieumyślnej krzywdy. Przypadek jest raczej banalny i nie chcę męczyć pani szczegółami. Chodzi o pewnego naszego współpracownika — Kuzniecow mimochodem pokazał gestapowską odznakę — który został oczerniony. Ale o tym później.

Podczas rozmowy z pulchną, rudowłosą Niemką Kuzniecow ciągle zerkał przez okno na ulicę, gdzie spacerował Jan Kamiński. Ten zaś obserwował zasłonę w zakładzie fryzjerskim. Według umowy, fryzjer na dwie—trzy minuty przed zakończeniem golenia Funka miał nieco poruszyć zasłoną. Na ten znak Kamiński miał zdjąć czapkę i podrapać się po głowie lub zrobić to, gdy tylko generał opuści zakład.

Tymczasem Kuzniecow usiłował swym wdziękiem przypodobać się sekretarce.

— Proszę mnie nie zawieść. Będę czekał na panią o szóstej na rogu Friedrichstrasse i Deutschestrasse — przymilał się do dziewczyny, która, niby wzbraniając się, cieszyła się z propozycji.

W tej chwili Kuzniecow zauważył sygnał Kamińskiego.

— Fräulein, pozwolę sobie poprosić panią o filiżankę herbaty, jeśli coś takiego jest tutaj. Strasznie się przeziębiłem — kaszląc powiedział Siebert.

— Chwileczkę, panie hauptmannie, zaraz przyniosę.

Kiedy sekretarka wróciła, Kuzniecowa nie było w biurze. Ze zdziwieniem wzruszyła ramionami i siadła za biurkiem. W tym momencie pojawił się Funk, który, pomimo napiętej sytuacji w mieście, nie lubił, by w „pałacu sprawiedliwości" towarzyszył mu adiutant. Mruknął sekretarce „dzień dobry" i wszedł do gabinetu.

Kilka sekund później rozległy się dwa strzały. Zaskoczona sekretarka, prawie sparaliżowana ze strachu, zobaczyła wychodzącego z gabinetu hauptmanna, który, nie zwracając na nią uwagi, opuścił biuro.

Przed samym wejściem do budynku stały dwie długie karetki więzienne, z których esesmani wyciągali więźniów. Za nimi zatrzymał się samochód, z którego wyszli gestapowcy, ze zdziwieniem spoglądając w kierunku pierwszego piętra, skąd rozległy się strzały.

Kuzniecow przystanął obok nich i, również zdziwiony, popatrzył w stronę okna kancelarii prezesa sądu, wyciągnął zegarek kieszonkowy i obojętnie ruszył wzdłuż gmachu.

Powstało zamieszanie i poruszenie. Czyjś histeryczny głos przez otwarte okno wzywał pomocy.

Kuzniecow energicznym krokiem dotarł do rogu budynku, potem wszedł na podwórze sądu, przeskoczył niskie żelazne ogrodzenie i znalazł się przed swoim samochodem.

— Gazu, Kola! — krzyknął Strutyńskiemu, zamykając za sobą drzwi samochodu.

Kamiński pozostał na miejscu i z ukrycia obserwował, jaką reakcję wywoła zabicie generała Funka. Gestapowcy i żandarmi potracili głowy. Rozbiegli się we wszystkie strony. Najpierw zablokowali budynek, potem wspięli się na dach i strych w poszukiwaniu dywersantów, następnie wyprowadzili z sądu trzydziestu ludzi, wśród nich także kilku niemieckich oficerów, i odwieźli ich do gestapo.

W mieście, z wielką skrupulatnością, przeprowadzano rewizje i kontrole. Na ulicy Kopernika jakiś leutnant strzelił do podoficera-gestapowca, który próbował zatrzymać jego „podejrzane dokumenty". Tym razem patrole nie zwracały większej uwagi na mieszkańców. Złapano setki podejrzanych. Zabroniono noszenia walizek, pakunków i toreb. Na ulicy nie wolno było nawet trzymać rąk w kieszeniach. Po mieście jeździły samochody z głośnikami. Od obywateli żądano, żeby „współpracowali z władzami w poszukiwaniu terrorystów".

Kiedy Graczow i Strutyński w szalonym tempie minęli punkt kontrolny na wyjeździe z Równego, wartownicy ledwo zdążyli podnieść ręce do zasalutowania, gdyż w takich limuzynach i z taką prędkością jeździli tylko najwyżsi dowódcy Wehrmachtu.

Betsy, Klara i monstrum

6 listopada 1943 roku Armia Czerwona wyzwoliła Kijów. Wojska marszałków Żukowa, Rokossowskiego i Koniewa sforsowały Dniepr i ruszyły na zachód.

Razem z frontem i wycofującymi się Niemcami podążył także specjalny oddział „Zwycięzcy". Kuzniecow poprosił o skierowanie do Lwowa na własne ryzyko, ponieważ w tym mieście nie było dobrze zorganizowanej siatki wywiadowczej ani też kwater konspiracyjnych. Lwów nieoczekiwanie stał się siedzibą wszystkich niemieckich instytucji przeniesionych z Równego, Kijowa, Mińska i innych wyzwolonych miast.

Hauptmann Siebert pojechał do Lwowa razem z „kupcem" Janem Kamińskim i nowym szoferem, Iwanem Biełowem, mającym dokumenty na nazwisko Iwan Własow, żołnierz okupacyjnych wojsk transportowych.

W drodze do Lwowa Kuzniecow zatrzymał się w Łucku, gdzie agent Wincenty Okorski dał mu prawie nowego włoskiego fiata, który wcześniej należał do miejscowego Gebietskomisariatu.

* * *

Na początku stycznia grupa Kuzniecowa dotarła do Lemberga, jak Niemcy nazywali Lwów. W czasie II wojny światowej Lwów miał dla Trzeciej Rzeszy ważne znaczenie. Przybycie Kuzniecowa i jego oddziału nie było więc wcale przypadkowe. Doświadczony wywiadowca zbierał tam informacje o znaczeniu wojskowo-politycznym i dostał zadanie zlikwidowania najgorliwszych faszystów.

Dane o krótkim pobycie i pracy we Lwowie hauptmanna Paula Sieberta są skąpe, mgliste i często sprzeczne. Ustalono jednak kilka faktów z tego okresu jego działalności, które umożliwiają rekonstrukcję niektórych ważnych momentów i pozwalają odpowiedzieć

na pytanie, co i w jaki sposób robił on w centrum dystryktu Galicji.

W pierwszych dniach stycznia 1944 roku przez Ukrainę na zachód od Dniepru przetaczała się lawina Armii Czerwonej. Wehrmacht podejmował rozpaczliwe wysiłki, żeby wzmocnić swoje siły, a niemiecki przemysł gorączkowo produkował broń i sprzęt najnowszego typu, które miały przeszkodzić Rosjanom w przejściu Karpat. Dlatego też, prócz walki na frontach, ważne znaczenie w osłabianiu ciągle jeszcze silnego hitlerowskiego przeciwnika miało nieustanne sianie niepokoju na jego tyłach, zamachy na wyższych oficerów, generałów i ministrów. Decyzja o zlikwidowaniu wicegubernatora Galicji, generała Ottona Bauera, została podjęta po jego chełpliwym oświadczeniu w prasie, że „Rosjanie nigdy nie wejdą do Lwowa".

Miedwiediew, 6 stycznia 1944 roku, w wielką zamieć, skierował do Lwowa grupę wywiadowców. Wszyscy mieli banderowskie dokumenty i mundury, a ich zadaniem było zaktywizowanie działalności wywiadowczej w tym rejonie, przygotowanie konspiracyjnych mieszkań i udzielenie pomocy ekipie Nikołaja Kuzniecowa-Graczowa.

Wśród członków tej grupy był także Borys Pietrowicz Charitonow, tłumacz wojskowy, który 22 czerwca 1941 roku został ranny i wzięty do niewoli. Później udało mu się uciec z obozu i w 1943 roku dołączyć do oddziału partyzanckiego „Zwycięzcy". Pochodził ze Lwowa i dobrze znał miasto i okolice.

„Szedłem we Lwowie ulicą Akademicką — pisze w swoim dzienniku Borys Charitonow. — Nagle zaparło mi dech. Kilka metrów przede mną, obok samochodu zaparkowanego przy samym chodniku, stał Graczow. Miał na sobie długi szarozielony płaszcz i mocno nasuniętą na czoło czapkę. Ledwie powstrzymałem się, żeby nie krzyknąć z radości i nie podbiec do niego. Nasze spojrzenia spotkały się. W pierwszej chwili w oczach Graczowa błysnęła taka sama radość, ale nagle stały się surowe, nawet zimne. Przez sekundę-dwie nie odrywał ode mnie oczu, jakby chciał swoim spojrzeniem coś mi powiedzieć lub ostrzec mnie. Potem przeniósł wzrok na przechodniów za moimi plecami. Pomyślałem, że zauważył coś podejrzanego. Czyżby wlókł się za mną «ogon»?

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego Graczow mnie wtedy nie zatrzymał i nie powiedział do mnie żadnego słowa? Niewątpliwie na coś

czekał lub spotkałem go w chwili, gdy przeprowadzał jakąś operację..."

Działo się to 30 stycznia 1944 roku. Prawdopodobnie tego dnia Kuzniecow, razem z Biełowem lub Kamińskim, zamierzał dokonać zamachu na gubernatora Galicji, generała Wächtera.

Wieczorem 30 stycznia Kuzniecow, Biełow i Kamiński w mrocznej ulicy, niedaleko od centrum miasta, w napadzie bez użycia broni obezwładnili niemieckiego podoficera i wciągnęli go do swojego samochodu. Potem pojechali do krewnego Kamińskiego na peryferie miasta i przesłuchali oszołomionego Niemca, który zeznał, że jest właścicielem małej fermy hodowli drobiu w pobliżu Hamburga, a w budynku Luftwaffe pełni funkcję szefa kuchni. Przed kilkoma godzinami otrzymał rozkaz przygotowania się do wyjazdu na front, gdyż na jego miejsce przybył właśnie pewien starszy rekonwalescent w stopniu leutnanta.

— Poszedłem pożegnać się ze swoją przyjaciółką, volksdeutschką Klarą Owert, której mąż zginął zeszłego roku pod Noworosyjskiem. Na front wyjeżdżam pojutrze, ale jutro wieczorem będę zajęty, gdyż gubernator, pan generał Wächter, będzie miał spotkanie z dowództwem wojsk lotniczych, a później wszyscy będą u nas na kolacji — powiedział żołnierz, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, czego od niego chce hauptmann i dlaczego go tak poturbował.

Początkowo myślał, że to zazdrość o czarującą Klarę Owert. Potem, aby udowodnić hauptmannowi, jak bardzo jest oddany führerowi i Trzeciej Rzeszy, opowiedział o wszystkim, co robił przed przyjazdem do Lwowa.

— Ja, panie hauptmannie, bardzo się wyróżniłem w walce na tyłach przeciwko bolszewickim bandytom. Od lipca 1942 roku należałem do batalionu karnego SS wchodzącego w skład naszych oddziałów zwalczających partyzantów. Na czele tych oddziałów wciąż jeszcze stoi generał Bach-Zelewski podlegający tylko Himmlerowi i führerowi!

— A jak trafiłeś tutaj, na taką poufną i — trzeba przyznać — w warunkach wojennych błogosławioną funkcję? — zapytał Siebert.

— Dzięki odwadze i zasługom. Generał Bach-Zelewski zaproponował mnie do służby na tyłach, bo wiele wniosłem w urzeczywistnienie naszego planu zmniejszenia liczby Słowian. Teraz nasze

sprawy nie idą najlepiej, ale rozniesiemy bolszewików tutaj, na karpackim wale obronnym. Znów pójdziemy na wschód, panie hauptmannie — wijąc się z bólu, paplał przestraszony Niemiec.

Kuzniecowa przeszły ciarki. Już chciał skoczyć i uderzyć tego krwiożerczego bandytę, ale szybko opanował swoje emocje i patrząc prosto w oczy esesmana, któremu nos spuchł od uderzenia pięścią, zapytał:

— O ile wiem, batalion Dirlewangera, w którym służyłeś, składa się z zabójców i kryminalistów, którzy swoje grzechy odpokutowują w walce przeciwko partyzantom i rosyjskiej ludności cywilnej, a ty byłeś tylko zwykłym farmerem?

— Właśnie. Służyłem w kuchni dowództwa feldmarszałka Günthera von Klugego, lecz kiedy w czasie bombardowania rosyjskich samolotów zginęła moja Betsy, postanowiłem krwawo zemścić się na bolszewikach i zażądałem przeniesienia do oddziału karnego, do czego miałem prawo jako współpracownik gestapo.

— Czy ta Betsy była twoją dziewczyną, kochanką?

— Nie, panie hauptmannie, to była suka, owczarek. Zabrałem ją z domu dzięki specjalnemu pozwoleniu. Tresował ją Friedrich Keppler, słynny treser z Hamburga.

— I co było dalej, jak awansowałeś?

— Nasz batalion 22 marca okrążył wieś Chatyń na Białorusi współpracującą z partyzantami. A ci zdradziecko zabili trzech naszych. No więc my połapaliśmy starców, kobiety, dzieci, wszystkich, których spotkaliśmy. Wpakowaliśmy ich do jednej drewnianej szopy, długiej jak barak. Napchaliśmy do środka 149 sztuk bolszewickiego robactwa, dobrze pamiętam liczbę, gdyż sam osobiście ich przeliczyłem i złożyłem raport majorowi Dirlewangerowi. A potem poprosiłem, żebym mógł własnymi rękami podpalić barak. I wszyscy spalili się jak na rożnie. Wprawdzie najpierw było ich ponad 160, ale kilku zabiliśmy przy zuchwałych próbach ucieczki, panie hauptmannie.

— Plutonowy Kurcie Netzer, i to są te twoje zasługi? — ledwie wykrztusił wzburzony Kuzniecow i nagle zwilgotniały mu oczy.

— Ależ nie, panie hauptmannie, było jeszcze wiele romantycznych przypadków. Co prawda, za tę romantyczność pewnego razu o mały włos nie zapłaciłem głową, bo gdy przygotowywałem się do

wieszania pewnego bolszewickiego konspiratora, on mnie schwycił zębami za ucho i, proszę zobaczyć, odgryzł mi dość duży kawałek. Mogę jednak powiedzieć, że w godny sposób pomściłem swoją Betsy. Mój brat zginął w czasie angielskiego bombardowania, ale Betsy była czymś...

— Zamknij się, sukinsynie! — wrzasnął Kuzniecow i z całej siły uderzył Netzera w twarz. — Jestem radzieckim partyzantem i mam wykonać wyrok wydany na ciebie za okrutne zbrodnie na narodzie białoruskim!

Przerażony esesman padł na podłogę i chciał coś powiedzieć, lecz Biełow silnym kopniakiem w głowę pozbawił go przytomności. Dobite monstrum Kamiński i Biełow wrzucili do studzienki kanalizacyjnej, a Nikołaj Kuzniecow, głęboko wstrząśnięty tym, co słyszał od esesmana, całą noc nie mógł zmrużyć oka.

1 lutego 1944 roku po Lwowie rozeszła się wieść, że jakiś niemiecki oficer zabił Hansa Petersa, szefa sztabu pułku lotnictwa.

Hauptsturmführer SS, Peter Christian Krause, szef gestapo we Lwowie, tego samego dnia skierował następujące sprawozdanie do Instytutu Kryminalistyki i Medycyny Sądowej w Krakowie oraz do generała Müllera w Berlinie:

„We Lwowie 31.01.1944 roku około g. 17.20 w budynku Luftwaffe, Walowenstrasse 11/A zostali zabici podpułkownik Hans Peters i kapral Seidel.

Około godziny 17 nieznany osobnik w mundurze hauptmanna bez zezwolenia wszedł do wspomnianej instytucji. Zatrzymała go ochrona budynku. Został zaprowadzony do podpułkownika Petersa. Przy sprawdzaniu dokumentów wspomniany hauptmann powiedział, że nazywa się Paul Siebert. Następnie trzema strzałami zabił podpułkownika Petersa i kaprala Seidla, który go przyprowadził, a potem, nie zauważony, uciekł.

Na miejscu znaleziono trzy łuski kaliber 7,65 mm.

Żandarmeria polowa przy Komendzie Miasta, numer 365".

W grupie, którą 6 stycznia Miedwiediew wysłał do Lwowa, znajdowali się agenci Drozdow i Pristupa. Zaraz po wyzwoleniu miasta Drozdow opowiedział Charitonowowi, co słyszał od Kuzniecowa-Graczowa podczas ich spotkania w połowie lutego w lesie pod Lwowem. Charitonow zanotował w swoim dzienniku:

„Ja i Drozdow kilka dni błądziliśmy po lesie i w końcu natrafiliśmy na zbiegłych Żydów mieszkających w dwóch ziemiankach zbudowanych w ustronnym leśnym jarze. Postanowiliśmy zostać tutaj kilka dni, odpocząć i wyspać się. Wkrótce jednak obaj zachorowaliśmy na tyfus.

I właśnie wtedy dotarli do nas Graczow, Kamiński i Biełow. Graczow opowiedział nam, że on, Kamiński i Biełow przybyli do Lwowa, kiedy oddział «Zwycięzcy» dopiero próbował przejść linię kolejową Równe—Kowel, dobrze strzeżoną przez Niemców. We Lwowie mieszkali znajomi Kamińskiego. Potem Graczow powiedział Drozdowowi, że widział w mieście Charitonowa, i uważał, że cała grupa szczęśliwie dotarła do Lwowa i pomyślnie tam działa. Nie było potrzeby nawiązywania kontaktu z nimi, ponieważ oczekiwano, że wkrótce w okolice miasta przybędzie cały oddział Miedwiediewa.

We Lwowie Kuzniecow dokonał kilku zamachów odwetowych, a rankiem 9 lutego zabił dwóch niemieckich generałów. Potem grupa Kuzniecowa przez kilka dni ukrywała się w mieszkaniu krewnego Kamińskiego. Nie wychodzili wcale do miasta. Ich samochód stał w szopie. Kuzniecow nie powiedział Drozdowowi, w jakiej części miasta to było i kim byli krewni Kamińskiego".

A jednak Kuzniecow wyjawił Drozdowowi i Pristupie, iż od Niemców dowiedział się (może od podoficera Kurta Netzera), że duży oddział radzieckich partyzantów ruszył z północy w kierunku Lwowa, ale po starciu z potężnymi niemieckimi siłami zawrócił. Dlatego Kuzniecow po ucieczce ze Lwowa postanowił przedostać się w kierunku linii frontu i spróbować ją przekroczyć.

Co tymczasem działo się we Lwowie, gdy jeszcze przebywali tam hauptmann Paul Siebert i jego dwaj towarzysze? Jakie operacje przeprowadziła jego grupa, wprowadzając zamieszanie w szeregi faszystów i ich ukraińskich pomocników?

„Polegli za führera i Rzeszę"

Pułkownik intendentury, Jacob Erhard, dostał rozkaz wyruszenia 7 lutego samolotem do Berlina, aby w Naczelnym Dowództwie omówić pewne ogólne zagadnienia dotyczące dalszego zaopatrywania wojsk w rejonie Lwowa. Na kilka godzin przed odlotem pożegnał się ze swoim adiutantem i szoferem, którym dał trzydniowy urlop. Na lotnisko miał go zawieźć dyżurny kierowca komendy miasta.

Niemcy, poruszeni śmiałym zabójstwem oraz bombardowaniem lotniska przez radzieckie lotnictwo, dopiero po czterech dniach zauważyli, że po pułkowniku Erhardzie zaginął wszelki ślad. W nie znany (do tej pory) sposób porwali go, przesłuchali i zlikwidowali Biełow i Kamiński we współpracy z polskimi konspiratorami. Erhardowi zabrano przepustkę na naradę wyższych funkcjonariuszy władz okupacyjnych, generałów i oficerów, na którą był zaproszony, lecz pilne wezwanie z Berlina uniemożliwiło mu wzięcie w niej udziału. Naradę miał poprowadzić wicegubernator, doktor Otto Bauer, szef władz Galicji.

Dzięki tej przepustce do opery, gdzie odbywała się konferencja, bez przeszkód dostał się hauptmann Siebert. Słuchał ważnych komunikatów, dobrze obejrzał Bauera, a przed końcem opuścił gmach.

Po naradzie doktor Bauer, wraz z naczelnikiem swojego gabinetu i pułkownikiem doktorem Schneiderem, wsiedli do mercedesa. Za nimi podążył szary fiat, należało bowiem ustalić, gdzie wicegubernator mieszka. We Lwowie, jeszcze przed przybyciem Kuzniecowa, podziemie przeprowadzało dywersje, lecz nie były one wymierzone w najwyższe władze dystryktu ani w generałów czy pułkowników. Tutejsi Niemcy nie mieli jeszcze doświadczenia w walce z takim przeciwnikiem i stosowane przez nich środki zabezpieczenia nie były tak rygorystyczne jak np. w Równem, Kijowie i innych okupowanych miastach na wschodzie.

Następnego dnia o godzinie 7.45 przy Leitenstrasse 11/A zatrzymał się ten sam fiat, wjechał nieco na chodnik przed muzeum pisarza i uczonego ukraińskiego, Iwana Franko, prawie naprzeciw czerwono-białego piętrowego budynku, przed którym przechadzał się nerwowo wartownik, oczekując w każdej chwili pojawienia się wicegubernatora.

Według ustalonego schematu, Biełow wyszedł z samochodu i zaczął coś dłubać w silniku. Paul Siebert także wyszedł i krzyczał głośno po niemiecku:

— Co z pana za szofer! Ten samochód nigdy nie jest sprawny! Leń z pana! Wczoraj cały dzień grał pan w karty i uganiał się za kobietami, zamiast robić to, co do pana należy. Przez pana lenistwo ja się spóźniam! Proszę się pospieszyć, ręce ma pan związane, czy co?!

Siebert złościł się i ukradkiem obserwował przeciwną stronę ulicy, gdzie przed dużą willą stała czarna limuzyna.

Gubernator, jak i inni niemieccy generałowie, był niezwykle punktualny. Na takich łatwo jest czekać.

Dokładnie o godzinie 8 z czerwono-białej willi wyszło dwóch mężczyzn i podeszło do samochodu.

— Czy słuchał pan dzisiaj radia? — zapytał wesołym głosem wysoki, szczupły generał swego towarzysza. — Führer oznajmił, że nadchodząca wiosna przyniesie ostateczny upadek bolszewizmu i plutokracji. I jedni, i drudzy są wyczerpani. Wszystkie siły trzeba teraz sprężyć, żeby przetrzymać do kwietnia, a potem damy im...

— Proszę, panie generale! — szofer szybko i usłużnie otworzył tylne drzwi samochodu. W tej samej chwili także Kuzniecow podszedł do czarnego mercedesa. Wyciągnął rękę, energicznie zasalutował i bojąc się powtórzenia „błędu" z generałem Darglem, zapytał z zimną krwią:

— Czy pan generał doktor Bauer?

— Tak, jestem Bauer — odpowiedział zdziwiony wicegubernator, poprawiając jednocześnie czapkę na głowie.

— Och, potrzebuję pana jak ptasiego mleczka...

— Jak ptasiego... — chciał powtórzyć zaskoczony generał, lecz nie znany hauptmann uprzedził go.

Błyskawicznie wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wyciągnął pistolet i niemal podziurawił Bauera, szofera i młodego pułkownika.

Następnie pobiegł do swojego samochodu. W tym czasie Kamiński i Biełow otworzyli ogień do przerażonego wartownika.

Dwa dni później Lwów poruszył oficjalny komunikat władz okupacyjnych. Lokalne gazety ogłosiły, że „ofiarą bolszewickiego terroryzmu padł wielki syn Niemiec, generał Otto Bauer". Nekrolog, podpisany przez gubernatora Galicji Wächtera, umieszczono na łamach prasy w grubych, czarnych ramkach.

„Wicegubernator dystryktu Galicji, dr Otto Bauer, poległ 9 lutego jako ofiara bolszewickiego napadu. Razem z nim zginął jego najbliższy współpracownik, pułkownik dr Heindrich Schneider. Polegli za Führera i Trzecią Rzeszę".

— Kupujcie „Lemberger Zeitung"! Wydarzył się straszny wypadek na Leitenstrasse! — wykrzykiwał chłopak. — Kupcie ważną gazetę!

Mały gazeciarz nie rozumiał, dlaczego elegancko ubrany pan zapłacił mu więcej, niż wynosił jego miesięczny zarobek. Nie mógł przecież wiedzieć, że tę nagrodę za dobrą wiadomość w niemieckiej prasie dał mu radziecki wywiadowca, Stiepan Pastuchow.

Hauptsturmführer Peter Krause, szef gestapo we Lwowie, wysłał do Berlina nowe sprawozdanie:

„Rankiem 09.02.1944 roku około godziny 7.45 w Lembergu na Leitenstrasse nie znany osobnik dokonał zamachu na doktora Bauera i doktora Schneidera. Napastnik strzelał z pistoletu. Na miejscu zdarzenia znaleziono dwie łuski kalibru 7.65.

Podejrzewa się, że nie znany przestępca dokonał wielu innych zamachów na Niemców i ważne osobistości zajmujące wysokie stanowiska.

Krause".

Na przesłuchaniu we Lwowie w 1948 roku Krause powiedział:

— Tak, wiele nieszczęść przyniósł nam ten Paul Siebert. Porównując wszystkie okoliczności, eksperci doszli do wniosku, że zabójstwa we Lwowie są logicznym następstwem wydarzeń w Równem. Dlatego we wszystkie rejony Galicji skierowaliśmy wówczas pilne ostrzeżenia: za wszelką cenę złapać terrorystę — żywego lub martwego. Wyznaczyliśmy też nagrodę w wysokości 25 tysięcy marek.

Swego czasu sturmbannführer SS, von Ortel, doświadczony wywiadowca wysokiej klasy, będąc pod wpływem alkoholu, powiedział Siebertowi w zaufaniu:

— Paul, słyszałeś, że w mieście pojawił się bolszewicki terrorysta? Działa w mundurze niemieckiego oficera. Jako aryjczyk, jako członek partii führera nienawidzę go, bo służy komunistom. Ale chylę przed nim czoło do samej ziemi i podziwiam go. Chytra bestia! Szczwany lis! Taki powinien być prawdziwy wywiadowca: w biały dzień, w centrum miasta, strzela do jednego, drugiego, trzeciego generała i spokojnie, nie zidentyfikowany, ucieka. Tak, mój drogi, nie wystarczy być mądrym, jak powiada Cyceron, lecz trzeba umieć z mądrości korzystać.

Śmierć wywiadowcy

Cały Lwów w dalszym ciągu był zablokowany i nie wiadomo, w jaki sposób Kuzniecow, Kamiński i Biełow zdołali rankiem 12 lutego wymknąć się samochodem z okrążenia.

Na siedemnastym kilometrze od Lwowa, we wsi Kurowice, znajdował się posterunek żandarmerii polowej i SS broniący mostu przed partyzantami. Biełow z daleka zauważył, że szlaban przed mostem jest opuszczony, a gestapowiec z czerwoną chorągiewką daje znak, żeby stanęli.

Zatrzymując szarego fiata, Biełow wymanewrował tak, żeby móc skręcić w boczną drogę wykorzystywaną podczas remontu mostu.

Na spotkanie wyszedł im major Kanther, co było podejrzane, gdyż zwykle kontrolę przeprowadzali niżsi oficerowie. Major długo wpatrywał się w dokumenty hauptmanna Paula Sieberta i od czasu do czasu zerkał na jego towarzyszy podróży. Kuzniecow instynktownie wyczuł, że grozi im niebezpieczeństwo.

— Musi mi pan pokazać dodatkowe zaświadczenie — w zamyśleniu i z niedowierzaniem powiedział major.

Kuzniecow zirytował się. Energicznym ruchem wręczył majorowi swoją specjalną gestapowską odznakę ze swastyką i numerem.

— Czy to panu wystarczy?

— Nie — powiedział Kanther przepraszającym tonem. — Na pana karcie podróży nie ma zezwolenia na wyjazd z Lemberga.

Było więc jasne, że major został poinformowany o hauptmannie, który zabił Bauera i Schneidera, i zrodziły się w nim wątpliwości.

— Panie majorze, czy macie połączenia telefoniczne z miastem? — zapytał Kuzniecow. — Chciałbym rozmawiać z komendą gestapo w Lembergu. Z doktorem Witiską lub z hauptsturmführerem Krause. Oni rozwieją pana wątpliwości.

— Proszę, niech pan wejdzie do strażnicy, zaraz wszystko wyjaśnimy. Wydamy panu przepustkę do strefy przyfrontowej.

Dla Kanthera było coraz bardziej oczywiste, z kim ma do czynienia.

Kuzniecow wiedział, że musi działać szybko i zdecydowanie, ale zwlekał, dopóki nie przejechał samochód jadący mu naprzeciw. Kiedy zatrzymał się, wysiedli z niego oficerowie, kapral i dwóch żołnierzy. Wszyscy szybko weszli do strażnicy.

— Proszę to obejrzeć — rzekł z zimną krwią Kuzniecow. Szybko wyciągnął z odpiętej kabury rewolwer i bez celowania, przez otwarte drzwi samochodu, wystrzelił serię w piersi Kanthera. W tej samej chwili Kamiński skosił czterech żandarmów, a Biełow przycisnął gaz i pognał boczną drogą.

Za uciekającymi zaterkotały karabiny maszynowe. Z tyłu pojawił się pościg. Motocykliści w czarnych mundurach pędzili z niewiarygodną prędkością. Biełow przyciskał gaz do deski: 90, 100, 105 kilometrów na godzinę. Nagle pojawił się nowy problem — w zbiorniku zabrakło paliwa, a na sięgnięcie po zapasowy kanister nie było czasu.

Wielcy wywiadowcy najczęściej giną przypadkowo albo z powodu drobnych niedociągnięć.

— Zepchniemy samochód w dolinę! — rozkazał Kuzniecow. — Uciekamy do lasu!

Sprytnie zboczyli z drogi za zakrętem i pognali autem przez łąki pokryte cienką warstwą śniegu. Motocykliści popędzili do przodu i gdy zauważyli omyłkę, było już za późno — fiat w tym czasie zwalił się do wąwozu, a Kuzniecow, Biełow i Kamiński zdołali już dotrzeć do lasu, gdzie Niemcy nie mieli odwagi zapuszczać się w biały dzień, a tym bardziej o zmierzchu.

Długo błądzili po lesie, aż trafili na człowieka ubranego w kilka sztuk podartej odzieży. Był to stary Żyd ukrywający się wśród zarośli przed Niemcami i banderowcami. Zamarł ze strachu i długo nie mógł przyjść do siebie, ponieważ Kuzniecow i Biełow mieli na sobie niemieckie mundury. Dopiero po długim przekonywaniu Żyd uwierzył, że są Rosjanami i zaprosił ich do ziemianki ukrytej w głębokim jarze. Mieszkało tam jeszcze kilka osób.

Właśnie tam wywiadowcy spotkali się ze swoimi towarzyszami z oddziału „Zwycięzcy", Drozdowem i Pristupą, którzy — zbiegiem okoliczności — znaleźli się w lesie, gdzie obolałych i chorych na tyfus przygarnęli żydowscy uciekinierzy.

Kuzniecow niósł w torbie ważne informacje, które zdobył podczas narady we Lwowie prowadzonej przez Wächtera i Bauera. Spieszno mu było przekroczyć linię frontu i przekazać wiadomości dowództwu Armii Czerwonej. We Lwowie musiał zniszczyć swoją radiostację, był więc całkowicie odcięty od „Centrum". Miał przy sobie także szczegółowe opisy wszystkiego, co zrobił razem ze współpracownikami we Lwowie. Nie chciał więc dłużej zostawać w ziemiance u zbiegłych Żydów i ze swoimi towarzyszami ruszył na południowy wschód. Od tego czasu już nikt z członków oddziału Miedwiediewa nie widział trójki znakomitych wywiadowców.

Do dziś nie wiadomo, jak zginął Nikołaj Iwanowicz Kuzniecow, choć pewne jest, że stracił życie razem ze swoimi współpracownikami: Janem Kamińskim i Iwanem Biełowem. Radzieccy i niemieccy autorzy odmiennie przedstawiają ostatnie chwile życia człowieka, który przysporzył Trzeciej Rzeszy tylu kłopotów i który w berlińskim archiwum gestapo figurował jako „wróg nr 1 Trzeciej Rzeszy".

Nie ma sprawdzonych danych o okolicznościach śmierci Kuzniecowa. Niektóre fakty znane są tylko częściowo, nie łączą się z sobą, często są sprzeczne. Jedno jest jednak pewne: Kuzniecow poległ tak, jak żył — jak bohater.

Major żandarmerii polowej, Kanther, nieprzypadkowo znalazł się w Kurowicy. Miasto było zablokowane; miał rozkaz sprawdzać w swoim sektorze, czy będzie tamtędy przejeżdżał „hauptmann Siebert ze swoją grupą".

Najbardziej przekonywająca wydaje się ta wersja, według której 9 marca 1944 roku we wsi Boratina, rejon brodzki, obwód lwowski, grupa Kuzniecowa starła się z banderowcami. Znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia, wynikłej z nierównych sił, Kuzniecow odbezpieczył ręczny granat i zranił siebie i swoich towarzyszy. Żaden z nich nie miał już pocisków, by się zabić. Półprzytomni wpadli w ręce banderowców, którzy następnie zabili ich w okrutny sposób.

Ostatnie informacje o Nikołaju Kuzniecowie znaleziono w archiwum lwowskiego gestapo i w IV departamencie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. W pilnym telegramie wysłanym 2 kwietnia 1944 roku ze Lwowa do Berlina napisano:

„Ściśle tajne. Sprawa wagi państwowej. Do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, do rąk własnych gruppenführera SS i generała-leutnanta policji, Müllera.

W lesie, w pobliżu wsi Bielgorodka, w rejonie Werby (Wołyń) oddziały żandarmerii pojmały trzech radzieckich agentów. Policja na podstawie dokumentów ustaliła ich tożsamość:

1. Przywódca grupy o pseudonimie «Puch» miał fałszywe dokumenty na nazwisko oberleutnanta armii niemieckiej, Paula Wilhelma Sieberta, urodzonego rzekomo w Królewcu. W dokumentach była jego fotografia w mundurze niemieckim.

2. Polak — Jan Kamiński.

3. Żołnierz piechoty — Iwan Własowiec o pseudonimie Biełow, szofer «Pucha».

Wszyscy złapani radzieccy agenci mieli fałszywe niemieckie dokumenty. Znaleziono przy nich bogate materiały: mapy, niemieckie, ukraińskie i polskie gazety, jak również sprawozdania o ich działalności szpiegowskiej na terenie frontu niemiecko-radzieckiego.

Nie ulega wątpliwości, że został pochwycony agent i jego grupa terrorystyczna, poszukiwani całymi miesiącami. Jak wynika ze zdobytych sprawozdań, pozbawił on życia wiceministra Rzeszy, generała Hella, generała Knutha, generała von Ilgena, generała Pieppera, sędziego Funka i doktora Bauera, a ciężko ranił generała Dargla i wielu innych wyższych oficerów i funkcjonariuszy Wehrmachtu i Trzeciej Rzeszy".

Tu dokładnie przytoczono treść zdobytego sprawozdania, które Kuzniecow przygotował dla „Centrum", a telegram kończył się słowami:

„Od bojowej grupy generała Prützmana otrzymaliśmy wiadomość, że «Paul Siebert» i jego obaj współpracownicy zostali zabici przy próbie ucieczki we wsi Boratina na Wołyniu.

Naczelnik d/s bezpieczeństwa dystryktu Galicji — doktor Witiska, obersturmbannführer SS i radca rządu Rzeszy".

W rękach gestapo był tylko raport. Müller i Himmler przez dwa lata usiłowali pochwycić żywego tajemniczego oberleutnanta, przez którego znosili ostre wyrzuty, pretensje i wściekłe groźby führera. Co więcej, nie mogli być pewni, czy to on był tym strasznym człowiekiem zarejestrowanym w tajnych aktach jako „wróg nr 1 Trzeciej Rzeszy".

Podczas Dnia Zwycięstwa w Moskwie 9 maja 1945 roku wkład Kuzniecowa w walkę przeciwko faszyzmowi porównano z wojskowymi zasługami rozsławionych dowódców wojskowych: Żukowa, Rokossowskiego, Wasilewskiego i Koniewa.

W jednym z wywiadów słynny francuski uczony, Frédéric Jean Joliot-Curie, noblista i pierwszy przewodniczący Światowej Rady Pokoju, powiedział: „Jeśli pytacie mnie, jaka postać z plejady walczących przeciwko faszyzmowi jest dla mnie największa i najbliższa mi, bez namysłu mogę powiedzieć: Nikołaj Iwanowicz Kuzniecow, wielki człowiek niszczący tych, którzy chcieli zniszczyć ludzkość".

Towarzysze broni Kuzniecowa po długich poszukiwaniach dopiero w 1959 roku znaleźli jego grób na skraju wsi Boratina w pobliżu Lwowa. Szczątki tego legendarnego partyzanta zostały przeniesione i złożone na Górze Chwały we Lwowie, gdzie wzniesiono mu także wspaniały pomnik.

Na Górę Chwały przybywają rzesze ludzi, by pokłonić się prochom skromnego człowieka z Uralu, człowieka, który przykładem swojego życia, poświęceniem, zapisał nie zapomniane strony w dziejach walki z faszyzmem. Kochał życie, ale w dramatycznych sytuacjach nie lękał się śmierci.

Godna śmierć jest zawsze śmiercią z honorem.

80742

BIBLIOTEKA NAUKOWA WSW WP
I Obieg
(II)
...ów ogólnych

Spis treści

Ujarzmienie „Tajfunu" i pogrom generałów 5
Pozwólcie, że się przedstawię 9
Metropolia walki podziemnej 12
Oddział „Zwycięzcy" 19
Pan Bolek 22
Tajna korespondencja Churchilla ze Stalinem 28
„Polowanie na indyka" 36
Gdzie jest Hitler? 44
Porwanie na szosie 50
Dramat na moście 63
Gdzie jest feldmarszałek? 71
Nadawanie w obecności Niemców 80
Śmierć Nikołaja Prichodko 85
„Narzeczona" Sieberta 89
Zgryzoty kaprala Schmidta 93
Audiencja u Ericha Kocha 102
Salon hrabiny Lisowskiej 112
„Pozdrowienia od Popowa" 119
Dziewczyna znad pięknego, modrego Dunaju 125
Zniszczenie mostu 130
Gestapo likwiduje gestapowców 137
Filozofia von Ortla 144
Von Ortel werbuje Paula Sieberta 152
„Samobójstwo" 166
Roosevelt dziękuje Kuzniecowowi 168
W biały dzień 175
Śmierć „Mistrza Śmierci" 178
Porwanie 184
Zamach na Alfreda Funka 193
Betsy, Klara i monstrum 198
„Polegli za führera i Rzeszę" 204
Śmierć wywiadowcy 208

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA i WIEDZA"
Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza
„Prasa—Książka—Ruch"
Warszawa, kwiecień 1989 r.
Wydanie I. Nakład 14 650 + 350 egz.
Obj. ark. wyd. 10,8. Obj. ark. druk. 13,5.
Papier offsetowy kl. III, 70 g, 61 × 86 cm.
Oddano do składania w sierpniu 1988 r.
Podpisano do druku w marcu 1989 r.
Druk ukończono w kwietniu 1989 r.
Druk i oprawę wykonały
Zakłady Graficzne, Toruń
ul. Katarzyny 4
Zam. nr 1762. U-67.

Dwanaście tysięcy osiemset czterdziesta szósta publikacja „KiW"

Cena zł 800,— 35293



Przywódcy Trzeciej Rzeszy podejrzewali zdradę w najwyższym kierownictwie Wehrmachtu, Abwehry lub gestapo. W tajnych dokumentach niemieckiego wywiadu człowiek, który odkrył plan bitwy pod Kurskiem i przygotowania do zamachu w Teheranie, zlikwidował i porwał wielu niemieckich dygnitarzy i generałów, figurował jako „wróg nr 1 Trzeciej Rzeszy". W tym czasie mało kto wiedział, że najważniejsze dane o planowanym zamachu na szefów koalicji antyhitlerowskiej dotarły z dalekich, ukraińskich lasów w okolicy Równego, gdzie na tyłach nieprzyjaciela działał agent Nikołaj Kuzniecow.